

michael
wallner

KWIECIEŃ W PARYŻU



Wallner Michael

Kwiecień w Paryżu

Okupowany Paryż, wiosna 1943 roku.

Młody Niemiec, Michel Roth, w dzień pracuje jako tłumacz dla niemieckiego gestapo; wieczorami w cywilnym ubraniu, włóczy się po ulicach miasta. W ten sposób poznaje Chantal, córkę francuskiego księgarza. Wkłada się w niebezpieczny romans, który dla obojga okazuje się czymś więcej niż przelotną przygodą. Michel nie ma pojęcia, że piękna dziewczyna i jej ojciec pracują dla ruchu oporu. Wkrótce będzie musiał wybrać pomiędzy obowiązkiem wobec własnego kraju, a swoim przeznaczeniem - pomiędzy nienawiścią a miłością.

Pont Royal, 1943

1

Dowiedziałem się o przeniesieniu przed południem. Na parapecie pojawiły się wąskie smużki światła. Kiedy mój major wchodził do pokoju, jedną ręką przytrzymał kłamekę, a drugą dał mi znak, żebym nie wstawał. Czy to marsylskie świństwo jest już gotowe? Wskazałem na zapisaną do połowy kartkę papieru w maszynie. Jak skończę, będę mógł iść do domu.

— A depeza z Lagny-sur-Marne? — spytałem zaskoczony.

— To zrobi ktoś inny. Pan jest potrzebny. Ścisnąłem kolana pod stołem. W tym czasie wielu ludzi szło na front.

— Odkomenderowany?

— Wypadł tłumacz ze sprawy rue des Saussaies. — Major przetarł odznaczenie na lewej piersi, był to krzyż rycerski. Zrobi wszystko, aby spełnić ich żądanie. Ale mam się nie martwić, to tylko chwilowo.

— Co się stało z tłumaczem z rue des Saussaies?

— Zginął poprzedniej nocy.

— Partyzanci?

— A gdzie tam. Łajdak schlał się i spadł z mostu. Samochód, który go potracił, zauważył go zbyt późno z powodu ciemności. Niestety nie zginął na miejscu, to okropne. Tak czy inaczej, pismo z żądaniem przydzielenia tłumacza leży na moim biurku. Wydaje się, że cieszy się pan tam szczególną sławą — powiedział major z niewyraźnym uśmiechem na ustach. — Rue des Saussaies chciała akurat pana.

Mój krzyż zaczynał mi coraz bardziej ciążyć. Rzuciłem okiem na mapę przed sobą, jeden do pięciuset tysięcy. Strzałki szrafowania, gipsowa rozeta nad drzwiami, resztki tapety z czasów, kiedy lokal był jeszcze zamieszkały. Moje biurko, słownik francuski, ogryzione ołówki. Ominąłem piękny widok łańcucha dachów widoczny z okna wychodzącego na zachodnią stronę.

Major spojrzał na mnie posepnie.

— Proszę zakończyć sprawę marsylską. Potem niech pan weźmie sobie wolne. Jutro zgłosi się pan do służby. Za parę dni pan wróci. Nie lubią tam za bardzo obcych twarzy.

Wstałem, oddałem honory, major łaskawie uniósł ramię.

Pozostałem w tej postawie, dopóki nie wyszedł. Na ścianie rysował się krzyż okna od padającego światła. Raptownie zrobiło mi się zimno, zapiałem górny guzik, włożyłem czapkę, jakbym zamierzał wyjść. Po chwili ją zdjąłem i opadłem na krzesło, przeczytałem francuski tekst i dwoma palcami zacząłem pisać tłumaczenie.

Mogłeś obrać inną drogę, pomyślałem. Nieostroźnie było iść akurat rue des Saussaies. Przed kwaterą główną wyłonił się czarnosrebrny mundur, krótka wymiana słów. Czy ten człowiek poprosił o ogień? Będziesz musiał być ostrożny. Masz tłumaczyć tylko słowa według słownika. Masz patrzeć

w stół, a nie ludziom w oczy. Masz zapomnieć, co widziałeś. Wieczorami będziesz wracał do hotelu, rano punktualnie będziesz się stawiał na służbę. Do czasu, kiedy nie będziesz już potrzebny. Potem wrócisz do swojego majora, który pragnie tylko rozkoszować się urokami miasta i poczuciem bycia zwycięzcą. Który zostawia tobie nanoszenie na plan miasta wiszący na ścianie strzałek i cyferek i podpisuje swoim nazwiskiem twoje raporty. Dopóki jesteś mu niezbędny, będzie starał się nie dopuścić, aby wysłano cię na prawdziwą wojnę. Pont Royal był pogrążony prawie do końca przęsł w wodzie, na wodowskazie brakowało tylko pół metra do tysiąca siedmiuset centymetrów. Przez balustradę wychylali się wędkarze. Kamienie były dzisiaj już ciepłe, ludzie siedzieli zwróceny w stronę słońca z na wpół przymkniętymi powiekami. Niektórzy z nich odwracali się, kiedy usłyszeli odgłos podbitych gwoździami obcasów. Parłem prosto w zamieszanie powstałe przy Saint-Germain. Im więcej ludzi, tym mniej moja obcość rzucała się w oczy. Pomiędzy elementami żelaznej konstrukcji Pont Solferino szumiała woda. Przed straganem sprzedawcy owoców stała gruba kobieta o orientalnych rysach twarzy; dotykała po kolei trzech mizernych jabłek. Niedaleko zatrzymali się starszy strzelec i jego towarzysz i wytrzeszczali oczy na kobietę, na której czole błyszczał srebrny półksiężyc.

— Fantastyczna babka — powiedział starszy strzelec.

— Na taką hańbę rasową chętnie bym się zgodził ^— przytaknął drugi.

Pomimo swojej tuszy kobieta była elegancka i zachowywała się tak, jakby nie miała prawa przebywać na ulicy.

Ponieważ właściciel sklepu wyszedł na zewnątrz i podejrzliwie się jej przyglądał, odłożyła jabłka na miejsce. Zrobiła kilka niepewnych kroków, dostrzegła żołnierzy, którzy z szyderczymi uśmiechami na twarzach zastąpili jej drogę.

Cofnąłem się za żołnierzy i wszedłem w boczną uliczkę.

Poruszałem się szybciej, niż należało. Ulice umykały pod moimi stopami, choć tak naprawdę chciałem iść bardzo wolno. Liczyłem szyldy hoteli mijanych po drodze. Pomyślałem, żeby wejść do jednego z nich i wynająć pokój na najwyższym piętrze. Zdjąć buty, lekko uchylić okno, sięgające od podłogi do sufitu, i spędzić czas w bezruchu.

Zwolniłem. Sklep po drugiej stronie ulicy był wielkości dużego pokoju, w głębi paliła się żarówka. Przed wejściem stały rozstawione krzesła z różowym obiciem. Pochyliłem się i dotknąłem delikatnego jedwabiu. Mężczyzna stojący na końcu pomieszczenia uniósł głowę, padające z tyłu światło ostro przecięło mu twarz. Kiedy na mnie spojrzał, wzdrygnąłem się, jakbym został przyłapany na czymś zabronionym.

Szukałem szerszych uliczek, ludzi, tłoku. Większość sklepów była już uprzątnięta, mijający je przechodnie widzieli tylko puste brązowe półki. Przed wciąż otwartą piekarnią stała długa kolejka.

Przyłączyłem się do czekających, unikałem spojrzeń, ludzie utrzymywali dystans od munduru. Kupiłem oproszony mąką chleb. Kiedy wyszedłem ze sklepu, zobaczyłem garcona zamiatającego trociny z chodnika. Lokale otwierano wcześniej.

Nigdy nie zwróciłem uwagi, że ta czarna brama nie prowadzi do budynku, a na inną uliczkę. Wspiąłem się na palce, żeby odczytać wyblakły szyld — rue de Gaspard? Brama była zamknięta.

Pomimo zaciekawienia byłem niezdecydowany, oparłem się o jej skrzydło. Przechodzący

obok ludzie przyglądali mi się, jak stałem pomiędzy ulicą a wejściem. Rzuciłem okiem za żelazny próg. Uliczka ginęła w cieniu murów, szare światło dotykało bruku. Prześlizgnąłem się przez czarne wrota i ruszyłem przed siebie. Wszędzie pozamykane sklepy; tam, gdzie domy były niższe, widać było wieczorne słońce.

Kiedy wyszedłem z za rogu, wpadłem na handlarza starzyznę, który wykładał swoje towary na stragan. Brązowe popiersie pod pachą, mężczyzna zagroził mi drogę. Ani śladu onieśmienia na widok szarego munduru. Zauważyłem zegar szafkowy oparty o ścianę. Drewno orzechowe, wahadło z polerowanego mosiądzu.

— Il me semble, que j'ai vu exactement la même à Munich — powiedziałem.

Pozbawiona akcentu wypowiedź zaskoczyła sprzedawcę.

— C'est possible, Monsieur. Je l'ai achetée d'une famille ayant vécu en Allemagne pendant longtemps.

— Quel est votre prix?

Sprzedawca podał sumę. Żaden Francuz nie kupiłby zegara za taką cenę. Zaoferowałem połowę. Nie opuścił ani centyma, utrzymywał, że postanowił nie pozbywać się tego okazji za grosze.

— Alors, je regrette. Poszedłem w głąb rue de Gaspard.

Na kamieniu leżącym przed księgarnią, jakby spadł tu z nieba, siedziała nieruchomo młoda kobieta. Zauważyłem szczupłe nogi pod płaszczem, czytała. Kiedy szybko przechodziłem obok, spojrzała w górę. Nie poszedłem dalej, lecz wstąpiłem do księgarni. Za kontuarem stał mężczyzna z siwymi włosami z przedziałką. Jeden ukraszony piének w ustach. Smarował klejem papierowe nalepki; pędzel zostawiał włosy. Krótkie spojrzenie na mundur.

— Vous cherchez quelque chose de spécial? — burknął bez zainteresowania. Nie oczekiwał odpowiedzi, przyklejał nalepki na grzbiety okładek. Dałem do zrozumienia, że chcę się rozejrzeć. Jego goście byli bardziej zbywani niż zapraszani. Stałem przed regałem koło okna, przesuwałem palcami po grzbietach książek. Przez matową szybę wyglądałem na ulicę. Kobieta w dalszym ciągu siedziała na kamieniu. Miała twarz o oryginalnej urodzie, olbrzymie oczy, uwodzicielskie okrągłe czoło, nad nim czerwono-brązowe loki, chytrą kocia głowę, usta łagodne i zmysłowe; podbródek był za krótki i nagle przechodził w szyję.

Na parapecie usiadł motyl. Kobieta szybko odchyliła głowę, jakby ktoś ją uderzył. Powoli odłożyła książkę i wstała. Podeszła do okna, gdzie siedział motyl z drżącymi skrzydłami. Kiedy się zbliżała, krok za krokiem wycofywałem się między regały. Końcami palców dotknęła niskiego okna, oczy miała utkwione w owadzie. Oddalona tylko o kilka metrów patrzyła w moim kierunku — nie zauważyła mnie.

Trzymając kilka książek w rękach, nagle poczułem na sobie badawczy wzrok właściciela. Zamknął słoik z klejem i skierował się ku mnie.

— Vous avez trouvé?

Odwróciłem się; nie zauważyłem, czy motyl odleciał. Mężczyzna był o głowę niższy; przez zaczesane na bok włosy przeblyskiwała łysina.

Zrobiłem krok w stronę wyjścia.

— Il y en a trop. Je ne sais pas choisir.

Odłożyłem książki, doszedłem do drzwi, jednym krokiem pokonałem próg i schody. Dotknąłem butem twardego bruku. Już jej tam nie było. Przebiegłem wzrokiem za krzaki

w kierunku wylotu uliczki. Na kamieniu leżała książka. Nie biorąc jej do ręki, zauważyłem bezbarwną oprawę. *Le Zero*, tytuł nic mi nie mówił. Kiedy spojrzałem w górę, miałem wrażenie, że z każdego okna ktoś mnie obserwuje. Powoli, dużymi krokami, udałem się w kierunku czarnej bramy i wyszedłem na ulicę. Zszedłem z drogi dwóm znudzonym, patrolującym okolicę policjantom i skręciłem w aleję wysadzaną platanami.

2

— Gdzie się pan podziewał? — ofuknął mnie rottenfuhrer¹. Byłem niewyspany, zdenerwowany, czekałem już od dwóch godzin. Próbowałem znaleźć wygodną pozycję na ławce. Korytarzem nieustannie przechodzili wojskowi wyżsi szarżą, przed którymi musiałem stawać na baczność. Na parterze sprawdzano książeczki uposażeń oraz rozkazy stawienia się do poboru. Strażnik przepuścił mnie dopiero po wykonaniu telefonu. W drodze na górę podziwiałem zielono cętkowane marmurowe schody. Dawniej przechadzali się po nich dyplomaci ze swoimi damami. Prawie zapomniałem, gdzie się znajdują.

— Gdzie pan się podziewał? — powtórzył rottenfuhrer.

— Tutaj, gdzieżby indziej — odpowiedziałem, nie wstając. Facet był mi równy stopniem. Pierwszy dzień decydował, jak traktowano człowieka w miejscu pracy.

— Niech pan natychmiast zapomni o tym tonie — pouczył

¹ polskie odpowiedniki wybranych stopni wojskowych III Rzeszy znajdują się na końcu książki

mnie rottenfuhrer i kazał iść za sobą. — Potrafi pan stenografować? — zapytał przez ramię.

— Inaczej by mnie tu nie było. — Wystarczyłoby proste „tak”.

— Ach? — Rottenfuhrer odwrócił się, na jego twarzy widniał nieprzyjemny, szyderczy uśmiech. — Mamy tu wielu ludzi; tylko nikogo, kto umiałby stenografować.

Zacisnąłem szczęki i milcząc, szedłem dalej. Miałem dwadzieścia dwa lata, nie poznałem jeszcze frontu. Żołnierzem zostałem w wieku, w którym i tak nie byłoby mi to oszczędzone. Było nas dwóch braci. Ojciec nie miał środków, żeby nas obu posłać na studia. Otto mógł zostać lekarzem. Natomiast ja, żeby udowodnić, że poradzę sobie bez pomocy rodziny, rozpocząłem studia prawnicze. Wojna odebrała mi możliwość dalszej nauki. Weszliśmy do pomieszczenia. Wysokie dębowe drzwi, jędrna kobieta ubrana po cywilnemu, dwaj sturmmanni przy maszynach do pisania. Znowu musiałem czekać. W końcu rottenfuhrer zapukał do następnych drzwi, wszedłem do drugiego pokoju i stanąłem naprzeciwko szczupłego mężczyzny, którego spotkałem przed trzema dniami na rue des Saussaies.

— Ach, to pan. — Uniósł wzrok znad papierów. — Czy powiedziano panu, co ma pan robić?

— Niedokładnie. — Stałem na baczność, chociaż regulamin tego nie wymagał.

— Szczegóły są ważne. — Wziął zielonoszarą teczkę z aktami i wstał. Był średniego wzrostu i mimo obcisłego, szytego na miarę munduru wydawał się szczuplejszy, niż go zapamiętałem. Jego głowa była prawie całkiem łysa, usta wyrażały smutek.

— Proszę za mną. — Otworzył przejście znajdujące się obok biurka, a dalej następne drzwi.

- Roth, nieprawdaż? — zapytał, zanim wszedł.
— Tak jest, obergefreiter Roth — odpowiedziałem.
— Od kiedy w wojsku?
— Marzec tysiąc dziewięćset czterdziestego, panie haupt-sturmfuhrerze.
— Wybrał pan sobie najlepszy okres.

Nie byłem pewny, czy miał na myśli zwycięskie kampanie, czy moje dzisiejsze przystąpienie do służby. Weszliśmy do jasno oświetlonego pokoju. Najpierw zobaczyłem twarz chłopaka, jego mokre włosy opadające na czoło. W kącie stała duża balia, w której jeszcze kołysała się woda. Chłopak miał najwyżej piętnaście lat; jego ręce były związane na plecach. Wyczułem strach. Zwróciłem uwagę na dwa mundury, obaj rottenfuhrerzy. Wyjąłem notatnik. Hauptsturmfuhrer usiadł i szybkim gestem wskazał mi mały stolik. Ołówek spadł na podłogę. Podnosiłem go najwolniej, jak tylko mogłem, zrobiłem kilka kroków do stołu i spuściłem wzrok. Wszystko zaczęło się bez zwłoki i wstępu.

3

Pobiegłem do hotelu i w ciasnym pokoju rzuciłem się na łóżko, które zajmowało prawie całego powierzchnię. Piętro wyżej zaczęła szumieć woda, buty poleciały do kąta, Hirschbiegel był u siebie, kapał się. Położyłem chleb na stole, ale nie mogłem jeść. Wpatrywałem się w wyblakłe obicia mebli i starałem się nie zwracać uwagi na hałasy. Ściany były cienkie jak papier, łóżko ustawiono od ściany do ściany. Ktoś rozmawiał przez telefon: Co słyszeć? Nie mam pojęcia. Najlepiej tam, gdzie byliśmy przedwczoraj. U Jardina. Zresztą przyprowadzę kogoś, wiesz kogo.

Hałas windy; szeregowiec w korytarzu woził w tę i z powrotem oficerów lotnictwa, na czwartym piętrze odbywało się spotkanie Luftwaffe. Chwiejąc się, stanąłem pomiędzy łóżkiem a stołem. W tym czasie często dopadało mnie silne kołatanie serca. Podeszedłem do lustra. Wąski nos, ciemne brwi. Przypomniały mi się dawne fotografie. Nie usta, ale oczy nabrały bardziej srogiego wyrazu. Powinieneś zwracać większą uwagę na fryzurę, pomyślałem i gładko przyczesalem zmoczone wodą włosy na skroniach. Powoli opadłem

na łóżko. Poczułem pragnienie, ale nie miałem niczego do picia w pokoju. Mój wzrok padł na buty — nie chciałem dzisiaj już wychodzić, nie dziś wieczór.

Siedziałem tak przez kilka minut ze spuszczoną głową i opadłymi ramionami. Ludzie na Pont Royal posilali się, siedząc na rozgrzanych od słońca kamieniach, z zamkniętymi powiekami zwróconymi ku światłu. Kiedy przechodził ktoś w wojskowych butach, otwierali oczy. Bałem się tych momentów, kiedy odwracali się, kierowali do swoich domów, kiedy mamrotali przekleństwa, które słyszałem i rozumiałem. Gdyby mi było wolno tak jak im, wówczas chodziłbym, gdzie tylko bym chciał, w każdym mieście. Chciałem wmieszać się w tłum, być jego częścią; nikt nie miał prawa widzieć we mnie kogoś innego. Od pełnych chwały dni wkroczenia do Francji było mi ciężko na sercu.

Powoli, jakbym miał podjąć trudną decyzję, wstałem i otworzyłem drzwi szafy. Ile już czasu nie miałem na sobie garnitur w drobną kratkę? Odkryłem dziurę wygryzioną przez mole, chwała Bogu w miejscu, w którym nie rzucała się w oczy. Zdjąłem garnitur z wieszaka i przyłożyłem do piersi.

— Mógłbyś być urzędnikiem — powiedziałem do lustra. — Lub w wolnym czasie kelnerem. Może mógłbyś pracować u sprzedawcy książek, przyklejać nalepki na okładkach, doręczać przesyłki. — Spojrzenie na regał, połowa książek po francusku. — Jedną z nich nosiłbym pod pachą, kiedy udawałbym się tam, gdzie spaceruje dużo ludzi. Wtedy byłoby mniejsze niebezpieczeństwo.

Wyjąłem z szuflady suszoną kielbasę i jabłko. Chleb kruszył się, gdy go łamałem, składanym nożem kroilem kielbasę i wolno jadłem. Czy przesłuchiwany chłopak rzeczywiście ukradł gaźniki? Widziano go w okolicy. Pięć

autobusów do transportu więźniów — żaden nie zapalił; nie miały gaźników. Krojąc kiełbasę, patrzyłem na ręce. Krew chłopca była zaschnięta. Przestałem przeżuwać. Nie możesz wyjść z hotelu w cywilnym ubraniu, przyszło mi do głowy. Wsłuchiwałem się w bicie własnego serca. Jeśli rue des Saussaies dowie się o tym, będzie po tobie.

Wytarłem usta w ręcznik, wstałem i wyjąłem z szafy torbę z materiału, w której kiedyś wynosiłem rzeczy do prania. W pokoju nade mną Hirschbiegel włączył muzykę. *Ma pomme*. Zapiąłem mundur i włożyłem buty.

Na schodach natknąłem się na porucznika lotnictwa w towarzystwie damy. Zasalutowałem, udał, że mnie nie widzi. — *Dans quelques minutes j'ai temps pour toi* — porucznik nieporadnie składał słowa.

— *Pour quoi faire?* — zaśmiała się kobieta.

Obok recepcji wartownik rozmawiał z pokojową, która znała kilka słów po niemiecku. Żołnierz częstował ją cukierkami.

Landrynki były pozlepiane; on szczyrzył zęby; jej oczy pozostawały poważne. Szedłem przez hol z torbą w ręku. Ściany były pomalowane na ciemnobrązowy kolor, bruzdy w miejscach, gdzie zawadziły walizki. Codziennie szedłem tym korytarzem, ale tym razem wydawało mi się, że wyjście oddalało się z każdym krokiem.

— Hej, kolego!

Nie zatrzymałem się.

— Ty, zaczekaj chwilę!

Odwróciłem głowę, jakby mnie to nie dotyczyło.

— Hirschbiegel pytał o ciebie! — krzyknął żołnierz.

— Kiedy?

— Pukał, nie było cię na górze.

Przez szybę widziałem majora lotnictwa wchodzącego do hotelu.

— Dziękuję — krzyknąłem przez ramię, trzema krokami znalazłem się przy wyjściu i przytrzymałem drzwi majorowi. Stałem wyprężony, aż major dotarł do recepcji. Pokojowa znikła we wnęce.

Przemierzałem ulice, jakbym podążał w konkretnym celu. Mimo ostrego słońca wiał zimny wschodni wiatr, który unosił przede mną tumany kurzu. Złote ziarna przyczepiły się do końskiego nawozu. W powietrzu wirowały strzępy papieru. Żeby opanować emocje, mamrotałem pod nosem nazwy ulic. Zwolniłem przed gruzami domu i rozejrzałem się uważnie. Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że dom został trafiony pociskiem. Część fasady zwisała nad chodnikiem, podpierająca ją belka mogła w każdej chwili pęknąć. Podszedłem do wejścia. Z resztek muru sterczała pęknięta rura wodociągowa, z której kapiała woda.

Uważnie nasłuchiwałem, starłem kurz z gzymsu i położyłem na nim garnitur. Zzucie butów na stojąco sprawiło mi sporo kłopotu; podskoczyłem i zrobiłem więcej hałasu, niżbym chciał.

Wsadziłem do torby starannie złożoną górę od munduru i spodnie. Przez kilka sekund stałem w pustym korytarzu w samych spodenkach. Usłyszałem kroki na zewnątrz, trwożliwie chciałem uciec do zawalonej klatki schodowej. Na szczęście kroki się oddaliły. Nie odważyłem się zdjąć odznaki służbowej, która przesunęła się przez ramię i zwisała mi na plecach. Szybko włożyłem koszulę i spodnie, zawiązałem buty. Ich cholewy znikły w torbie, z takim pakunkiem rzucałbym się w oczy.

Zbadałem korytarz domu; zaokrąglony zakręt schodów wychodził na martwy zakątek, gdzie nie dochodziło światło.

Posłałem do nieba akt strzelisty i wsunąłem torbę w ciemność.

Kiedy chciałem włożyć miękki filcowy kapelusz, w ostatniej chwili odkryłem metkę

Klawischnigg & Söhne, Miinchen. Przegryzłem nitkę, rozerwałem szwy i wyrzuciłem ją. Wcisnąłem kapelusz głęboko na czoło.

Wyszedłem na ulicę jako inny człowiek. Wyrzekłem się wszystkich przywilejów, byłem teraz bezbronny zarówno wobec okupowanych, jak i okupantów. Nie mogłem pokazać dokumentów, rozmawiać w moim języku, mogło mnie zdradzić jedno niewłaściwe słowo. Najpóźniej o wpół do ósmej musiałem dokonać przeobrażenia do poprzedniego wyglądu, jednak nie wziąłem ze sobą zegarka, pamiątki rodzinnej z niemieckim grawerunkiem.

Po pierwsze zapragnąłem mieć nowe imię i zanim pomyślałem dlaczego i z jakiego powodu, zdecydowałem się na Antoine. Monsieur Antoine, pomocnik księgarza. Wyjąłem z torby cienką książkę, *Bajki La Fontaine'a*. Książka dodawała mi pewności, uwiarygodniała mój życiorys. Monsieur Antoine wybrał się na spacer. Był tylko niewyróżniającym się z tłumu spacerowiczem, młodym mężczyzną ubranym w garnitur w drobną kratkę. Jego kroki brzmiały tak samo jak kroki ludzi wokół. Nie dawał powodu, żeby schodzić mu z drogi. Stopniowo oddychałem coraz spokojniej, palce już nie ścisnęły z takim lękiem książki. Zsunąłem kapelusz na tył głowy. Bez wyraźnego powodu uśmiechałem się w późne popołudnie.

Monsieur Antoine przekroczył Pont Royal i doszedł do handlowych ulic niedaleko Quais. Przedemną wyłoniły się stragany z warzywami, obok pito czerwone wino z małych kieliszków. Skręciłem za róg, natychmiast otoczył mnie gwar. Wszyscy rozmawiali! Usłyszałem starych mężczyzn, którzy podśmiewali się z dziewczyny w kapeluszu z kwiatami. Krzyk grubasa przez uliczkę, odpowiedź trzech kobiet. Duchowny z ramionami w kolorze brązu skąpanymi świat-

łem mrugał do starszej kobiety i przepowiadał pogodę.

Hałaśliwa, paplająca fala ogarnęła mnie i porwała w kłębowisko głosów i ludzi. Wrzuciłem monetę do miski stojącej przed starą kobietą z akordeonem. Wyjęła z ust fajkę.

— Que désires-vous, mon garçon?

Postanowiłem sobie, że będę mówił jak najmniej. Ale Monsieur Antoine uważał to za błąd. Milczący paryżanin rzucał się w oczy w wiosenny wieczór. Wszyscy dookoła przechwalali się, byli czymś zaaferowani i porywczy.

Zachciało mi się posłuchać przeboju, z którego znałem tylko refren: *Je te veux*. Staruszka skinęła głową, wsunęła fajkę do kącika ust i zaczęła grać. Posłuchałem przez chwilę i poszedłem dalej. Dostrzegłem Madame w cieniutkim szalu, jej usta były umalowane na ciemnoczerwono. Obok przebiegła zgraja wyrostków, policjant skręcił w przeciwną stronę.

Stałem w kolejce do pâtisserie. Przyciskała się do mnie niska kobieta. Na przedzie chudy sprzedawca zawiązywał paczki z ciastem. Obserwowałem uczennicę, która ze zmarszczonym czołem czytała trzygroszową broszurę. Z chęcią bym się dowiedział, co znalazła w tych literach, że zapomniała o całym świecie. Ostatnia porcja ciasta dostała się mnie; kobieta za mną rzuciła mi złe spojrzenie. Zastanawiałem się, czy podarować jej ciasto, położyłem jednak książkę na paczce i wsunąłem je pod ramię.

Zwolniłem kroku przed wystawami i stwierdziłem, że mój garnitur może śmiało uchodzić za model francuski, zorientowałem się, że po drodze wszedłem w rue de Gaspard. Dzisiaj uliczka promieniała innym światłem. W głębi, pomiędzy szczytami dachów błyszczało słońce i pokrywało je ciepłą czerwienią. Kamień przed księgarnią był pusty. Uzmysłowiłem sobie, jak pozbawione sensu było szukanie kobiety o kociej

głowie. Prawdopodobnie zatrzymała się tu ostatnio tylko przypadkiem, kupiła książkę, usiadła na kamieniu i czytała. Potem poszła i możliwe, że więcej nie wróci na rue de Gaspard. Księgarnia była zamknięta. Rozczarowany odczytałem nazwę nad wejściem — Joffo, Livres. Z ciekawości nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte. Zabrział dzwonek.

— Można wejść? — zapytałem po francusku.

— Proszę się rozejrzeć, Monsieur — odpowiedział właściciel zza lady.

Podszedłem do regału i stanąłem tak, żeby mężczyzna mógł dobrze widzieć moją twarz.

— Czy ma pan nowe tłumaczenie *Anny Kareniny*? — zapytałem.

— Nie ma nowego. — Otyły mężczyzna podszedł bliżej, potrząsając głową. — Jest tylko *Prospère*. Od tego czasu nie pojawiło się nic nowego w tej dziedzinie.

Wziąłem do ręki stare wydanie. Uważnie spojrzałem księgarzowi w oczy. Czy rozpoznał we mnie obergefreitra, który odwiedził go wczoraj?

— Ta jest sprzed wojny. — Oddałem mu książkę.

— Mówiłem panu. — Wzruszył ramionami. Zauważył cienki tom pod moim ramieniem. — Czyta pan *Bajki*? — Wyciągnął rękę. — Czy mogę?

Podąłem mu moją ulubioną książkę.

— To rzadkie wydanie. — Uśmiechał się, jego uśmiech zdradzał chęć zrobienia interesu.

Przestraszyłem się. Książka mogła mieć niemiecką pieczętkę. Joffo zajrzał do metryczki.

— Niech pan popatrzy: rok trzydziesty szósty. — Spojrzał na mnie. — Może jest pan zainteresowany sprzedażą?

— Niestety, to prezent — westchnąłem z ulgą.

— Gdzieś chyba jeszcze... — Żwawo, czego trudno było się spodziewać po tak korpulentnym mężczyźnie, podbiegł do następnego regału i wyciągnął z niego wspaniale ilustrowane wydanie. Pokazał mi historię *Szczęście i małe dziecko* z całostronicowymi rycinami Dorego.

— Czytałem ją mojej córce, kiedy była malutka — powiedział Joffo.

Na marginesie strony odkryłem słowa nagryzmołone dziecięcą ręką. Nagle znowu ujrzałem przed sobą dziewczynę z motylem, młodą kobietę z czerwonobrazowymi włosami. Pomysł był zwariowany, jednak odważyłem się spróbować.

— Nie widziałem dzisiaj pańskiej córki. Mężczyzna gwałtownie uniósł głowę. Oczy mu zwężyły się jak u odyńca.

— Czy my się znamy, Monsieur?

— Nie — uśmiechnąłem się. — Tylko czasami bywam w tej okolicy.

— A pana nazwisko?

— Antoine... — Mój wzrok szybko prześlizgnął się po grzbietach książek. Łańcuchy liter, złote tłoczenia, pochyłe *Re*, a tam antologia zatytułowana *Les Barbares*. — Antoine Rebarbes. — Nabrałem powietrza w płuca.

— Pochodzi pan z Paryża?

— Nie jestem stąd — odpowiedziałem możliwie najbardziej beztroskim tonem. — Czy może pan zapakować mi Tołstoja? Zawahał się, wszedł za kontuar i zawiązał *Annę Kareninę* w brązowy papier. Wyjąłem banknot z portfela.

— Ach? Znowu je drukują? — Joffo trzymał gładki banknot pod światło. Był to pieniądz z registratury Wehrmachtu.

— Sam o to pytałem.

— Wreszcie. — Księgarz obracał papier na wszystkie strony. — Stare już się rozpadały w palcach.

Banknot zniknął w szufladzie kasy. Mężczyzna odliczył resztę.

— Gdzie poznał pan moją córkę? — zapytał podejrzliwie. — Może w salonie?

Zawahałem się. W jakiego rodzaju salonie można było ją spotkać?

— Oczywiście, w salonie. — Wziąłem resztę i skierowałem się do wyjścia.

Joffo podążył za mną nieufnie.

— Rzadko pan bywa pan w tej okolicy i akurat tu pan się strzyże?

Nie mogłem zrozumieć związku. Księgarz otworzył drzwi.

— Tu w dzielnicy jest dobry fryzjer. — Wyszedłem, uśmiechając się.

Joffo mocno przytrzymał skrzydło drzwi, żeby dzwonek nie zadźwięczał drugi raz.

— Dobranoc, Monsieur — powiedziałem przez ramię. Czułem, że mężczyzna patrzy na mnie. Usłyszałem, jak przekręca klucz w zamku. Wróciłem do spaceru po ulicy.

— Ile pan chce za ten zegar z wahadłem? — zapytałem handlarza.

Mężczyzna podał połowę sumy, jaką wymienił poprzednim razem. Wyszedłem na bulwar.

4

Było mi gorąco, przewiesiłem marynarkę przez ramię, zsunąłem kapelusz na tył głowy. Od godziny szukałem Salon de Coiffure. Po rue Jacob biegały dzieci, robiąc hałas koszami na śmieci. Zatrzymałem się. Nad wejściem nie było żadnego szyldu, w środku panował półmrok. Przyjrzałem się bliżej i zobaczyłem dwa szerokie krzesła, regał z flakonami, przed nim mężczyznę średniego wzrostu z nożyczkami w ręku. Po prawej czekający klienci. Poszedłem dalej. Po kilku krokach zawróciłem i wszedłem do środka. Rozejrzałem się dookoła, ani śladu kobiety o kociej głowie.

— Za chwilę zostanie pan obsłużony, Monsieur. — Maître był niewiele starszy ode mnie. Jego obcisła marynarka miała zapięcie z boku.

— Ten pan jest pierwszy.

Dwóch płacących klientów zasłaniało trzeciego. Wyszli. Zobaczyłem pas wojskowy, czarną czapkę na kolanach, srebrną trupią główkę. Kiedy mężczyzna wstał, stuknął obcasami wojskowych butów. Fryzjer gestem zaprosił go do

zajęcia miejsca. Wzrok sturmbannfuhrera padł na mnie właśnie wtedy, kiedy chciałem wymknąć się na ulicę. Usiadłem na krześle obok staruszka czytającego gazetę.

— Czy życzy pan sobie ładną krótką fryzurę, Monsieur? — zapytał maître i czekał, aż klient usiądzie, żeby osłonić mu ramiona rącznikiem.

Oficer przeglądał się w lustrze bez zainteresowania. Nie rozumiał ani słowa, pokazał tylko ręką, z której strony życzy sobie przedziałek. Fryzjer skropił mu włosy wodą.

Mój wzrok spoczął na kaburze rewolweru. Kółko przy kolbie błyszczało, jakby to była zabawka. Za oknem przechodzili ludzie. Przypatrywali się, jak grzebień maître'a przyglądał włosy esesmana. Szczekanie nożyczek. Palce błyskawicznie wędrowały po głowie w górę i w dół. Gładkie, zwinne, opalone ręce.

Skrzyżowałem ramiona na piersi.

Podczas przesłuchania palce chłopaka były powyginane jak szprychy scentrowanego koła od roweru, nieruchome, sztywne — jakby już nie należały do niego. Nie krzyczał, kiedy mu je wyłamywano, dopiero później zaczął płakać. Zmuszałem się, żeby myśleć o innych rękach. O rękach wędkarza na Pont Royal; jedna była oparta płasko o balustradę, druga delikatnie obejmowała wędkę. Tylko końce palców przesuwają żyłkę ukradkiem, jakby sam wędkarz nie miał prawa tego zauważyć. Ręce oficera SS były duże, pokryte piegami. Powoli położył je na kolanach. Nożyczki szczękały w okolicach skroni i z tyłu głowy. Otworzyły się drzwi. Matka przyprowadziła syna do fryzjera. Zobaczyła oficera i stanęła jak wryta.

— Och, och — wymamrotała — zajrzę później, jak będę tędy przechodzić. — Znikła, ciągnąc za sobą zawstydzonego chłopca.

Wbrew woli fryzjera oficer odwrócił głowę. Przyglądał się hałaśliwym dzieciom przed wejściem.

— To pańskie? — zapytał.

— Nie, Monsieur. — Maître ostrożnie odwrócił głowę oficera do właściwej pozycji.

— A czyje? — zapytał sturmbannfuhrer nieporadnym francuskim.

— To moi bracia — powiedział kobiecie głos. Wyszła zza zasłony z koralików, w ręku trzymała miotłę.

W białym fartuchu wyglądała na silną kobietę, na pewno miała dwadzieścia lat. Głowę miała w lokach. Duże oczy spoglądały poważnie. Poczulem przyjemne ciepło w żołądku, mimowolnie pochyliłem się do przodu. Szczęk nożyczek ucichł na chwilę.

— Ładni chłopcy — przyznał oficer. Po niemiecku dodał: — Wojna jest najtrudniejsza dla dzieci.

Kobieta odstawiła miotłę i podeszła do drzwi. Nie nosiła pończoch; wpatrywałem się w jej łydki. Dzwoniąc jednocześnie dzwonkiem, wołała chłopców po imieniu. Przerwali zabawę, mieli rozpalone twarze, na moment zdrtwieli. Zrozumieli upomnienie i zniknęli na końcu ulicy.

Fryzjer jednym ruchem nadgarstka zdjął ręcznik i zaprezentował oficerowi w lustrze rezultat swojej pracy. Ten skinął bez wyrazu i wstał. Chciał położyć monetę na kontuarze, ale odwrócił się i wcisnął ją młodej kobiecie do ręki. Z kamienną twarzą otworzyła kasę i wrzuciła do niej pieniądze.

— Szukam restauracji — powiedział do wszystkich. — Peletier. Fryzjer potrząsnął głową. Czerwonobrazowa kobieta również nie odpowiedziała.

Zacisnąłem dłoń, podniosłem się i stanąłem przed Sturm-

bannführerem. Słyszałem o Peletier. SS zapraszało tam kobiety.
— Restauracja znajduje się za Saint-Germain-les-Prés, po południowej stronie placu — patrzyliśmy sobie w oczy. — Nie może pan nie trafić.

— Merci, Monsieur — powiedział oficer, wyraźnie akcentując twarde niemieckie „s”, i włożył czapkę. Podczas gdy wojskowe buty jeszcze skrzypiały na progu, zająłem miejsce na fotelu fryzjera. Młoda kobieta zamiatała włosy Niemca.

— Dlaczego powiedziałaś, że to są twoi bracia? — ofuknął ją fryzjer, kiedy sturmbannfuhrer już znikł w tłumie. — Z tymi ludźmi nie ma żartów, Chantal

— To są chłopcy Samuela — dziewczyna zamiatała podłogę obok mnie.

Maître rozłożył świeży ręcznik na moich ramionach.

Obserwowałem kobietę w lustrze.

— Skąd pan zna Peletier? — zapytała, kiedy dostrzegła moje spojrzenie. — Tam bywają tylko świny.

— Chantal — Fryzjer rozejrzał się dookoła. Staruszek schowany za gazetą nie poruszył się.

— I w dodatku pokazałem mu właściwą drogę — uśmiechnąłem się. — Proszę skrócić z tyłu i na bokach.

— Jeszcze pan nas dotąd nie zaszczycił, Monsieur — powiedział maître.

Zwróciłem uwagę na długi nos na subtelnej twarzy. Wyglądał, jakby był zuchwale doczepiony.

— Jestem tu przejazdem.

— Podróżowanie w tych czasach jest skomplikowane — odpowiedział z napięciem fryzjer.

— Straciłem na to dwa dni — przyznałem. — Tylko niebiosy wiedzą, jak często się zatrzymywaliśmy. Pomiedzy Thiers i Moulins są zablokowane tory.

Zdziwiłem się, jak gładko mój mózg wypluwał kłamstwa. W duchu kierowałem się mapą sztabu generalnego, którą miałem przed oczami. Bandy, jednostki wroga, strzałki, szrafowanie, front mniej więcej na wysokości podwiązek Chantal. Fryzjer zmoczył mi włosy. Nożyczki zbliżyły się do mojej skroni. Zamknąłem oczy. Było cicho. Staruszek od czasu do czasu odwracał strony. Kobieta, która miała na imię Chantal, siedziała teraz za kasą. Córka księgarza, pomyślałem, i próbowałem sobie wyobrazić, jak dorastała wśród tysięcy książek. Wieczorami ojciec wyciągał bajki i czytał jej. Kiedy Chantal już sama nauczyła się czytać, zabierała w ładne dni książkę na dwór, siadała na kamieniu i zatapiała się w lekturze. Odgłos nożyczek sprawiał, że zrobiłem się senny. Jakby z oddali widziałem Antoine'a we fryzjerskim fotelu. Dopiero co wzbudził swoją osobą podejrzenie, ponieważ wskazał esesmanowi drogę. Podejrzenie, ponieważ przyszedł z zewnątrz. W tym czasie mnożyły się denuncjacje, wszędzie byli kolaboranci, Francuzi stali się podejrzliwi. Monsieur Antoine nie mógł zagadnąć Chantal ani w sklepie, ani na ulicy. Jako Niemcowi natomiast było mu łatwo w tym okresie poznawać kobiety. Ponieważ godzina policyjna nie obowiązywała kobiet znajdujących się w towarzystwie Niemców, lokale nocne tętniły życiem. Paryżanki, które wychodziły z oficerami, utrzymywały swoje rodziny. Otworzyłem oczy. Obserwowałem Chantal w lustrze. Fryzjer skończył swoją pracę, wstałem. Oczyszczył szczotką moje ubranie. Kiedy płaciłem, nie patrzył na mnie. Nikt nie przytrzymał mi drzwi. Oboje milczeli do momentu mojego wyjścia z zakładu. Przez szybę widziałem, że zaczęli porywczo dyskutować.

Drapały mnie świeżo ścięte włosy, włożyłem kapelusz. Zastanawiałem się, czy poczekać w kawiarni naprzeciwno,

aż Chantal skończy pracę. Nie miało to sensu. Ruszyłem w górę rue Bonaparte do Quai. Rzeka ciągle była wzburzona. Sierżant, który opierał się o balustradę, mówił do towarzysza, że stan na wodowskazie obniżył się. Wędkarze poszli do domów. Nie po raz pierwszy odkryłem małe V. Takim znakiem paryżanie wyrażali zwycięstwo — Victory. Bilety do metra zwinięte w literę V, łamane w kształt litery V zapalki. Ktoś wydarł V z gazety. Poryw wiatru odrzucił papier ode mnie.

Miałem już za plecami wieżę Eiffla, kiedy usłyszałem bicie dzwonu. Który to kościół, która godzina? Przestraszyłem się. Rozległy się dźwięki drugiego dzwonu. Liczyłem uderzenia, przy szóstym zawróciłem. Kiedy dzwon zabrzmiał po raz siódmy, zacząłem biec. Przez Quai d'Orsay, jednak nie szybciej, niż to było stosowne. Kiedy nagle pojawił się żołnierz, zwolniłem kroku. Trafiłem na łapankę, zatrzymałem się pod platanem, czekałem, aż oddech mi się uspokoi. Przeszedłem przez Pont Royal, dotarłem do dzielnicy, gdzie znajdował się mój hotel, i skręciłem w uliczkę, na której, miałem nadzieję, nikt mnie nie zauważy. Ulice wokół mnie zaczęły pustoszeć. Obok pośpiesznie przemykały kobiety z siatkami pełnymi zakupów. Młodzi mężczyźni udawali, że się przechadzają; jednak również oni wiedzieli, że po godzinie ósmej nie powinni przebywać na ulicy. Aczkolwiek pilnie szukałem, nie odnalazłem przechodniego domu! Teraz biegłem, patrzyłem w górę na dachy, miałem nadzieję zobaczyć jakiś znak rozpoznawczy. Kiedy po raz trzeci bez powodzenia przechodziłem koło zakładu krawieckiego, dostrzegłem w nim jedyną możliwość powrotu do hotelu. — Czy przyjdziecie później do Turachevskiego? — Przed wejściem rozmawiała grupa lotników. Stałem kilka metrów od nich i próbowałem zorientować się, gdzie jestem.

— Nie mam pojęcia, kto dzisiaj występuje, ale zawsze coś się tam dzieje.

Zauważył mnie porucznik. Ukryłem twarz, dotykając brzegu kapelusza w geście pozdrowienia. Ponownie ruszyłem przed siebie. Jakże inaczej wszystko wygląda, kiedy brakuje światła dziennego! Ciemny sklep z pasmanterią, ogrodzenie z czarną literą V, zamalowaną na biało przez żołnierzy Wehrmachtu. Poza mną nie było na ulicy nikogo. Szedłem przez plac. Rozjaśnione okna, za chwilę zaczynało obowiązywać zaciemnienie.

Dostrzegłem szyld końskiej jatki, zaśmiałem się rozluźniony. Jeszcze raz w prawo — wreszcie stanąłem przed zburzonym domem. Szybko wszedłem do środka, po omacku macałem w ciemności pod schodami, dotknąłem uchwyty mojej torby. Kiedy się przebierałem, drżały mi ręce. Nie chciałem wkładać butów na wilgotne skarpety. Podskakiwałem i tupałem, jednocześnie zapinając guziki munduru.

Podbite gwoździami obcasy stukały o bruk; obergefreiter bez pośpiechu kierował się do hotelu. Spotkałem tę samą grupę lotników. Zasalutowałem.

W pokoju padłem na łóżko, skrzyżowałem ręce za głową. Kipiałem wewnątrz, nie mogłem myśleć. Kilka centymetrów od siebie słyszałem stłumioną przez cienką ścianę rozmowę telefoniczną: Nie, jeśli przyprowadzisz siostrę, nie zadzwonię po Dorine. — Krótki śmiech. — Ale dużo zaplanowałaś! A więc o wpół do dziesiątej? Odłożono słuchawkę. Usłyszałem odgłos wybierania numeru. Wpatrywałem się w oświetlony czworokąt w domu naprzeciwko. Mój zegarek wskazywał dokładnie ósmą. *Est-ce que pourrai parler avec Mademoiselle Dorine? Elle n'est pas là? Quoi?* W oknie zgasło światło.

5

— Kto cię nauczył, jak wymontować gaźnik?

— Qui t'a appris, comment démonter le carburateur? —
przetłumaczyłem.

— Je sais le faire — odpowiedział chłopak.

— Po prostu umiem.

— Qui t'a montré?

— Kto ci to pokazał?

— Je ne sais plus.

— Niczego więcej nie wiem.

— Przyjaciele?

— Możliwe.

— Koledzy ze szkoły czy dorośli?

— Nie mogę sobie przypomnieć. Hauptsmrmfuhrer usiadł na
rogu biurka i kołysał stopą.

— Powinno ci się przypomnieć — powiedział cicho. Omal nie
utopili chłopaka w balii z wodą. Wyłamano mu
trzy kolejne palce. Lekarz w randze untersturmfuhrera, obojętny
na to, co się wokół działo, mężczyzna ze szpiczastą brodą i
wypielegnowanymi dłońmi, nastawiał wyłamane

stawy bez narkozy. Chłopak nie krzyczał ani nie jęczał, poddawał się zabiegom bez protestu. Potem hauptsturmfuhrer opisał delikwentowi czekające go nowe tortury. Dopiero teraz chłopiec przyznał się do kradzieży gaźników. Dalsze przeciąganie tej sprawy przestało mieć sens.

Registratura zarekwirowała inne autobusy do transportu więźniów. W rzeczywistości jednak przesłuchujący chcieli się dowiedzieć, gdzie przebywają członkowie ruchu oporu. Rottenfuhrerzy znowu stanęli przed chłopakiem. Odwróciłem głowę.

— Przerwa na papierosa? — Hauptsturmfuhrer spojrział na mnie. Czy zauważył, że zamknąłem oczy? Powiedział, że jeśli chcę, mogę opuścić pokój. Żebym nie był świadkiem, pomyślałem w pierwszej chwili. Jednak z jego spojrzenia zrozumiałem, że nie przywiązywał do tego wagi. Już w drzwiach usłyszałem pierwszy krzyk.

Hauptsturmfuhrer nazywał się Leibold i był Austriakiem. W pokoju przesłuchań i za biurkiem okazywał niezwykłą surowość. Poza biurem chętnie rozmawiał o swoim domu i rodzinie. Miał delikatne rysy twarzy, która zdawała się ginać pod wysokim czołem. Prawie codziennie staliśmy, paląc papierosy, na końcu korytarza; jego okna nie wychodziły na ulicę, lecz na zupełnie baśniowy ogród, w którym róże puszczały pąki, dzikie wino jak zielony mech pięło się po murze.

— Tęsknię za górami — Leibold poczęstował mnie papierosem.

— Czy zna pan region wokół Sankt Wolfgang? — Opowiadał o zwierzętach, które lubił, o roślinach, które zrywał. O alpejskich łąkach, wsiach nad jeziorem, o samotności, o wspinaczkach na strome skały, do których potrzebne są liny i raki.

Wydmuchiwałem dym na szybę. W czasie, kiedy mówił, obserwowałem człowieka bez ręki,

który skórzanym paskiem przywiązał sobie kosę do kikuta ręki i kosił trawę.

— Jestem mieszcuchem — przyznałem, kiedy Leibold milczał wyczekująco.

— W takim razie musi się panu podobać w Paryżu. Strząsnąłem popiół.

— To, że tu jesteśmy, wydaje mi się czasem nierealne.

Zauważyłem jego czujne spojrzenie.

— Nierealne, ale zasłużone — poprawiłem się szybko. Moje oczy wędrowały po ogrodzie. — Ile czasu może potrzebować człowiek, żeby nauczyć się posługiwać kosą jedną ręką?

Leibold stanął za mną.

— Wojna rozwija pomysłowość. — Poczulem zapach drogiej wody po goleniu i proszku przeciw molom.

— Jak spędza pan wieczory, Roth?

— Przeważnie w hotelu — nie poruszyłem się.

— Nie bawi się pan?

Usłyszałem szelest, kiedy sięgał po papierosa.

— Dużo czytam.

— Nie to mam na myśli.

— Te lokale są dla mnie... za głośne.

— Są jeszcze inne.

— Na te nie mogę sobie pozwolić. — Spojrzałem na niego tak niespodziewanie, że odwrócił wzrok.

— W takim razie pokażę panu przy okazji pewien lokal. —

Zabrzmiał w tym ton rozkazu. Przeciągnął się. — Lekarz miał już chyba dosyć czasu, żeby doprowadzić chłopaka do ładu.

— Co się z nim stanie... potem? — Zgasilem niedopałek.

— Drancy — odpowiedział Leibold. — Ale nie ja o tym decyduję.

Obóz dla internowanych Drancy był przepelniony; nowe miejsca tworzone, rozstrzeliwując więźniów. Ponadto codziennie wysyłano transporty z nimi do zakładów zbrojeniowych nad Renem.

Cały wieczór spędziłem w pokoju i czytałem. Później wpatrywałem się w zaciemnione okna. Mężczyzna za ścianą powiedział do telefonu, że Dorine nie spełniła jego oczekiwań. Kąpiący się nade mną Hirschbiegel po raz ósmy z rzędu puszczał płytę *Ma pomme*.

Następnego popołudnia przyjemność i ciekawość znowu wzięły górę nad strachem przed demaskacją. Wyjąłem z szafy garnitur w kratkę, wziąłem świeżą koszulę i wybrałem krawat. Kiedy wartownik zobaczył mnie po raz drugi z torbą na pranie, rzucił dowcip na temat czystości, który miał rozweselić pokojową. — Une bonne soiree, panie żołnierzu. — Kobieta pozdrowiła mnie.

Wyszedłem na ulicę, dotarłem do przechodniego domu, zmieniłem kostium z wprawą godną aktora. Ustawiłem rozsznurowane półbuty, żeby po omacku nie stąpać skarpetami po brudnym korytarzu. Spakowałem części munduru w takiej kolejności, w jakiej chciałem je potem włożyć.

Ponownie byłem Antoine'em. Lekkim krokiem pomaszerowałem w dół ulicy; kupiłem kwiat, żeby tylko coś trzymać w ręku. Nie oddalając się zbyt od rzeki, poszedłem na południowy wschód; minąłem obie wyspy i przed Gare d'Austerlitz skręciłem na południe.

Monsieur Antoine wszedł na rue Jacob i usiadł w kawiarni Lubinsky, która mieściła się naprzeciwko fryzjera. Zamówiłem creme. Nie było świeżego mleka, zamiast niego podawano mleko w proszku w miseczkach do konfitur. Zsunąłem kapelusz na tył głowy i czekałem. Kobieta przy stoliku obok

opowiadała o szesnastoletniej dziewczynie z sąsiedztwa, która zadenuncjowała szkolnego kolegę, w którym była nieszczęśliwie zakochana. Napisała anonim do komendanta głównego.

Żandarmi przyszli po niego o trzeciej nad ranem. W ostatniej chwili młody człowiek zdołał uciec po dachach.

Uniosłem głowę — za szybą pojawiła się sylwetka Chantal. Nie spuszczałem z oczu wejścia. Po kilku minutach wyszła, wrzuciła kosmyk włosów do kosza na śmiecie i przytrzymała drzwi klientowi. Z drugiej strony zbliżał się posiwiwały policjant. Stali jakiś czas razem, on gestykułował, pomagając sobie gumową pałką, ona założyła pasmo kręconych włosów za ucho. Policjant pożegnał się, dotykając ręką daszka czapki, i powoli oddalił się. Chantal weszła do zakładu i opowiedziała fryzjerowi, co usłyszała. Śmiali się.

Następnego popołudnia pojąłem, że Chantal nie pracuje codziennie; czekałem na próżno. Nazajutrz rozmawiała z tym uprzejmym Żydem, który miał obok sklep z galanterią, ojcem bawiących się chłopców. Po wizycie oficera SS okazało się, że fryzjer stał się miejscem popularnym wśród Niemców. Tego popołudnia naliczyłem czterech żołnierzy, którzy się tu strzygli. Pięć po siódmej Chantal opuściła rolety. Minutę później pojawiła się w bocznej uliczce. Zamknęła torebkę, w której przechowywała utarg. Do tej pory domyślałem się, jaką sukienkę nosiła pod fartuchem. Teraz mogłem przekonać się na własne oczy, czy miałem rację; zielona w bladoniebieskie paski. Dzień później, kiedy było szczególnie ciepło, Chantal zaprezentowała się w sukience w czerwone kropki, która owijała się wokół jej nóg. Kiedy przechodziła przed Lubinskim, bez pośpiechu zapłaciłem, odczekałem, aż prawie zniknie z pola widzenia, i podążyłem za nią. Nie szedłem

prosto na rue de Gaspard, lecz obrałem okrężną drogę przez Lycée i studiowałem tytuły gazet, przystając przed kioskami z prasą. Kupiłem owoce i chleb; widziałem, jak dziewczyna zwlekała do ostatnich minut przed godziną policyjną, żeby możliwie jak najdłużej pobyc na świeżym powietrzu. W końcu, kiedy już zrobiło się ciemno, zatrzymała się przed czarną bramą, rzuciła ostatnie spojrzenie na ruchliwą ulicę, otworzyła drzwi i znikła w środku. Rzadko śledziłem ją dalej niż do tego miejsca. Tym razem wszedłem do bramy i usłyszałem odgłos kroków Chantai podążających w głąb podwórza. Kiedy minęła duży kamień, padające ze sklepu światło pozwoliło mi ostatni raz ujrzeć kolorowe kropki na jej sukience.

Jej zniknięcie zakończyło również mój dzień. Pośpiesznie przeszedłem przez Pont Royal, w opuszczonym domu szybko włożyłem mundur i wojskowe buty i zawróciłem do hotelu. Po drodze spotykałem przemykających chyłkiem ojców rodzin, kobiety pośpiesznie pchające dziecięce wózki. O tej godzinie paryżanie mieli coś nieprzyjemnego w spojrzeniu; zamiast cieszyć się wolnym wieczorem, we własnym mieście, bali się, że ktoś ich spotka na ulicy. Wszedłem do hotelu, wpisałem się do książki na wartowni, dałem znać Hirschbieglowi, że jestem za bardzo zmęczony, aby gdzieś wyjść, i rzuciłem się w butach na łóżko. Tej nocy źle spałem. Nie obudził mnie telefonujący zza ściany, tylko ostrzegawcze strzały patroli, które przenikały ciemności. Często słyszałem krzyki, ale tylko we śnie. W czarnoszarych godzinach lśniła zieleń sukienki Chantai.

Nazywała się Anna Rieleck-Sostmann i była wyjątkowo wysoka. Pracowała u Leibolda, formalnie jako maszynistka, a w rzeczywistości miała pod sobą organizację całego oddziału. Niżsi stopniem, z których żaden nie skończył dobrej szkoły, byli zadowoleni, że dyryguje nimi Anna Rieleck-Sostmann. Była królową pszczół w sztabie Leibolda.

— Widziałam pana — powiedziała do mnie, kiedy przyszedłem do hotelu na przerwę obiadową. Jadła ciemny chleb. Wszyscy tutaj zadowalali się francuskim pieczywem sodowym; z jakich zapasów wojskowych mogła dostać czarny chleb? Poczulem zapach wątrobianki, którą miała obłożony chleb, prawdziwej niemieckiej.

— Mnie? — Stałem przed występem muru. — Czy nie widzimy się codziennie?

Chociaż było ciepło, Rieleck-Sostmann nosiła długie do kolan białe futro z królików lub kotów. Miała wysoko upięte włosy, które kołysały się w takt ruchu szczęk. Obserwowałem mięśnie policzków.

— Czy po skończeniu służby wraca pan do cywila? — Jej szare oczy przyglądały mi się z zaciekawieniem.

Przesunąłem ciężar ciała na obie nogi, żeby się nie chwiać. W jednej chwili zrobiło mi się niedobrze.

— Pomyliła mnie pani z kimś innym.

— Niech pan przestanie. — Przerwała mi w pół zdania. — Tylko wyżsi oficerowie mogą wychodzić do miasta po cywilnemu, a do tego tylko za specjalnym zezwoleniem.

Znałem regulamin. W ostatnim okresie obchodzenie go było surowo karane i kończyło się rozkazem wyjazdu na front wschodni.

— Nie wiedziałem tego. — Szukałem zrozumienia na twarzy Rieleck-Sostmann.

— Nic pan nie je — powiedziała.

— Wolę zjeść po służbie.

— Przesłuchania? — Jej rysy się nie zmieniły, ale wyczułem, że podśmiewa się ze mnie. — Był już jeden taki przed panem, któremu robiło się niedobrze. Obersmrmfuhrer z Wiesbaden. Brał na to tabletki. Rozchorował się, kiedy mu się skończyły. Teraz jest w Smoleńsku.

— Panno Rieleck, to co pani widziała...

— Pani — sprostowała. — Mój mąż poległ. — Ugryzła kęs. — Dlaczego podaje się pan za Francuza?

— Chciałem zobaczyć... czy mój francuski jest dostatecznie dobry, żeby wyprowadzić w pole Francuzów.

— Po co? — zapytała niewzruszenie. — Nie jest pan w wywiadzie.

— To był żart, nierozważny żart — wilem się. — I zrobiłem to tylko raz.

— Jest pan marzycielem, panie obergefreiter. Nie pasuje pan do tych czasów, — Rieleck-Sostmann zgmiotła papier,

w który były zawinięte kanapki, i wstała. Dzięki butom na wysokim obcasie była wyższa ode mnie. — Czy Leibold zaprosił pana na spotkanie Waffen-SS? Robiło mi się na przemian gorąco i zimno.

— A dlaczego miałby mnie zapraszać?

— Przepisywałam na maszynie listę gości. Mimo obawy obudziła we mnie ciekawość.

— Czy pani wie, dlaczego hauptsturmführer miałby właśnie mnie zaprosić?

— Niech pan spojrzy w lustro. — Rieleck-Sostmann po raz pierwszy się uśmiechnęła.

— Czy ma pan mundur wyjściowy? A może chce się pan tam udać w swoim garniturze w kratkę?

— Pani Rieleck — powiedziałem cicho. — Proszę mnie nie zdradzić. — Kobieta milczała. — Mam drugi mundur — odpowiedziałem.

— Proszę sprawdzić, czy nie brakuje guzika. Zresztą uroczystość odbędzie się w pańskim hotelu. — Powiedziała to, po czym zostawiła mnie samego.

W pokoju przesłuchań, na korytarzu, podczas pisania na maszynie spoglądałem badawczo na twarze innych. Czy Rieleck-Sostmann mnie wydała? Czy wiedziano o mojej maskaradzie? Posunąłem się tak daleko, że wciągnąłem w rozmowę jednego z łamaczy kości Leibolda.

— Düsseldorf— powiedział zaskoczony, kiedy spytałem, skąd pochodzi. Dołączył do nas rottenführer i teraz paliliśmy we czterech. Przy pogawędce o Nadrenii zorientowałem się, że przynajmniej niższe szarże nic nie wiedzą.

— Mój adiutant pojechał do domu na urlop — powiedział Leibold tego popołudnia. Patrzył na ogród, padał deszcz.

Pół ściany zarosło zielenią. — Chciałbym, żeby pan mi towarzyszył — dodał z uśmiechem.

Dowiedziałem się, z jakiej okazji odbywało się spotkanie. — To spotkanie koleżeńskie. — Leibold upuścił niedopałek na podłogę przede mną. — Proszę wypolerować odznaczenia i wypastować buty, Roth.

W hotelu wyjąłem z szafy lepszy mundur; był wymięty. Dawno nie oddawałem go do pralni. Szybko poszedłem do sutereny i poprosiłem o radę pokojową. Chętnie mi pomogła. Wieczorem wyprasowany mundur wisiał obok lustra. Przyjrzałem mu się uważnie, ciemna szarość wydała mi się znacząca. Z werwą nasunąłem na głowę czapkę i obciągnąłem pas.

We foyer kłębiły się dziesiątki oficerów, niektórzy w towarzystwie kobiet. Łamana francuszczyzna, sztywny nastrój. Leibold przyszedł punktualnie.

— Nieźle — zmierzył mnie wzrokiem. — Czarny pasowałby do pana jeszcze lepiej. — Poklepał mnie po ramieniu. Nie pojechaliśmy windą, Leibold nie znosił ciasnych pomieszczeń. Na piątym piętrze ogólne powitanie. Dwaj gestapowcy pochylali się nad listą gości. Podejrzliwie przyglądali się gefreitrowi Wehrmachtu, czyli mnie. Podszedłem do Leibol-da, żeby zaznaczyć moją przynależność.

— Zawołam, kiedy będę pana potrzebować. — Zostawił mnie przy wejściu i podszedł do mężczyzn w salonie. Jeszcze nigdy nie widziałem z bliska standartenfuhrera. Ogromnego mężczyzny, który serdecznie przywitał się z Leiboldem. Wziąłem kieliszek białego wina i wycofałem się do kąta. Pół godziny później zjawiała się Anna Rieleck-Sostmann. Była ubrana w niebieski kostium, długa spódnica zasłaniała łydki do kostek.

— Pani też jest zaproszona? — spytałem zaskoczony.

— Telegram do Leibolda. — Rieleck-Sostmann uniosła w górę teczkę. Jej wzrok mówił, że nie chce należeć do uszminkowanych Francuzek, które otaczali oficerowie.

— Czy mam panią zaprowadzić do niego? — Leibold siedział naprzeciwko standartenfuhrera. Osobliwy widok, obaj na tle tapety zdobionej w korony. Kiedy chciałem odejść, poczułem rękę Rieleck-Sostmann na rękawie.

— Mam czas. — Jej palce pozostawały na moim mankiecie. — Na którym piętrze jest pana pokój?

Powiedziałem jej.

— A numer? Spojrzałem na nią.

— Niech pan idzie przodem, zapukam dwa razy. — Jej oczy były cały czas zimne.

— A jeśli Leibold...

— Nie zauważy tak szybko.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale postawa Rieleck-Sostmann wykluczała jakikolwiek sprzeciw. Odwróciłem się na pięcie w stronę dwuskrzydłowych drzwi, szedłem krok za krokiem i nie odwróciłem się więcej. Kiedy mijałem wartowników, uniosłem rękę do pozdrowienia. Poczuję pot w cholewach butów. Bluza od munduru cisnęła mnie pod pachami. Na schodach grupa oficerów SS próbowała ułożyć trudne francuskie zdanie.

Zbiegłem trzy piętra w dół, przeszedłem przez hol.

Przestraszyłem się, kiedy obok mnie pękła i zgasła żarówka.

Otworzyłem drzwi, które następnie się zatrzasnęły. Stałem w pokoju jak obcy. Łóżko praktycznie zajmowało całe pomieszczenie. Nie zapaliłem światła, nie odsłoniłem zasłon, chociaż powietrze wewnątrz było stęchłe. Jak zawsze nie miałem nic do picia. Poczuję stłumione pulsowanie w skroniach.

Niedługo później Rieleck-Sostmann wślizgnęła się do pokoju i bezgłośnie zamknęła drzwi. Patrzyła na mnie, jakby oceniała wartość jakiegoś przedmiotu. Rozpuściła włosy. Jednym ruchem odpięła mi pas.

— Sztylet by ci pasował — powiedziała, zdejmując naszyjnik.

— Uważam, że sztylet jest niepraktyczny — wymamrotałem. — Za bardzo się płacze.

Popchnęła mnie tak silnie, że upadłem na łóżko. Rozpięła guziki żakietu i bluzki, ale się nie rozebrała. Głośny szelest, spódnica zsunęła się na podłogę. Nosła cieliste pończochy. Uklękła nade mną, rozpięła mi koszulę. Pomyślałem o sąsiedzie zza cienkiej ściany, który właśnie teraz odłożył słuchawkę.

— Musimy być cicho.

Chwyciła mnie za biodra i zsunęła spodnie do kolan. Pomyślałem w tej chwili o wodzie, która podmywała stalową konstrukcję Pont Solferino.

7

Funkcjonariusze tajnej policji państwowej sumiennie sprawdzili listę, zanim z powrotem wpuścili mnie do sali. Leibold czekał na mnie.

— Miał pan pytać o pozwolenie — powiedział rozdrażniony.

— Odszedłem tylko na chwilę, panie hauptsturmfuhre-rze. —

Stałem na baczność. Kiedy nie patrzył, wytarłem pot nad górną wargą.

— Musi pan wytrzymać jeszcze pół godzinki. Potem dołączymy do kilku panów, którzy wybierają się do lokalu Turachevskiego.

— Nie stać mnie na nocny lokal, panie...

— Niech pan przestanie się poniżać — Leibold napadł na mnie.

— Czy uwierzy pan, że tam sprzedają szampana na kieliszki?

Proszę spróbować kawioru.

Rozsmarowałem odrobinę czarnej galarety na sucharku. Od czasu, kiedy Rosjanie opuścili swoją ambasadę, konserwy były wszędzie. Również herbata w rozmaitych gatunkach, mocniejsza i bardziej aromatyczna niż mielony proszek z zapasów Wehrmachtu. Przypomniałem sobie, że czytałem

okropne historie o konfiskacie mienia w redakcji „Je suis partout”. Drzwi z mechanizmem zapadkowym i więzienne lochy, elektryczne wanny do spalania zwłok. Rozjaśnione błyskiem flesza twarze na zdjęciach.

Dyskretnie przechadzałem się z talerzem w rękę pomiędzy mundurowymi. Wyglądałem przez okno. Na balkonie naprzeciwko stała Francuzka w szlafroku i patrzyła na hałaśliwe towarzystwo. Kiedy wychyliłem się na zewnątrz, znikła w mieszkaniu. Wlepiłem wzrok w ciemny czworokąt okna. Co teraz robiła Chantai? Czy mieszkała razem z ojcem? Czy mieszkanie znajdowało się nad księgarnią? Po raz pierwszy zdziwiłem się, bo właśnie teraz uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie widziałem jej z mężczyzną. Może to fryzjer?

— O czym pan marzy, Roth? — Leibold spojrzał na mnie, jego zazwyczaj smutne oczy błyszczały teraz od szampana. — Wymarsz. — Zgasił niedopałek. Kiedy przykrył łysinę, wydawał się o kilka lat młodszy.

Samochodem miało jechać czterech mężczyzn. Byłem jedynym szeregowcem. Wyglądało na to, że na tylnym siedzeniu będzie ciasno. Zaproponowałem, że pojedę metrem; mogliśmy się znowu spotkać przy Trinité. Leibold zbył to żartem, mówiąc, że nie chcą, abym się tłoczył razem z żołnierzami śpieszącymi na kwatery przed capstrzykiem. Kiedy wsiadałem, poczułem na sobie kłujący wzrok standartenfuhrera. Leibold odpiął sztylet i położył go na kolanach. Mocno przycisnąłem się do drzwi.

— Czy panowie wiedzą, co znalazłem, kiedy wychodziłem z kasyna oficerskiego? — zapytał Standartenführer. — Broszurę. Ruszyliśmy.

— Nieprzyzwoite zdjęcia? — Untersturmführer na przednim siedzeniu odwrócił się.

— Z rodzaju tych zabawnych — powiedział jego przełożony. — Kobieta, widziana z tyłu, która ma na sobie tylko krótkie skórzane spodnie. Widać gołe pośladki, bo w spodniach wycięto owalne otwory!

Podczas gdy wszyscy się śmiali, Leibold obserwował mnie badawczym wzrokiem. Minęliśmy Solferino, pod mostem burzyła się niewidoczna dla nas woda.

— Teraz jest najlepsza pora na Turachevskiego — powiedział oficer na przednim siedzeniu. — Po północy zbiera się tam sam Wehrmacht. Wtedy robi się ciasno na kanapach. Kiedyś widziałem ośmiu wojaków na jednej sofie. — Spojrzenie standartenführera zdusiło jego głupawy śmiech.

— Raz słyszałem tam śpiewającego Murzyna — rzekł Leibold.
— To było coś nadzwyczajnego.

— Mam nadzieję, że mają balet — odpowiedział Standartenführer.

Do rue de Clichy milczeliśmy. Ulice były puste, jak wymiecione. Kilkoro niemieckich cywilów. Jakaś kobieta biegła w klapiących drewnianych sandałach. Kiedy usłyszała niemiecki samochód, zniknęła w najbliższej bramie. W wejściu do Schéhérezade paliło się niebieskie światło i odbijało się od daszka czapki nocnego portiera.

Zatrzymaliśmy się przed Turachevskim, wyskoczyłem z samochodu i otworzyłem drzwi hauptsturmführerowi.

— Niech pan nie robi takiej miny — syknął Leibold. Zanim Untersturmführer zdążył dotknąć klamki, drzwi się otworzyły. — Chyba jest całkiem pusto. Standartenführer rozejrzał się dookoła. — Inaczej musielibyśmy przypuścić szturm, żeby nas w ogóle usłyszeli.

Wszedłem do środka jako ostatni. Sofy i szezlongi, wysoko okrągły świecznik.

— No, to co robimy? — mruknął Standartenführer. Naprzeciw nam wyszła kobieta witająca gości, była ubrana w sukienkę z niebieskiego jedwabiu. W ręku trzymała garść koronkowych chusteczek, którymi ocierała czoło.

— Och, mon dieu, dobry wieczór, wielkie nieba, co się stało? — wołała. — Gdzie są wasi przyjaciele, les messieurs soldats? Oficerowie spoglądali po sobie.

— Jest ciepło, Madame, piękny wieczór. Lepiej zostać na dworze.

— Ależ, co pan mówi, M'sieur l'officier. Wszyscy żołnierze pojechali do Rosji, wczoraj w nocy, pociągiem.

— Do diabła — wtrącił Standartenführer. — Je vous assure, Madame, żaden żołnierz nie wyjeżdża z Paryża na Wschód. Kto opowiada takie brednie!

— Mam taką nadzieję — odpowiedziała Madame, lekko uspokojona. — Encore deux jours comme ça, et je dois congédier les filles. — Z ręki wypadła jej jedna chusteczka. — Quelle horreur cette guerre de Russie. Niemcy muszą mieć duże straty.

— Całkiem przeciwnie, Madame — stwierdził Standartenführer ostrym tonem. — Il faut garder votre sang froid, je vous en prie. Nie można porównywać niemieckich strat do historycznego, światowego wymiaru sukcesu. — Powiedziawszy te słowa, zostawił matronę, przeszedł przez salon, stukając butami, i znikł w barze. Nasza eskorta dołączyła do niego.

Byli tam cywilni pracownicy ambasad, jeden w białych kamaszach. Poza tym oszuści, spekulanci i alfonsi. Kilku ludzi z Wehrmachtu. Ledwie widoczne skiniecie trupich główek, niedbałe salutowanie. Kelner wskazał nam najlepszy stolik, oddalony od sceny zaledwie na wyciągnięcie ręki.

Zawahałem się, zanim usiadłem, ale Leibold po koleżeńsku skinął przyzwalająco.

— Siadać! — zawołał za moimi plecami. Przysunąłem sobie krzesło od stolika obok. Dziewczęta z baletu wykonywały na scenie taniec zwierząt. Na twarzach miały maski owiec i lwów, poza tym niewiele więcej. Orkiestra grała ludowe melodie. W czasie podskoków Standartenführer zamówił dwie butelki.

— Jeśli szampan jest tak samo nędzny... — powiedział. Numer zakończył się zjednoczeniem owiec i lwów. Orkiestra zagrała marsza. Pianista wstał i obwieścił łamaną niemczyzną, że teraz obejrzymy nagie żywe obrazy.

— Do tego muszę napić się wódki! — jęknął Standartenführer. Nie czekał, aż kelner otworzy szampana, tylko wysłał go po zamówienie. Untersturmführer strzelał korkami. Ręka Leibolda zwisała z krzesła, bardzo blisko mojego kolana. Palcami wystukiwał rytm o nogę mojego krzesła. Wziąłem pełen kieliszek i odsunąłem się trochę na bok. — Nagie żywe obrazy! — uszczypliwie mruknął Untersturmführer, kiedy cztery dziewczęta przedstawiały na scenie *Most do szczęścia*. Młody mężczyzna, przebrany za księcia, szedł przez most i okazywał zainteresowanie każdemu nagiemu filarowi. Standartenführer zrobił kwaśną minę. — To gorsze od bajek braci Grimm!

— Aha, ale ta z kokiem niesamowicie ponętna bestyj-ka. — Untersturmführer pił na zmianę wódkę i szampana. *Most do szczęścia* znikł ze sceny. Przy podkładzie solo na skrzypcach ukazał się następny żywy obraz. Wyraźnie poczułem rękę Leibolda na cholewie buta.

Trzy kobiety odgrywały scenę pt. *Wyrok Parysa*. Nagie greckie bóstwa powoli obracały się dookoła ze swymi insygniami w dłoniach. Hera o wydatnym biuście miała na

sobie czerwoną szatę. Niezgrabna Afrodyta bawiła się listkiem figowym i na przemian zasłaniała i odsłaniała swoją nagość.

Trzecią była Pallas Atena.

Zapomniałem o ręce Leibolda, która ostrożnie obejmowała moje kolano, ponieważ boginię wojny grała Chantal. Miała na sobie hełm i zbroję, która była tak wycięta, że całkowicie odsłaniała piersi. Podobnie jak inne boginie wyciągała rękę po złote jabłko i obracała się. Jej czerwonobrazowe włosy błyszczały w świetle reflektorów. Twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

— Wystarczy, moi panowie! — Standartenführer zerwał się na równe nogi. — Mam dość tych występów. — Ciężkimi krokami skierował się do salonu.

Podniosłem się powoli, jakbym połknął kij. Wpatrywałem się w scenę, nie odrywając oczu od Chantal. Ręka Leibolda powędrowała do papierośnicy. Umalowany na złoty kolor Parys właśnie miał zamiar podać Afrodycie jabłko, ale zirytowało go zamieszanie przed sceną. Jabłko upadło i potoczyło się poza światła rampy, co wywołało rozbawienie wśród bogiń. Nie kończąc numeru, zniknęły za prześwitującą kurtyną. Orkiestra grała *Pieśń miłosną*, światła na scenie zgasły. Czy naprawdę była tam Chantal, pomocnica fryzjerska?

Leibold przyglądał mi się bacznie.

— Która z tych Gracji tak pana oczarowała? Bo chyba nie ten młodzieniec? — Miał spokojną twarz, na jego czole lśniły krople potu.

— A więc co robimy? — zapytał Untersturmführer. Leibold wskazał na salon, gdzie po raz drugi zadzwieczał dzwonek. Nie udzielwszy odpowiedzi, ruszyłem między stolikami. Leibold poszedł za mną z kieliszkiem w ręku. Kiedy weszliśmy, Madame klaskała w dłonie, dając w ten

sposób znak dziewczętom, żeby się pośpieszyły. Dziewczyny tłoczyły się już przez wszystkie drzwi. Żyrandol rzucał silniejsze światło. Standartenführer usiadł na sofie i czekał na pojawienie się całej grupy. Na środku, jak maszt, stanęła wysoka dziewczyna w niebieskiej tunice, inne zgromadziły się wokół niej. Druga, z obrażoną twarzą, uniosła spódniczkę i pokazała widok z tyłu. Była to Słowianka z żółtawymi oczami i zdrowymi zębami. Dziewczyna w zielonej koszulce, bardzo chuda, z ostro zarysowanymi łopatkami. Cały czas wychodziły nowe, o twarzach wydłużonych od skrywanego ziewania. Szelest jedwabiu, skrzywienie sandałów. Mój wzrok biegał od drzwi do drzwi. Skąd wyłoni się Chantal?

— Czego tu szuka ta wymalowana herod-baba? — zaśmiał się Standartenführer. — Chyba mobilizują już ostatnie rezerwy! — Jedna z kobiet z brzegu rozchyliła kimono. Piersi wyglądały dziwnie. Rzuciło mi się w oczy, że wszystkie kobiety wydawały się jakby nieobecne. Uformował się jeden rząd, za nim drugi.

— Zawsze myślałem, że mają tu najwyżej dziesięć kobiet — powiedział wysoki oficer, najwyraźniej pod wrażeniem.

Untersturmführer wymieniał spojrzenia z wysoką dziewczyną w tunice. Kiedy drugi rząd się zappełnił, spóźnialskie zebrały się przed innymi. Uniesione brwi, poważne miny. Nie było wśród nich oczu Chantal.

— Uwaga, zdjęcie grupowe! — wyszczerzył zęby Standartenführer. Rozpiął górny guzik, przesunął Krzyż Zasługi. Untersturmführer czekał na wybór przełożonych, aby mógł wreszcie zniknąć z wysoką dziewczyną. Leibold rozwalił się w fotelu, jakby to wszystko go nie obchodziło. Zrobiło się cicho, nadszedł moment wyboru.

— Mesdames, proposition surpasse le... Jeszcze raz, jak się mówi „zainteresowanie”? — oficer odwrócił się do mnie.

— Demande — odpowiedziałem i skierowałem tym spojrzenia innych na siebie.

Madame przyniosła szampana. Nachylając się, zwróciła uwagę standartenfuhrera na smukłego, ale o pełnych kształtach anioła.

— Vous connaissez Flora, nowe objawienie?

— Nie, nie. — Flora nie przypadła oficerowi do gustu. — Ta z tyłu, w drugim rzędzie — powiedział. — Czwarta z lewej, o wulgarnych ustach. Już raz mieliśmy przyjemność.

— Alors, Monsieur — skinęła Madame. Chusteczką dała znak w kierunku kandydatki.

— Tak, swojska kuchnia, prawdziwie niemiecka dobroduszna dziewczyna — mędrkował wysoki ze spuszczonego wzrokiem, kiedy wybrana kobieta podeszła do niego. — No pięknie — westchnął, jakby przestało mu zależeć na tym przedstawieniu. Untersturmführer doskoczył do dziewczyny w tunice nieco zbyt gorliwie, jakby ktoś inny mógł ją mu porwać. Nie uśmiechnęła się.

— Stracił pan apetyt? — Leibold stanął obok mnie. Zalecał mnie zapach drogiej wody po goleniu.

— Właściwie nie...

— Jeśli pan chce, moglibyśmy pójść gdzieś indziej. — Kiedy dotykał brokatowej bordiury, jego ręka musnęła mój kark. Patrzyłem na bladą, pozbawioną taktu twarz. Cały czas stały przed nami dwa tuziny kobiet. Madame bawiła się srebrnym krzyżykiem na piersi. Jej mina powinna zachęcać do dokonania wyboru, ale odkryłem w niej zniecierpliwienie. W drugim rzędzie dziewczyna z krótko obciętymi włosami nie mogła powstrzymać ziewania, otwierała usta, przeciągnęła dłonią po oczach, zabrzczały bransoletki.

— Ta — powiedziałem i zostawiłem Leibolda.

Z cichym „pardon” wąskie ramiona wysunęły się do

przodu, krótko ostrzyżona głowa przedzieliła rząd koleżanek. Nie trwało to nawet sekundy, kiedy z twarzy Leibolda znikł uśmiech i po prostu skierował się z powrotem do baru.

Dziewczyny odwróciły się na pięcie, te, które leżały, podniosły się, powiewały rękawy i końce pasków; minęła chwila, a pokój był już wolny, szarozielony dywan pusty. Na schodach dziewczyny, które nie zostały wybrane, zaczęły trajkotać jedna przez drugą, jak w pensjonacie dla panienek. Dziewczyna z krótkimi włosami czekała na mnie. Zasłoniła dłonią usta. Cały czas miałem jeszcze nadzieję, że wśród odchodzących zobaczę Chantai. Ani śladu czerwonobrazowych włosów. Ani śladu córki sprzedawcy książek. Paryż wydał na mnie wyrok.

— Veuillez monter? — zachęcała Madame.

Zachowując odstęp, podążyłem za krótko obciętą dziewczyną, która, jak można było się domyślić, przedstawiła się jako Yvette. Wiedziałem, że Leibold obserwuje mnie z za drzwi, i już się nie odwróciłem.

Pokój był większy, niż przypuszczałem, osunąłem się na łóżko. Yvette ściągnęła zielone okrycie.

— Seulement un moment — powiedziałem. Nie zrozumiała, uklękła przede mną na dywanie.

— Je pars tout de suite. — Poszukałem banknotów w kieszeni na piersi. Zapłaciłem i odsunąłem jej rękę.

— Mais qu'est-ce que t'as? Tu me voulais.

— Oui, tu me plais beaucoup. Je suis fatigué. Spojrzałem na zegarek. Czy Chantal jeszcze tu była? Jak wracała nocami z Pigalle na rue de Gaspard? Gdzieś za którąś ze ścian zaśmiał się Untersturmführer. Dziewczyna z chłopięcą fryzurą ułożyła się na moich kolanach. Usnęła w trakcie głaskania mnie po rękę.

— Dzisiaj wieczorem! Proszę cię!

Hirschbiegel zapukał, aż dudniło, a teraz stał w drzwiach.

— Dzisiaj idziemy pohulać! — zawołał z szeroko otwartymi oczami, żeby wyłowić mnie w ciemnościach.

Hirschbiegel ważył ponad sto kilo. Jego nogi były grube jak pnie drzew i miał siłę wołu. Chociaż kazał sobie uszyć na miarę mundur porucznika, wyglądał w nim jak postać z dowcipów.

— Chercher la femme! — zawołał. — Tym razem ci nie daruję!

Hirschbiegel pochodził z Monachium, miał bogatych rodziców.

Kiedyś nawet pochwalił się, że posiadają apartament w Paryżu.

Junior uważał wojnę za spacer. Bał się tylko jednej rzeczy, samemu pójść do burdelu. Wstydził się zagadać do gryzetek i chciał, żebym przetał mu szlak.

— Dzisiaj nie da rady. — Naciągnąłem prześcieradło pod brodę.

— Na miłość boską! Tylko byś leżał w łóżku! — Podszedł do okna i rozsunał zasłony. W jego kędzierzawych

blond włosach lśnił pot. Kiedy się odwrócił, zamarł w bezruchu. Anna Rieleck-Sostmann postawiła nogę na brzegu łóżka i naciągała pończochę.

— Jezus, Maria, pardon! — W pierwszym odruchu strachu oparł się o ścianę. — To z powodu ciemności — usprawiedliwiał się i zmierzył wzrokiem półnągą kobietę. — Nie wiedziałem, że nawiązałeś kontakt z wrogiem — powiedział, szczerząc zęby. — Przedstaw mnie! — Już odzyskał swoją niedźwiedziowatość. — Może mógłbym...

— Niech pan opuści pokój, kiedy dama się ubiera. — Ton głosu Rieleck-Sostmann podział na Hirschbiegla tak samo dyscyplinująco jak na rottenfuhrerów w biurze. Przestraszył się ojczyściego języka. — To nasza! — wyrwało mu się.

— Jazda stąd, poruczniku. — Ani przez chwilę nie podniosła głosu.

— Gdybym wiedział...! Bardzo, bardzo panią przepraszam. — Robiąc w tył zwrot, zawadził o łóżko, Rieleck-Sostmann podniosła się groźnie. Zaraz po tym usłyszałem ciężkie kroki na korytarzu.

— Przykro mi. — Dotknąłem jej pleców.

— Nic na to nie poradzimy. I tak w twoim hotelu jest mniej utrudnień niż w moim. — Wygładziła drugą pończochę i spojrzała na mnie. — Wyjdiesz z grubasem? — Jasne włosy zakryły jej pół twarzy.

Wziąłem jednego z jej papierosów.

— Możliwe.

Zaczęła upinać kosmyki włosów.

— Nie korci cię czasami, aby znowu udawać Francuza?

Zapaliłem zapalniczkę.

— Co by to komu szkodziło, gdybym to zrobił?

— A jeśli cię zadenuncjuję jako *déserteur amoureux*?

Nigdy nie wiedziałem, kiedy żartuje. Obserwowała moje rozjaśnione przez płomień oczy. Nagle wstała, otworzyła moją szafę i wyjęła z niej garnitur w kratkę. Uśmiechając się, włożyła marynarkę. Wróciła przebrana za mężczyznę i opadła na mnie. Znosiłem jej sprawiającą ból czułość. Kiedy skończyła, wstała i zsunęła marynarkę na podłogę. Drugi raz poprawiła włosy przed lustrem. Zbadałem językiem dolną wargę, gdzie mnie ugryzła. W chwili, kiedy Rieleck-Sostmann sprawdzała korytarz, niczego więcej nie pragnąłem, tylko normalnej służby, daleko od Paryża, jakiegoś biura gdziekolwiek, zdań, które tłumaczyłbym na niemiecki. A jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że nigdzie nie trafiłoby mi się takie wygodne miejsce jak tutaj.

Kiedy Rieleck-Sostmann wyszła z pokoju, przez kilka minut wpatrywałem się w marynarkę na dywanie. Brakowało mi Monsieur Antoine'a. Młodego człowieka, który zsuwał kapelusz na kark i swobodnie przemierzał miasto. Nieznanego paryżanina, który pozdrawiał ludzi na ulicach i był przez nich pozdrawiany. Który rozkoszował się ciepłem letniego dnia.

Aż do dziś nie miałem odwagi, żeby zlekceważyć ostrzeżenie Rieleck-Sostmann. Nie chodziłem na rue Jacob ani w mundurze, ani po cywilnemu. Wiele razy zamierzałem pojechać do Turachevskiego, ale na to również się nie zdobyłem. Często zastanawiałem się, czemu Chantai tam pracuje. Wiedziałem o niej tak mało, ale jedno było oczywiste, nienawidziła klientów lokalu. Dlaczego występowała przed nimi nago?

W czasie tych tygodni stałem ponury i przygnębiony.

Przesłuchiwalismy jakiegoś Gaskończyka, był podejrzany

O rozklejanie w dziewiątej dzielnicy ulotek wzywających do podpaleń. Był małomówny, sękaty jak korzeń i ukrywał się za swoim dialektem. Często musiałem się dopytywać, żeby zrozumieć, co ma na myśli. Leibold przekazał mężczyźną rottenfuhrerom. Jednak było to jak walenie o ścianę. Gaskończyk miał potężne ramiona, którymi zasłaniał się w obronie, kiedy zaczęli bicie. Wsadzali mu głowę do balii i trzymali pod wodą, a on nie reagował. Kiedy się wynurzał, nic nie mówił. Nie pozwalali mu spać; z ciężkimi powiekami i wysuniętą żuchwą siedział tylko i mówił tak niezrozumiale, że z trudem udawało mi się łączyć wszystko w jedną całość.

— Nie wyciągniemy od niego żadnej ważnej wiadomości — powiedział później Leibold na korytarzu. — Jestem pewny, że to on inspiruje to wszystko. Zwolnię go na parę dni. Wypuszczę za nim pięć psów gończych; odtąd nie będzie ani przez chwilę sam. Kiedyś musi nawiązać kontakt.

Czasami wyobrażałem sobie, że bez trudu zniosę niekończące się przesłuchania, a nawet rottenfuhrerów z ich metodami. Kiedy indziej sądziłem, że jest to nie do wytrzymania. Wspomnienie krzyku budziło mnie każdej nocy. Zagadnąłem Leibolda na temat cofnięcia mojego przeniesienia; zostałem tu odkomenderowany tylko chwilowo. Odpowiedział, że mam wybić to sobie z głowy.

— Był pan ostatnio jeszcze raz u Turachevskiego? — Od czasu tamtego wieczoru unikaliśmy tego tematu. — A jak tam ta mała ostrzyżona na chłopca, dobra była? — W oczach Leibolda ujrzałem lubieżny, zimny blask.

Dni na rue des Saussaies, ćwiczenia erotyczne z Rieleck-Sostmann, moja tęsknota za Chantal — czułem się uwięziony w pozbawionym radości życia trójkącie.

Nade mną zaczęła szumieć woda. Hirschbiegel wszedł do wanny.

W dalszym ciągu wpatrywałem się w marynarkę na

podłódze. Świadomość, że za chwilą usłyszę dźwięki *Ma pomme*, dodała mi potrzebnego bodźca. Szybko wzięłem spodnie z łóżka i włożyłem je.

Było niemiłosiernie gorąco, a zbliżał się już wieczór.

Przeistoczyłem się w Monsieur Antoine'a. Jak za pierwszym razem miałem ze sobą La Fontaine'a, z książką czułem się pewniej. Nie marnowałem czasu na północnym brzegu rzeki, przeszedłem przez Pont Royal i skierowałem się na rue Jacob. W restauracji Lubinsky znalazł się zacieniony stolik. Piłem pierwszą creme. Położyłem przed sobą książkę, jak ktoś, kto ma zamiar czytać, i nie chce, żeby mu przeszkadzano. Z dnia na dzień robiło się coraz bardziej gorąco. Powietrze gotowało się od rozgrzanego bruku, nad szczytami domów było parno. Ludzie cieszyli się z tego, słyszałem, jak rozmawiali o burzy, która miała nocą przejść nad miastem. Schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło.

Poczułem cień.

Stała nade mną z poważną miną. Była ubrana w sukienkę w czerwone kropki. Nie patrzyła na mnie, lecz na książkę. Potworna mała jechała na grzbiecie smoka morskiego po spienionym morzu ciemnozielonego koloru. Miedzioryt na stronie tytułowej zawsze był dla mnie wstępem do czegoś oczekiwanego. Palce Chantal dotykały włosów na brodzie potwora morskiego.

— Tak wygląda tylko sum — powiedziała. — Nie ma innego podobnego zwierzęcia. — Jej głos brzmiał głębiej, niż zapamiętałem, jak głos chłopca przechodzącego mutację.

— Jeszcze nigdy nie widziałem suma. — Po raz pierwszy użyłem tego słowa.

— Mój dziadek łowi je czasami. Na wsi — odpowiedziała Chantal.

— Mieszka pani na wsi?

Rzuciła mi zaskoczone spojrzenie.

— Przecież pan wie, że nie. — Usiadła tak nagle, że kawa wylała się z filiżanki. — Une Grenouille vit un Boeuf, qui lui sembla de belle taille. — Otworzyła książkę.

— Żaba i wół — przytaknałem. — Lubi pani tę bajkę?

— Jest bardzo znana.

— Żaba, która chce dorównać wielkością wołu?

— Są ludzie, którzy tak się nadymają, że omal nie pękną. —

Przywołała przechodzącego obok kelnera, żeby przyjął zamówienie. — Dawno tu pana nie widziałam. — Wcisnęła sukienkę pomiędzy kolana. Mój wzrok muskał trójkąt jej łona.

— Czy to znaczy, że rzuciłem się pani w oczy?

— Tutaj większość obcych nosi mundury — powiedziała po chwili. — A pan nie.

— Ja nie. — Czekałem. Obok powiało świeżym powietrzem. Teraz na wierzchu była bajka *Lampart i małpa*. Kelner postawił przed Chantal zieloną lemoniadę. Piła małymi łyčzkami. Mój wzrok wnikał do wnętrza jej ust.

— Czym pan się zajmuje zawodowo? — zapytała zniecierpliwiona. Próbowałem zyskać na czasie, zamykając książkę i chowając ją do kieszeni. Podać się za księgarza było zbyt ryzykowne. Córka sprzedawcy książek mogła zadawać pytania. Wiedziałem, że Sorbona była zamknięta. Ale inne uniwersytety? Zwlekanie z odpowiedzią stawało się groźne.

— Jestem studentem.

— Właśnie tak pan wygląda. — Pierwszy raz Chantal uśmiechnęła się. — Dlaczego nie został pan powołany?

— A pani, Mademoiselle? — Miałem dość pytań. — Czy zajmuje się pani wyłącznie zamiataniem włosów?

— Co pan ma na myśli? — Na górnej wardze miała ledwo widoczne włoski.

— Coś niecoś wiem o pani. — Prztyknąłem palcami i wskazałem na pustą filiżankę. Kelner głową potwierdził przyjęcie zamówienia. Spojrzałem na Chantal. — Lubi pani motyle.

— Skądże? — spytała szczerze zaskoczona.

— Za każdym razem, kiedy odlatuje motyl, ogarnia panią mały smutek.

Zapadła cisza. Czuję bicie własnego serca. W tej chwili wszystko mogło się zdarzyć, mógłbym nawet balansować na przewodzie elektrycznym nad kawiarnią.

— Skąd pan to wie? — Jej oczy były bardzo poważne.

— Czy pani tańczy? — Usłyszałem cichy śmiech w swoim głosie. — Z pewnością pani wie, gdzie dzisiaj można potańczyć wieczorem.

— Mamy zaciemnienie.

— Gdzie tańczy się przy zaciągniętych zasłonach.

— A godzina policyjna?

— Fryce nie mogą być wszędzie.

Jej szklanka była pusta. Szukała czegoś w torebce.

— Pomylił się pan co do mnie. Muszę iść.

— Pozwoli pani? — Przyciągnąłem do siebie talerzyk z rachunkiem.

— Czy zna pan bajkę o zakochanym lisie? — Chantal wstała. — Lis pożądał miłości pewnej dziewczyny. Umówiła się z nim pod jednym warunkiem. Musiał obciąć sobie pazury i spiłować zęby. Zakochany lis zrobił, co dziewczyna kazała. A kiedy już nie mógł się bronić, poszczuła go psami.

Położyłem monety na talerzu.

— Czy pani uważa, że lis powinien dać się oswoić dziewczynie?

Nie odpowiadając, przeciskała się pomiędzy stolikami.

Włożyłem kapelusz i poszedłem za nią. Zdziwiony kelner od Lubińskiego rozglądał się za gościem, który zapłacił za swój creme, ale go nie wypił.

Chantal podążała rue Jacob w kierunku zachodnim.

— Czy musi pani już iść do domu? — Dogoniłem ją. Z południa dał się słyszeć huk pierwszego grzmotu.

— Co pan jeszcze wie o mnie? — przyśpieszyła kroku.

— Wieczorami chodzi pani do sklepu z gazetami i czyta najświeższe wiadomości. Nie opuszcza pani pierwszej strony „Je suis partout”. Kupuje pani owoce u Maillarda, a chleb o dwa domy dalej. Otwiera pani czarną bramę i znika w ukrytej uliczce. Czasem siedzi pani na kamieniu, który musiał spaść z nieba. Chantal zatrzymała się. W oddali niebieskobiała błyskawica rozdarła niebo w kolorze mleka.

— Ojciec mówił, że jakiś mężczyzna wypytywał się o mnie. Czy to był pan?

Następny grzmot rozległ się nad piątą dzielnicą. Szybko zrobiło się ciemno. Powietrze wypełniło się zapachem siarki. Raptowny cień przeciął twarz Chantal na dwie połowy. Poryw wiatru zagroził stratą kapelusza. Podeszła blisko mnie.

— Jeśli mój ojciec zobaczy La Fontaine'a, z pewnością będzie chciał go kupić.

— Nie sprzedam.

Błyskawice przecinały niebo nad pierwszą dzielnicą. Niosący tumany kurzu wiatr przycisnął sukienkę do bioder Chantal.

Zdjąłem marynarkę i zarzuciłem jej na ramiona. Pierwsze krople deszczu spadły mi na koszulę.

— Nie powinniśmy tu stać.

Biegliśmy przez burzę, w uliczce wyła wichura. Wiatr rozwiewał włosy Chantal.

— Chyba powinienem odprowadzić panią do domu? — Kurz wbijał mi się w twarz, wyplułem go. Chantal odwróciła głowę. Objąłem ją, opieraliśmy się wiatrowi. Na skrzyżowaniu z bulwarem zagroziła nam drogę ściana deszczu. Chantal wciągnęła mnie nagle w wyboistą uliczkę. Bruk był popękany jak po trzęsieniu ziemi. Po dziesięciu krokach dotarliśmy do szynku. Był pełen ludzi, którzy uciekli przed burzą. Stanęliśmy obok siebie ściśnięci.

— Czerwone czy białe? — Gospodarz zauważył nas. Widziałem rozgrzaną twarz Chantal. Strząsała wodę z włosów. Zamknąłem oczy przed kroplami wody.

— Dwa razy czerwone! — odkrzyknęła.

Kieliszki były przekazywane z kontuaru dalej od gościa do gościa. Chantal odebrała je.

— Gdzie pan mieszka?

Pytanie pojawiło się nieoczekiwanie. Nie mogłem podać nazwy hotelu. Przyszedł mi na myśl Hirschbiegel.

— U przyjaciela — powiedziałem. Kiedyś opisał mi mieszkanie. Bardzo przytulne, można tam było zapraszać kobiety.

Znajdowało się w drugiej dzielnicy. Stuknęliśmy się kieliszkami. Umoczyła usta w winie. — Gdzie znajduje się to mieszkanie?

— W Drugiej.

Chantal piła w milczeniu. Z jej włosów unosiła się delikatna para, proszek przeciw molom na mojej marynarce roztałcał osobliwy zapach. Ostatni uciekinierzy umykali przed deszczem, za szybami wszystko płynęło. Chantal była coraz bardziej zmęczona. Oparła ramię na moim ramieniu. Objąłem ją w tali. Odwróciła się nieco w moją stronę i położyła dłoń z tyłu mojej głowy. Miała zamknięte oczy. Dotknąłem jej ust, lekko się rozchyliły, poczułem jej oddech i opuszki palców na plecach. Mężczyzna obok trącił nas, dając do

zrozumienia, żebyśmy się opierali o kogoś innego. Powieki Chantal uniosły się, ujrzałem szarość i fiolet w jej źrenicach. Głaskała mnie po karku. Niedaleko ktoś otrząsał mokrą kurtkę, jakaś kobieta się śmiała. Zapachy wina i ludzi.

— Co pan robi, kiedy nie czyta pan bajek? — zapytała Chantal. Przed moimi oczami pojawił się pokój przesłuchań, skuci więźniowie. Mężczyźni, którzy próbowali oszukać Leibolda, żeby uchronić się przed bólem. Bezsilni, którzy mówili wszystko i z pogardy byli źle traktowani. Niezłomni, którzy nie poddawali się bólowi, a mimo to zostali złamani.

— Po prostu jestem w Paryżu — powiedziałem. Kiedy się przejaśniło, wyszliśmy. Mury oddawały ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Szliśmy obok siebie, nie dotykając się. Dotarliśmy do czarnej bramy.

— Co pani robi jutro? — zapytałem. Zwróciła mi marynarkę.

— Jutro nie będzie mnie w salonie.

Przez chwilę pomyślałem o Turachevskim, ojej występie w roli Pallas Ateny. Zrozumiałem, że ma na myśli Salon de Coiffure.

— Spotkamy się jutro u Lubińskiego?

— Nie wiem. — Badała wzrokiem moje oczy.

— A może lepiej gdzieś na powietrzu?

— Nie będzie panu zimno? — zapytała. Przytrzymałem jej drzwi, wślizgnęła się do środka. Zanim dotarła do latarni, wokół zgasły wszystkie światła. Szczęśliwy, pośpiesznie szedłem upiornie ciemnymi ulicami. Monsieur Antoine spędził wieczór z Chantal. Bez maski, bez udawania — to byłem ja sam!

Wieczorem, kiedy dotarłem do hotelu, pobiegłem piętro wyżej i wszedłem do pokoju w trakcie pukania. Właśnie buty frunęły w kąt, a gramofon grał *Ma pomme*. Hirsch-biegel był w domu.

— Hirschbiegel, to ja. — Szum wody z kranu, kapał się.

Obszedłem łóżko dookoła i zapukałem do drzwi.

— Hirschbiegel?

Lekko uchyliłem drzwi. Leżał w wannie. Potężne ciało niemal ją rozsadało. Owłosiona, wilgotna pierś unosiła się miarowo, miał zamknięte oczy.

— Hej, poruczniku!

Usłyszałem okrzyk przejmujący do szpiku kości i ujrzałem przestraszone oczy.

— Co się skradasz? — Krople wody błyszczały w jego kędzierzawych włosach. Podparł się rękami, chciał wstać, zaskrzypiało i huknęło.

— Ani śladu wroga w polu widzenia, Hirschbiegel. — Usiadłem na małym stołku.

— Czy dama wczoraj się uspokoiła? — Położył głowę ukośnie, tłusty podbródek przelał się na bok. — W której jest jednostce?

— To tylko przypadkowa znajomość. — Chciałem trzymać Rieleck-Sostmann z daleka od niego.

— A jak w ogóle u ciebie z kobietami?

— Do tej pory chudo.

— O twojej Walkirii trudno powiedzieć, że jest chuda — oświadczył Hirschbiegel pełen podziwu.

— Miłość koleżeńska. Hirschbiegel wybuchnął śmiechem.

— Koleżeństwo to coś wspaniałego! — Jego cielsko obróciło się.

— Kiedy wreszcie weźmiesz mnie ze sobą?

— Właściwie nie zamierzam już więcej chodzić do tych domów

— powiedziałem, wzruszając ramionami. — To odbiera człowiekowi złudzenia.

Czerwona twarz przytaknęła z powagą.

— Człowiek tęskni za byciem we dwoje, ale tak naprawdę cały czas czuje się obcy. — Nagle Hirschbiegel oparł rękę o brzeg wanny. — Proponowałem ci! — wrzasnął. — Czy nie mówiłem wiele razy, że mieszkanie stoi do dyspozycji?

— Racja, wspominałeś o tym. — Przyglądałem się wzorom na kafelkach.

— Gdybyś mi chciał choć trochę pomóc... — błagał.

— Właściwie to dlaczego twoi rodzice kupili to mieszkanie przed wojną?

— Było to młodzińcze marzenie mojego ojca — odpowiedział Hirschbiegel. — Zawsze chciał malować. Mój stary i malowanie! Nie przejmował się bajką o odwiecznym wrogu i kupił apartament; jeszcze w czasach Republiki. Całą sprawę załatwił żydowski pośrednik; do dzisiaj wszystkie papiery są na nazwisko Wasserlof. Hirschbiegel w Cha-

telet rzucałby się w oczy. — Palcami u nogi porucznik zakręcił wodę. Raptownie zapanowała cisza.

— A więc mieszkanie stoi puste? — spytałem niewinnie.

— Czy to nie ogromna strata? — westchnął porucznik. — Nie jest duże, ale wystarczy do zabawy. Kiedy chciałbyś je zobaczyć?

— Może jutro? — wymknęło mi się odrobinę za szybko.

Hirschbiegel wstał, powodując wielki hałas.

— Co jest? — Wokół kolosa migotała fontanna wody. — Od tygodni nie dawałeś znaku życia, a teraz taki pośpiech? —

Sięgnął po ręcznik.

— Wojna nie będzie trwać wiecznie. — Wyglądałem przez okno. Spojrzał na mnie, stojąc jeszcze jedną nogą w wannie.

— Masz rację: róże powinno się zrywać, zanim przekwitną. Ale jutro nie mogę. Najpierw omówienie sytuacji, wieczorem brydż z pułkownikiem. — Hirschbiegel wyszedł z łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady.

— Może mógłbym je... — powoli wstałem — mimo to obejrzeć?

— Beze mnie? — Jego oczy zwięzły się podejrzliwie.

— Tylko bym zobaczył, czego potrzeba... żeby było przytulnie.

— Poszedłem za nim. Hirschbiegel otworzył komodę i wyjął ozdobny klucz. Posrebrzany, z cyzelowaną główką.

— Na dole wejdiesz o każdej porze. Ale konsjerżka cię nie zna. Może nie zechce otworzyć wrogowi?

Zastanawiałem się, czy opowiedzieć mu o Monsieur Antoine.

— Czymś takim otwiera się witryny sklepowe — powiedziałem zamiast tego. — A nie mieszkanie.

Ociągając się, wcisnął mi klucz do ręki.

— Masz już kogoś na oku, z kim tam...? — Jego głos był pełen nadziei.

— Znajdzie się — ruszyłem do drzwi.

— Zaczekaj! — Podszedł do mnie owinięty ręcznikiem. — Przecież nie wiesz, gdzie to jest.

Zapamiętałem adres.

— Jeszcze jedno, Hirschbiegel — pokazałem na gramofon. — Proszę cię, kup sobie drugą płytę.

Następnego wieczoru po raz pierwszy, nie bez skrępowań, zostawiłem w hotelu odznakę służbową. Staranniej niż do tej pory przeistoczyłem się w Monsieur Antoine'a. W pobliżu mostu kupiłem różę. Przeszedłem na drugą stronę rzeki i wetknąłem kwiat w klapę marynarki. Odwzajemniłem uśmiech dwóm Madame, które przystały na mój widok. Nie obrałem zwykłej drogi, lecz szedłem w kierunku rue Jacob, zataczając koła. Szyldy hotelowe ukazywały mi się niczym obietnice. Ale ja byłem w posiadaniu czegoś lepszego: klucza do mieszkania Hirschbiegla; niosłem go w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Boczną uliczką dotarłem do Lubińskiego i wszedłem na taras. Zachowywałem się tak, jakby lustrzana fasada salonu fryzjerskiego nie robiła na mnie żadnego wrażenia, i usiadłem z bijącym sercem. Chantal nie pracowała tam we środy; chociaż wiedziałem o tym, próbowałem wypatrzeć ją przez szybę. Wyobraziłem sobie, że ona również mnie zauważyła i za chwilę pojawi się w drzwiach.

Taras był pełen ludzi. Rozmawiali o tym, że Wehrmacht

przestrzega zawieszenia ognia, ale SS nie. Ostatniej nocy zostało zniszczone wystrzałami jedno z okazałych okien w hotelu Ludwik XV. Nie piłem kawy, zamiast niej zamówiłem pastis i rozcieńczyłem oleisty płyn wodą. Smak przypominał mi dentystę z czasów dzieciństwa, ale popijałem pastis dla Chantal. We wszystkim musiałem być bardziej francuski niż Francuzi, chciałem się jej podobać, chciałem wywołać jej śmiech, udowodnić moją szlachetność. W myślach wędrowałem po jej ciele. Moja ręka przypominała sobie jej talię, opór mięśni. Wąchałem zapach jej włosów, jak smakowały jej usta? Plecy były gładkie, nogi mocne. Przez ten czas omiatałem wzrokiem całą ulicę. Kiedy zbliżała się zielona sukienka, unosiłem głowę; nigdzie nie było Chantal. Zamówiłem drugi kieliszek i wszedłem do środka kawiarni, zaglądałem do każdego pomieszczenia, do każdej wnęki. Po godzinie zapłaciłem rachunek. Na niepewnych nogach przeszedłem na drugą stronę ulicy. W salonie fryzjer podcinał włosy jakiejś dziewczynie. Poza tym w mrocznym pomieszczeniu siedział tylko stary mężczyzna z gazetą. Naprzeciw mnie szły dwie kobiety.

— Nie wysyłają dwunastolatków do obozów — mówiła jedna. Druga nie dała się pocieszyć. — Michel ma czternaście.

Zauważyła moje odbicie w szybie wystawy. Odwróciłem się i powąchałem różę. W tym momencie dostrzegłem Chantal po drugiej stronie u Lubińskiego. Naprawdę przyszła, potraktowała poważnie nasze umówienie się! Pomachałem do niej i chciałem z powrotem przejść przez ulicę. Zaklekotał przejeżdżający samochód terenowy, na chwilę straciłem ją z oczu. Jak gdyby mnie nie zauważyła, przecisnęła się pomiędzy stolikami i wyszła z kawiarni. Krzyknąłem jej imię, nie odwróciła się. Myślałem, że dogonię ją po kilku

krokach — Chantal była szybsza. Próbowałem zbliżyć się do niej, ale wciąż była kawałek drogi przede mną. Kiedy zostawałem w tyle, ona również zwalniała. Pobiegnę na oślep, chciałem zakończyć tę niezrozumiałą grę. Chantal skrzyła w wąską uliczkę. Potrzebowałem chwili, żeby znowu ją odnaleźć. W ten niezrozumiały sposób, nie wymieniając ani jednego słowa, zbliżyliśmy się do rue de Gaspard. Otworzyła bramę i weszła do środka. Zanim brama się zatrzasnęła, poszedłem jej śladem, przebiegłem obok sklepu ze starzyzną i zobaczyłem, że Chantal znika w księgarni. Po co mnie tu przyprowadziła?

Doszedłem do kamienia, zajrzałem do środka. Wewnątrz Joffo obsługiwał dwóch sierżantów; kupowali widokówki. Czekałem, aż żołnierze wyjdą; zaciekawiony, wszedłem do środka.

Właściciel stał za ladą, układał książki w dwa stosy. Ani śladu Chantal. Poczekałem, aż dzwonek przy drzwiach zamilknie, i powiedziałem dobry wieczór. Kiedy podchodziłem do Joffo, odszedł na bok. Przez chwilę go nie widziałem. Rzuciłem okiem do położonego z tyłu magazynu, gdzie spodziewałem się ujrzeć Chantal.

Ktoś mnie złapał, wykręcił ramiona do tyłu. Silne ręce trzymały mnie mocno. Atak był tak niespodziewany, że uderzyłem twarzą o ladę. Dyszałem, próbowałem się obrócić, ale uchwyt był jak z żelaza. Dwóch mężczyzn szarpnęło mnie do góry i popchnęło do przodu. Zataczając się, rozpoznałem w jednym z nich starego Joffo. On i ten drugi zawlekli mnie do magazynu. Opierałem się nogami o drzwi do przedsionka, próbowałem uwolnić ręce. W podłodze była otwarta kłapa. Zmusili mnie do zejścia po schodkach, chciałem krzyknąć, ale dostałem silny cios, potknąłem się, przytrzymali mnie, kiedy wydawało się, że upadnę. Uderzy-

łem głową o belkę, moje stopy szukały oparcia, wreszcie stanąłem na twardym gruncie. Na ubitej ziemi w piwnicy. Posadzili mnie na krześle. Teraz rozpoznałem drugiego mężczyznę, był to fryzjer z rue Jacob. Z wprawą związał mi ręce na plecach, a w tym czasie Joffo zamknął klapę nad nami. Poczulem przejmujący ból w nadgarstkach. Wstałem i wlepiłem wzrok w kołyszącą się żarówkę.

— Witamy — powiedział Joffo, przysunął drugie krzesło i usiadł.

— Coś dzisiaj za często pojawiaasz się na tej ulicy. Miałem sucho w gardle, krew pulsowała mi w skroniach. — Co to ma znaczyć?

— Kim jesteś? Czego od nas chcesz? Pomimo więzów próbowałem siedzieć prosto.

— O co wam chodzi?

Fryzjer przeszukiwał mi kieszenie. Jego nos rzucał ostry cień na usta. Kiedy nic nie znalazł, cofnął rękę.

— Gdzie masz dokumenty?

W tej chwili zobaczyłem siebie takiego, jak wcześniej widziałem innych. Związane na krześle, rażące światło świeci w oczy.

Pytania, na które nie pada odpowiedź.

— Przepadły.

— Kim jesteś?

— Francuzem jak wy.

— Francuzem i kolaborantem — zareplikował fryzjer.

— Kto tak mówi?! — obruszyłem się gniewnie.

— Dla kogo pracujesz? Vichy? Gestapo?

Zastanawiałem się. Prawda była gorsza, niż obaj przypuszczali. Nie kolaborowałem, należałem do tego systemu. O wszystkim, co chciało wiedzieć SS, dowiadywałem się pierwszy, najbardziej bezpośredni świadek. Jeśli prawidłowo rozumiałem, siedziałem w tej chwili naprzeciwko wroga. Przez głowę przelatywały mi fragmenty przesłuchań. Do

ruchu oporu należeli czerwoni robotnicy, odważni księża, weterani wojenni. W piwnicach stały powielacze, na ścianach domów i płotach widniały gryzmoły, ktoś z kolumny sanitarnej miał informacje, które wyciekły z komendantury transportu. Chłopak, który ukradł gaźniki, żeby zapobiec przewozowi więźniów. Przeważnie pojedyncze przypadki, wydawało się, że nie ma żadnej organizacji, hierarchii i bardzo mało broni. Czy to był ten przeciwnik, którego ze wszystkich sił zwalczał Leibold i SS? Stary księgarz i zapalczywy fryzjer?

— Gdzie straciłeś dokumenty? — zapytał Joffo.

— Obława, Niemcy — odpowiedziałem.

— Jesteś szpiclem — księgarz potrząsał głową. Spojrzałem na niego oburzony.

— Czy szpicle nie mają zawsze najlepszych dokumentów?

— Opowiedz nam wszystko. Co się stało z twoją przepustką? — Joffo gładził krzaczaste brwi.

Przypomniałem sobie przesłuchania na rue des Saussaies. Kiedy najprędzej Leibold wierzył delikwentom? Kiedy rezygnowali, jęczeli czy kiedy oburzali się i buntowali? Spojrzałem Joffo prosto w oczy.

— Zatrzymali pociąg do Paryża — powiedziałem ponuro.

— Gdzie?

— Niedaleko przed Thiers. Rzekomo tory były przerwane.

Wszyscy musieli wysiąść. Żołnierze zabrali mi legitymację do sprawdzenia. Nie dostałem jej z powrotem.

— Jacy żołnierze?

— Ci z trupimi główkami. — Nie spuszczałem księgarza z oczu.

— Dlaczego SS zainteresowało się właśnie tobą? — Fryzjer podszedł bliżej.

— Nie mam pojęcia. Zamknęli mnie na dwie noce.

— W którym więzieniu? — Stary przypatrywał mi się czujnie oczami dzika.

— Nie w więzieniu. To był obóz w lesie. Szczegóły — listy obozowe, plany deportacji, raporty o aktach sabotażu — głowa pracowała. Przypominałem sobie wszystko, aby dopasować to do mojej historii.

— Trzeciego dnia usłyszałem, jak pewien oficer mówi, że wkrótce wyślą nas z transportem. — Szarpałem więzy. — Ale nie miałem ochoty, żeby wywieźli mnie do Niemiec i kazali montować granaty!

— Uciekłeś? — zapytał fryzjer z niedowierzaniem.

— Jak? — Joffo pochylił się w moją stronę.

— Mieliśmy zostać przewiezieni do obozu zbiorczego. Po drodze była góra. Kiedy pociąg zwolnił, wyskoczyłem. — Opuściłem głowę. Zapanowała cisza. Wyczułem, że obaj patrzą na siebie.

— Hm — westchnął Joffo. — Nic z tego wszystkiego nie możemy sprawdzić.

Fryzjer pochylił się nade mną.

— Możemy cię zmusić do powiedzenia prawdy!

W duchu ujrzałem balię z wodą, połamane kończyny, bijących kijami rottenfuhrerów. Groźba wypowiedziana przez maître'a zabrzmiała mało wiarygodnie. Taki drobny mężczyzna nie mógł mieć wprawy w biciu.

— Zostaniesz tu tak długo, aż wszystko powiesz. — Stary usadowił się wygodniej.

To było niemożliwe. Musiałem wyjść stąd przed północą.

Obergefreiter, który nie dotarł na kwaterę przed capstrzykiem, to jeszcze uchodziło. Przebywanie na rue des Saussaies, które nie wiązało się ze służbą, nie było jednak uważane za kawalerskie przewinienie.

— A co z twoim mieszkaniem? — zapytał Joffo. — Z apartamentem w Drugiej.

Poczułem się, jakby ktoś mi wsadził szpilę. Chantai! Powiedziała o tym ojcu. Nie, nie ojcu — przywódcy tej komórki. Nagle rozjaśniło mi się w głowie i wszystko zrozumiałem. Chantai bajkami obudziła we mnie poczucie bezpieczeństwa. Spędziła ze mną cały wieczór, dała mi nadzieję. Przeklinałem swoją próżność, przeklinałem siebie samego, że dałem złapać się na jej lep.

— Mieszkanie — powtórzył Joffo.

Przyszedł mi do głowy klucz, który miałem w kieszeni. Jeśli przeszukaliby mnie dokładniej, znaleźliby go.

— Należy do przyjaciela — odpowiedziałem.

— Tamten też jest szpiclem? — zapytał fryzjer.

W ułamku sekundy przypomniałem sobie, że Hirschbiegel wspominał o figurancie. Jak on się nazywał?

Zaśmiałem się. Isaak Wasserlof miałby być niemieckim szpiclem?

— Jest Żydem? — zapytał osłupiały maître. Krótko naradzali się szeptem.

— Jeśli mieszkasz w Drugiej — powiedział Joffo — to dlaczego przychodzisz tak często w naszą okolicę?

— Powinien pan łatwo to zrozumieć. — Starłem się udać śmiech, ale mi za bardzo nie wyszedł.

— Chantai? — zapytał ojciec. — Dlaczego? Są tysiące innych.

— No tak, Monsieur... — Uniosłem ramiona.

— Nie wierzę, że przychodzisz tu tylko z powodu Chantai — wtrącił fryzjer. — Skąd pochodzisz?

Zmyśliłem imiona. Rodziców i dziadków, opisałem ulice mojego dzieciństwa, opisałem przyjaźń z Wasserlofem, który zaproponował mi, żebym przyjechał do niego do Paryża.

W nadziei, że ponownie otworzą Sorbonę, przyjechałem, żeby zapisać się na semestr jesienny. Wtedy wydarzyła się historia z legitymacją.

— Złożyłeś wniosek o nowe papiery? — zapytał fryzjer. — Pokaż nam potwierdzenie.

— Czy wie pan, ile godzin spędziłem w kolejce? Ale jak dotąd się ich nie doczekałem. — Zaśmiałem się wymuszenie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wydawał się wierzyć.

Niemieckie szykany, dni, tygodnie wyczekiwania na korytarzach w registraturze; brak możliwości otrzymania nowego zaświadczenia: taka była paryska rzeczywistość. Przez chwilę obaj byli gotowi zaakceptować fakt, że mają przed sobą młodego Francuza, który zakochał się w córce księgarza. Wykorzystałem nagłą zmianę nastroju i poprosiłem Joffo, żeby rozwiązał mi ręce. Spojrzał na moje spuchnięte stawy. Dał znak fryzjerowi. Ten stanął za mną i zaczął rozwiązywać sznur.

— Z czego żyjesz? — zapytał stary.

— Jakoś sobie radzę.

— Niedawno zapłaciłeś mi dużym banknotem. — Przechylił głowę.

— Wasserlof dał mi pieniądze. — Poczułem, że więzy się rozluźniły.

— Banknot był świeżo wydrukowany. — Ton głosu Joffo znowu zabrzmiał bardziej nieufnie.

— I co z tego? — Moje ręce były wolne.

— Nie wiedziałem o zmianie pieniędzy — powiedział maître. Wstałem, zrobiłem krok w stronę schodów.

— Zaczekaj, przyjacielu! — Nagle zobaczyłem przed sobą lufę wojskowego pistoletu. Jednym skokiem znalazłem się na najniższym stopniu, biegnąc, pozbywałem się sznurka.

— Stój!

Biegłem na górę, nie oglądałem się za siebie. Nade mną był ciemny czworokąt. Ramieniem napałem na klapę i uniosłem ją. Poczulem uderzenie w nogę, w tej samej chwili usłyszałem huk. Chociaż uderzenie prawie mnie powaliło, pokonałem ostatnią część schodów. Odrzuciłem klapę na bok, z trzaskiem opadła na podłogę. Znalazłem się w magazynie z książkami, za mną pojawiła się głowa fryzjera.

— Stać!

— Wszystko już powiedziałem!

Rozległ się jeszcze jeden strzał, kula utkwiała w książkach niedaleko mnie. Szybko przebiegłem przez sklep, wskoczyłem za regał i zbliżałem się do wyjścia. Fryzjer celował zza kontuaru. Pochylony, gwałtownie otworzyłem drzwi, zadźwięczał dzwonek. Ostatnim spojrzeniem zauważyłem, że księgarz przyciska w dół rękę maitre'a.

— Nie tutaj — powiedział Joffo.

Wypadłem na zewnątrz i zbiegłem po schodkach. Minałem kamień, pobiegłem przez rue de Gaspard, zauważyłem zdumiony wzrok handlarza starzyzną, otworzyłem czarną bramę i wyszedłem na ulicę, na bulwar. Wmieszałem się w tłum, mój oddech wrócił do normy. Powoli minąłem Lubińskiego. Na Pont Royal rozejrzałem się. Wydawało się, że nikt mnie nie śledził. Robiło się ciemno. Dopiero teraz poczułem ból w nodze. Ciemna plama na nogawce spodni stopniowo stawała się coraz większa. Strzał rozszarpał kawałek mięsa na łydce. Dotarłem do przechodniego domu, porwałem koszulę i zawiązałem ranę. Garnitur, miękkie buty oraz kapelusz włożyłem do torby na pranie. Zamknąłem ją, jakbym nie zamierzał jej już nigdy więcej otworzyć.

Roth, żołnierz Wehrmachtu, Paryż, lato 1943. Każdy człowiek posiada narodowość, myślałem w drodze do domu. I w niej trwa. Szary mundur, krzyż uzupełniony błyskawicami SS, flaga. Dopóki trwała wojna, to była moja rzeczywistość. Dziwnie odprężony faktem, że wyszedłem cały i zdrowy z tej przygody, kulejąc, wróciłem do hotelu. Zaniósłem torbę do pokoju i wdrapałem się na górę do Hirschbiegla. Miałem zamiar zaproponować porucznikowi miły męski wieczór. Dwaj Niemcy we wrogim kraju.

Dwa tygodnie później, przed służbą, spotkał mnie na korytarzu Leibold.

— Miałem rację! — Nieprzywykły do dobrego usposobienia zdjął czapkę i pogładził się po czaszce. — Gaskończyk zaprowadził nas do swojej szczurzej nory.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że już od wielu dni nie widziałem więźnia. Przypomniałem sobie zadziwiającą cierpliwość, z jaką Leibold go przesłuchiwał — bez godnych wzmianki rezultatów. Mężczyzna zaprzeczał tępo, siedział jak omszały kamień, nawet praktyki rottenfuhrerów nie robiły na nim wrażenia.

— Wypuściłem go na wolność — powiedział Leibold łaskawie.

— Już od dawna podejrzewaliśmy jeden lokal. To zakład fryzjerski.

Przez chwilę miałem uczucie, że prościutki korytarz opada przede mną w dół. Idąc dalej, Leibold zmusił mnie, żebym został przy jego boku.

— Nasz przyjaciel uważa się za kutego na cztery nogi — uśmiechnął się filuternie. — Kazał sobie obciąć

włosy, zapłacił i poszedł. Niedługo potem wrócił przez sąsiedni dom.

Nieoczekiwanie padł na mnie promień światła; na dworze był przepiękny dzień.

— I wtedy pan... wkroczył? — Stałem przed hauptsturm-fuhrerem oślepiiony.

— Nie ma pośpiechu. — Doszliśmy do biura. — Moi ludzie obserwują każdego, kto tam wchodzi i wychodzi. Za kilka dni zamykamy sprawę. — Leibold położył rękę na klamce. — Potem fryzjer będzie zbierał zęby z podłogi.

— Gdzie jest ten zakład? — zapytałem odrobinę za szybko.

— W szóstej, niedaleko Quai. — Leibold odwrócił się. — Zna pan tę okolicę?

Udawałem, że się zastanawiam. Nie czekając na moją odpowiedź, Leibold zniknął w swoim pokoju.

Wpatrywałem się w wydeptaną podłogę. Zobaczyłem obersturmfuhrera za późno i zasalutowałem dopiero, kiedy mnie minął. Powoli zdjąłem furazerkę i wcisnąłem teczkę pod ramię.

W pobliżu gwałtownie otworzyły się drzwi i wybiegł z nich sturmmann, omal mnie nie przewracając. Wszedłem i

przywitałem się. Usłyszałem niewyraźne „Dzień dobry” od wszystkich stolików. Wyjąłem notatnik, zatem-perowałem ołówek.

Rieleck-Sostmann patrzyła na mnie wyzywająco.

Wyglądała jakoś inaczej. Jej włosy układały się na bokach w nienaturalne fale. Tak od niedawna czesały się Francuzki; fryzura ta nie pasowała do wysokiej Niemki. Skinałem z uznaniem,

uśmiechając się, poprawiła włosy. Nie zamieniając ani słowa, przeszedłem na drugą stronę. Usiadłem przy moim małym

stoliku. Rottenfuhrerzy spocili się, zanim jeszcze przystąpili do pracy. Obserwowałem

cholewy Leibolda, kiedy przechodził koło mnie, stawiając regularne kroki. Udało mi się nie patrzeć w oczy więźniom.

W przerwie na obiad podeszła do mnie Rieleck-Sostmann i zjadła w moim towarzystwie kanapkę z czarnego chleba z masłem.

— Co z twoimi francuskimi wycieczkami? — zapytała.

— Zawiesiłem na kołku — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Siedziałem z zamkniętymi oczami i zachowywałem się, jakbym rozkoszował się słońcem.

— Koniec z wycieczkami?

Niemożliwe było, żeby nie myśleć o Chantal. O radośnie balansującym kroku, którym wyprzedzała mnie w ciasnych zaułkach. O ostatnim spojrzeniu, które mi rzuciła, zanim wpadłem w zasadzkę. O zapachu Chantal, ten jeden jedyny raz, kiedy rozchyliła dla mnie usta.

Wieczorem leżałem w stanowczych ramionach

Rieleck-Sostmann i jednocześnie dotykałem Chantal. Niemka zauważyła we mnie zmianę i starała się pobudzić moją nadwątłą namiętność. Zachowywała się przy tym tak głośno, że telefonujący sąsiad zastukał w ścianę. Nie udało mi się zatrzymać na długo Chantal; zostałem sam z Rieleck-Sostmann. Pokroiła strudel, który przysłano jej z Rzeszy. Leżąc, jadłem rodzynki i przyglądałem się, jak wysoka kobieta wkłada ubranie. Piętro wyżej zaczął grać gramofon. Poruszałem ustami do tekstu *Ma pomme* i podśmiewałem się z myśli, że w tym czasie Hirschbiegel był jedynym jasnym światelkiem. Tłusty porucznik z dziecinnym wyobrażeniem na temat kobiet stał się moim przyjacielem.

— Z czego się śmiejesz? — Rieleck-Sostmann energicznie wciągnęła pas do pończoch.

— Sterczą ci włosy. — Spojrzałem w bok.

Kiedy wyszła, chciałem pójść na górę do porucznika. Na

korytarzu natknąłem się na pełne uznania spojrzenie mojego sąsiada.

Hirschbiegel już skończył się kąpać.

— Dzisiaj byłby odpowiedni wieczór — promieniał. —
Zobaczysz, moja szczęśliwa gwiazda zwraca się ku mnie! —
Wstrzymał oddech, zapiął guzik od spodni.

Koniak był letni, Hirschbiegel dolał zimnej wody, wypiliśmy.
— Co powiesz na mój skarb? — Dumny zdjął ze stołu brązowy futerał i wyciągnął błyszczący krążek. — Wczoraj kupiłem! —
Hirschbiegel puścił w ruch gramofon i położył na nim płytę.
— A więc w ten sposób podwoiłeś swoją kolekcję —
uśmiechnąłem się. — Co to jest?

Zabrzmiały dźwięki francuskiej orkiestry. Dolałem sobie koniaku i usiadłem wygodnie na łóżku Hirschbiegla.

Śpiewał Maurice Chevalier. W kwietniu pokochał dziewczynę, a w lecie porzucił ją dla innej. Dziewczyna była smutna. Chevalier pocieszał ją, że była dziewczyną tylko na kwiecień. W przyszłym roku znowu przyjedzie. *Avril prochain, je reviens!*

— Co będzie w kwietniu przyszłego roku? — powiedziałem.

Milcząc, wysłuchaliśmy piosenki do końca. Kiedy wychodziliśmy z hotelu, Hirschbiegel polał się wodą o zapachu fiołków i okiełznał kędziory brylantyną.

— No, to sobie użyjemy. — Jego pełna nadziei twarz błyszczała. Szliśmy w kierunku Sekwany, zjedliśmy coś nad rzeką i udaliśmy się w kierunku na zachód, wzdłuż brzegu. Porucznika zainteresował widok z tyłu kwiaciarki o pełnych kształtach; idąc za nią, minęliśmy dwa mosty. Kupił mały bukietek,

ale zabrakło mu odwagi, żeby robić jej jakieś awanse. Wrócił do mnie z kwiatami w ręku.

— W każdym razie jakiś początek. — Uśmiechnął się nieśmiało. Był łagodny wieczór. Lato zbliżało się ku końcowi, jeszcze nie było to widoczne, ale już się wyczuwało zmianę. Liście kasztanów zwinęły się wskutek panującego gorąca. W zdziczałych ogrodach, które opadały ku rzece, pracowały kobiety, pochylone lub klęczące. Zielsko wypalono, kobiety okopywały ziemniaki. Z oszczędności niewielkie grządki kwiatów nad wodą były zarośnięte pokrzywami. W cieniu drzewa stał dziecinnie wózek, przy którym przykucnęła ubrana na czarno matka; inna żęła sierpem trawę. Obok na skrzypiącym rowerze przejechał robotnik. Przywiązał do kierownicy gałęzie grubości ramienia ze świeżymi śladami siekiery, wiązka kołyszących się patyków wystawała na metr. Obserwowałem swój cień, który sunął przede mną z opuszczonymi ramionami.

— No, co jest, przyjacielu? — Porucznik zagroził mi drogę.

— A co ma być? Gorąco. — Wlepiłem oczy w cień.

— Czy wiesz, że wyglądasz nietego? — Hirschbiegel zatroskany ściągnął brwi. — A teraz powiedz, co się dzieje?

Próbowałem wymigać się od odpowiedzi.

— Nic. Zupełnie nic.

— Chodzi o trupie główki? — Potknął się i zachwiał w moją stronę. — Więźniowie, tak? Dokucza ci to?

Przejechałem ręką po czole. Na rue des Saussaies wrzała praca. Przesłuchania odbywały się falami. Coraz częściej rozstrzeliwano ludzi. Więzienia pękały w szwach. Budowano nowe obozy. W nocy było słychać strzały. Leibold znajdował się pod presją, stał się bardziej okrutny, coraz częściej

zezwał rottenfuhrerom na ćwiczenia cielesne. W marmurowym gmachu roilo się od gestapowców. Cofnięto urlopy, wydawało się, że z każdym dniem sytuacja staje się bardziej nerwowa. Ale tak nie było.

— Czy twoja jednostka ma być przeniesiona? — zapytałem Hirschbiegla, żeby zmienić temat.

Przytaknął.

— W najbliższych godzinach oczekują rozkazu wymarszu. Mnie to nie dotyczy. Pułkownik przegrał do mnie tysiąc w brydża. Chce się odegrać. — Ponieważ nie znalazł odpowiednich słów, żeby mi pomóc, dźgnął mnie łokciem w bok. — A teraz powiedz... Nie lubię, kiedy jesteś smutny. Jesteś jednym z tych, których życie rozpieszcza.

Zaskoczony, spojrzałem na tego dobrodusznego chłopca. Całą bluzę od munduru miał pokrytą plamami potu, olbrzymi mężczyzna po prostu się rozpląwał.

— Ktoś taki jak ty zawsze wychodzi cało z opałów — powiedział. — Czy wiesz, że właściwie to jesteś dzieckiem szczęścia, Roth?

Westchnąłem.

— No i co z tego? — odpowiedziałem cicho.

— Kobieta?! — roześmiał się głośno. — W końcu się wydało!

Przyłapałem ulubieńca kobiet! Francuzka? Przytaknąłem.

— Mężatka?

— Gorzej.

— Nie może być gorzej.

— Uważa mnie za świnię.

— Ciebie? — zdziwił się. — W takim razie nie zasługuje na ciebie. Albo nie potrafiłeś się do niej zabrać.

Milczałem. Znowu poczułem pulsowanie w skroniach.

— No, to o co chodzi? — naciskał Hirschbiegel.

— Podałem się za Francuza.

Ostrożnie zajrzałem mu w oczy. Oddałem się w jego ręce. Pomysł był tak niedorzeczny, że Hirschbiegel zrozumiał go dopiero po bardziej szczegółowym wyjaśnieniu. Milcząc, weszliśmy pod most.

— Czy wiesz, że może się to skończyć dla ciebie kulką?! — Hirschbiegel podparł się pod boki.

— Najpierw coś się wydarza — mruknąłem. — Cokolwiek. Potem coś następnego i znowu coś. — Pod wilgotnym sklepieniem mostu moje słowa brzmiały głucho. — Jedno wynika z drugiego, i tak coraz głębiej.

Kamienie tworzyły w nurcie rzeki niezwykle refleksy.

— Kochasz ją? — zapytał porucznik. Szukałem śladu ironii w jego rysach.

— To nie jest czas na miłość.

— No to o co chodzi? — Zlizał sól z górnej wargi.

— Najlepiej patrzeć tylko w najbliższą przyszłość — powiedziałem. — Każda zerwana kartka kalendarza jest wygraną.

— Zobaczysz się z nią jeszcze?

— Jako kto? Jako Francuz, jako Niemiec czy jako tłumacz z SS?

— Jako ty — odpowiedział Hirschbiegel.

— Z tym nic nie da się już zrobić. — Przeszedł mnie dreszcz. — Odrywam kartki kalendarza.

— A ja gram w brydża — powiedział gruby. — Dziwna jest ta wojna.

Poszliśmy dalej, wsłuchiwałem się w równy odgłos naszych kroków. Schodami wyszliśmy na górę i wróciliśmy na ulicę.

Włożyłem lepszy mundur i obejrzałem się lustrze. Poprawiłem pas. Wyglądałem jak obergefreiter służący w Wehrmachcie, młody człowiek z nieśmiałyymi oczami.

Nie zrobiłem tego z troski o dobry wygląd, jak to sobie wpierw wmawiałem. Nie zrobiłem tego, żeby uchronić się przed zdemaskowaniem. Zrobiłem to, żeby znowu ją zobaczyć.

Bez pośpiechu, zamyślony zjadłem coś w bistro za rogiem.

Wypiłem trzy kieliszki czerwonego wina, czego dawniej nie miałem w zwyczaju robić. Pieszko ruszyłem przed siebie.

Przeszedłem kilka przecznic wzdłuż Avenue de l'Opéra, minąłem plac, na którym parkowały samochody Wehrmachtu. Przed komendanturą stał posterunkowy z wilgotnym czołem, był blady jak papier, sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić.

Skręciłem na północ. Mury starego komina pociły się, w rynsztokach płynęły nieczystości. Ulicą szła para, rosły porucznik S S ze znudzoną kobietą o blond włosach. Pochylał ramię w jej stronę. Trzej starsi strzelcy rozmawiali w gwarze śląskiej, mieli na sobie źle dopasowane

mundury. Prawdopodobnie byli to rezerwiści. Widywało się ich coraz więcej w mieście, walczące oddziały ginęły na Wschodzie. Mężczyźni mieli w rękach mnóstwo pakunków, dlatego mogli pozdrowić przechodzącego obok nich kapitana, tylko odwracając wzrok w jego kierunku. Ulicą spacerowały dwie paryżanki, miały zapadnięte twarze, wargi i policzki jakby wciągnięte do wewnątrz.

Zbliżyłem się do Trinité. Pâtisserie powinna być już zamknięta, ale uniemożliwiała to kolejka czekających ludzi. Między nimi stał oficer administracyjny, który prawdopodobnie przeszmygłował się do nich; małe kobiety otoczyły go ciasno. Roleta sklepową już powędrowała w dół i zdjęto szyld. Oficer oddalił się, po drodze złorzeczył, podobnie jak kobiety. Plakaty informowały o tym, że w Paryżu będzie gościła Berlińska Opera Państwowa. Widniała na nich rażąco biała twarz primadonny z bukietem kwiatów.

Kiedy dotarłem do dzielnicy Pigalle, stwierdziłem, że muszę odpocząć. W rzeczywistości chciałem dać sobie trochę czasu, aby minął strach. Podczas gdy popijałem absynt, chwyciłem za rękaw uniformu. Jakbym chciał potwierdzić swoje istnienie, moją rzeczywistość. Zapłaciłem i poszedłem dalej.

Miałem do przejścia jeszcze tylko kilka ulic. Między szczytami domów rozległ się przeraźliwy grzmot, za chmurami przetaczała się burza. Dzisiejszej nocy miało nie padać. Kiedy przechodziłem obok Schéhérezade, portier wykonał zapraszający gest, ale nawet nie zwolniłem kroku.

W Turachevskim było dziwnie pusto. Zatrzymałem się kilka metrów od drzwi. Zaczął mnie uciskać kołnierz; na czoło wystąpił pot. Obok tłoczyła się grupa gefreitrów, byli w dobrych humorach i zaproponowali, żebym wszedł razem

z nimi. Przyłączyłem się. Madame osobiście wpuściła nas do środka.

_ Jest dosyć wcześnie, moi panowie — powiedziała z zawodowym uśmiechem na twarzy.

Na sofach i kanapach wprost kłębiło się. Siedziały na nich dziewczęta i kobiety, dla zwykłych gości ubierały się tylko w białe fartuszki, kimona pojawiały się po północy — wraz z oficerami. Wsadziłem furażerkę pod naramiennik i rozejrzałem się dookoła.

_ A ty, mój synu? — Wachlarz Madame zatrzepotał. — Czy my się już znamy, n'est-ce pas? Masz pierwszeństwo. Pozwól, że ci doradzę. — W interesie panował nieprzerwany ruch, niezdecydowani spowalniali tempo.

Ubiegłem jej rekomendację i zniknąłem w barze. Wziąłem absynt i usiadłem przy jednym z ustawionych z tyłu stolików. Na scenę wyszedł tenor otoczony przez kobiety we frakach. Śpiewał o „małej różnicy”. Szeregowcy oklaskiwali balet. Nastrój był lżejszy, bardziej swobodny niż poprzednio, kiedy bawili się oficerowie. Serwowano marne trunki najtańszych gatunków. Niejeden potrzebował nabrać odwagi, zanim wszedł do salonu. Dziewczyny tańczyły w rytm tak dobrze mi znanej *Ma pomme*. Krok w lewo, trzy kroki w prawo, okrzyki podpitych żołnierzy, męczyzna przy fortepianie przygrywał do taktu. Towarzystwo się wymieszało. Nogi siedzących dziewczyn same poruszały się w rytm muzyki, mała orkiestra grała niezmordowanie.

W środku zapanowała luźna atmosfera. Uległem ogólnemu nastrojowi, rozpiąłem guzik munduru. Przyglądałem się własnym palcom, które mimowolnie wystukiwały rytm. Jeszcze czaił się we mnie lęk, ale już znacznie łagodniejszy. Czekałem.

Półnagie dziewczyny używały karła jako konewki. Mały wrzeszczał skrzeczącym głosem: — Podlewać jarzyny! Nie pozwólcie uschnąć mojemu kwiatuskowi! — Reakcją był głośny śmiech. Treser gołębi nakłaniał swoich podopiecznych, aby przeskakiwali przez obręcze i ciągnęli ładniutki wózek. Ale został z krzykiem odprawiony, ponieważ skrzydlaci artyści zafajdali mu frak. Człowiek guma umieścił organki pomiędzy palcami u nogi i grał niemieckiego marsza.

Pojawił się balet w różnorodnych kostiumach, dziesięć kobiet, ale nie było wśród nich Chantal. Znalazłem się w zielonej mgle.

Powód mojej wizyty się ulotnił, skierowałem uwagę na pianistę, podziwiałem jego umiejętność reagowania na wydarzenia na scenie oraz bezbłędne lawirowanie między wszystkimi szlagierami. Miał około pięćdziesiątki. Studiował w konserwatorium, pomyślałem, pierwsza wojna światowa przerwała naukę, po niej koncerty w małych miastach, ślub ze śpiewaczką. Ona poświęciła karierę na rzecz dzieci, a on utrzymywał rodzinę. Grywał w kabaretach, barach, a w końcu w burdelu przy placu Pigalle. Płacono mu od godziny. Im więcej nut wybrzdąkał, tym więcej przynosił do domu. Czasem pijany major wtykał mu setkę, żeby zagrał *Niedługo bzy zakwitną* lub *Usta milczą*. Chantal pojawiła się jako ulubiona kobieta sułtana.

Pozostałe dziewczyny nosiły czarne peruki, trzymając w dłoniach małe cymbałki, otoczyły Chantal. Rozpuściła swoje piękne włosy i pozdrowiła sułtana. Frywolnie uśmiechnąłem się sam do siebie.

Pianista grał nieustannie, ale przypominało to bardziej muzykę chińską niż arabską. Władca na scenie kazał Chantal zatańczyć taniec z welonami, inne dziewczęta kłaniały mu się uniżenie.

Kiedy opadł ostatni kawałek materiału, Chantal opuściła scenę. Żołnierze głośno wyrażali uznanie. Zrzuciłem z siebie zasłonę i wstałem. Nie myślałem

więcej o niebezpieczeństwie, które wyobrażałem sobie w ostatnim czasie. Przeciskałem się w kierunku orkiestry.

— *Accès interdit, Monsieur* — krzyknął pianista, nie przerywając grania. Odwróciłem głowę, uśmiechnąłem się i zniknąłem za jedwabną zasłoną. Zderzyłem się z tenorem. W ostrym świetle reflektora zorientowałem się, że był to stary mężczyzna.

Przyglądał mi się wodnistymi oczami, czarna jak smoła peruka przykrywała jego siwe włosy.

— *Gotowy na duet, żołnierzu?* — Jego usta były umalowane w kształt serduszka, a skóra pokryta grubą warstwą pudru; wokół pomarszczonej szyi miał zarzucony szal. Odsunąłem mężczyznę na bok, wszedłem w wąski korytarz. Moje podbite gwoździami buty stuknęły głośno.

— *Vous allez où, Monsieur?* — Inspicjent przy pulpicie świetlnym przesunął pokrętło regulatora, na scenie rozbłysł ostry fiolet.

— *Chantal!* — wykrzyknąłem i zostawiłem go za sobą. W korytarzu świeciło się niebieskie światło, usłyszałem strzępy słów i śmiechy za drzwiami. Przystanąłem, chwiejąc się, bezradny. Ze sceny rozbrzmiewała pieśń toreadorów. Zawołałem Chantal. Rozmowy ucichły na chwilę i zaraz zaczęły się od nowa. Na scenie finał i tusz orkiestry, po nim ospałe brawa.

— *Chantal, wyjdź!* — Siła mojego własnego głosu sprawiła, że zatoczyłem się na papierową ścianę, co spowodowało rozerwanie się tapety. Obok mnie przemknęły dziewczyny z baletu, zderzyłem się z nimi i zakląłem.

Przedemną stanął sułtan.

— *Quittez la scène, les boches!* — Muskularne ramię przycisnęło mi kark i zmusiło do pochylenia się.

— *George, t'es fou?* — Dziewczyny, praktycznie nagie, odciągnęły patriotę. Chwył wokół mojej szyi znikł, kobiety

otoczyły mnie. — Tout va bien, Monsieur. Vous vous amusez? On peut aider?

— Chantai! — krzyknąłem w powietrze.

— Qu'est-ce qu'il veut? Ça vous dit quelque chose, Chantai? — wokół mnie rozległy się szepty. Gdzieś za mną tenor zaintonował pieśń o niewierności swojej *froufrou*. Dziewczyny uciekły. — Léonard a déjà commencé. Putain! — Zostawiły mnie stojącego, w biegu zarzucały na siebie części skąpych kostiumów i wyskoczyły na scenę.

Dotarłem do końca korytarza. Stałem przed drzwiami. Zawiasy skrzypiały, były wypaczone do zewnątrz. Ujrzałem wewnętrzny dziedziniec porośnięty bluszczem i oświetlony światłem księżyca. Ściany domu sterczały na wysokość komina, w jednym z kątów przykucnęła Chantai. Oparłem się o framugę drzwi, a ona uniosła wzrok. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby skojarzyć moją twarz z mundurem. Przestraszyła się tak gwałtownie, że wstając, zaczęła drzeć na całym ciele. Miała na sobie wypłowiały szlafrok. Letnie powietrze bawiło się jej włosami.

— Chantai! — Po wszystkim, co wymyśliłem na powitanie, przyszło mi do głowy tylko to słowo. Chciałem do niej podejść, na wydeptanym progu rozległ się ostry dźwięk obcasów. — Chciałem cię ostrzec.

— Diabeł — powiedziała cicho. — Ty diable. — Pośpiesznie owinęła się szlafrokiem.

— Szukałem cię, Chantai. — Chciała mnie ominąć. Podwórze było ciasne, jednym skokiem zagroziłem jej drogę i przytrzymałem. Odwróciła się, cofnęła o krok i splunęła na mnie. Absynt sprawił, że byłem ociężały i silny. Nie uciekła.

— Chantai, wysłuchaj mnie! — wykrzyknąłem to po niemiecku.

— Ty niemiecka świnio! Puść mnie!

Z całej siły uderzyła mnie w twarz i kopnęła w podbrzusze. Wpadłem na ścianę i zatoczyłem się. Jednym skokiem znalazła się przy drzwiach, kiedy je zatrzęsnęła, stare drewno rozleciało się na kawałki. Pobiegłem za nią z łokciem przyciśniętym do brzucha.

— Muszę cię ostrzec, Chantal!

Drzwi naprzeciwko uchyliły się lekko. Kiedy karzeł zobaczył mundur, gwałtownie je zamknął. W korytarzu było ciemno. Stawiając głośnie kroki, deptałem jej po piętach. W pogoni przemierzałem wzdłuż i wszerz korytarze Tura-chevskiego. Raz udało mi się zobaczyć, jak poły jej szlafroka znikają za rogiem. Zdziwieni artyści odskakiwali na boki, dziewczyny palące papierosy przyciskały się do ścian.

W końcu otworzył się przede mną salon. Potknąłem się o brzeg dywanu, straciłem równowagę i upadłem pod stojący świecznik. Kobiety siedzące na sofach zachichotały, pojawiła się Madame. Zanim zdołałem jej coś wytłumaczyć, stanęła przede mną para wojskowych butów. Spojrzałem w górę i rozpoznałem twarz untersturmführera. Musiałem wysłuchać jego poufalego gderania. Stojący za nim Standartenführer, zajęty przypalaniem cygara, rzucił mi zaskoczone spojrzenie. Poczuliśmy się niepewnie i gwałtownie zerwałem się na równe nogi. Zielona czarodziejka uciekła. Stałem na baczność.

— Spocznij — warknął Standartenführer. — Nie jesteśmy na placu ćwiczeń. — Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. — Chłopcy już się bawią w zajaca i jeża. — Usłyszałem chichot untersturmführera.

Moje oczy gorączkowo szukały Chantal. Widziałem niezliczone drzwi, zasłonę w przejściu, prowadzące dokądś schody.

Cygaro się zapaliło, **Standartenführer** przestał się mną interesować i zniknął razem ze swoim towarzystwem w barze. Stałem pod świecznikiem. Zrobiło mi się niedobrze. Przesadnie powoli wyciągnąłem furazerkę wetkniętą pod pagon i włożyłem ją na głowę. Z daleka dobiegły mnie słowa pożegnania Madame. Wyszedłem na dwór i odetchnąłem nocnym powietrzem. Tylko pogorszyłem całą sytuację. Podejrzliwość Chantal przerodziła się w pewność; byłem wrogiem, niemiecką świnią. Nie mogłem zrobić nic więcej. Przeszedłem przez plac. Zielona czarodziejka zostawiła po sobie pozbawiony światła płomień. Poczulem pragnienie. W hotelu piłem jak smok wodę z kranu. Noc była jasna od światła księżyca, usnąłem i nie miałem żadnych snów. Cały czas miałem na nogach buty.

We wrześniu znowu wróciły upały. Na rue des Saussaies wydano rozkaz zezwalający na chodzenie w samej koszuli. Leibold nie pozwolił sobie na takie udogodnienie. Bluza od munduru, pas, Krzyż Zasługi twardo na piersi. Wyglądał jak ktoś, kto ciągle marznie.

— Dzisiaj — powiedział.

Minęło wiele dni, odkąd rozmawialiśmy, paląc papierosy przy oknie. W dole widać było wysoką do kolan zwiędniętą trawę, o którą nikt nie dbał. Odczułem brak jednorękiego ogrodnika.

— Dzisiaj mam spotkanie u fryzjera. — Leibold uśmiechnął się skromnie. — Wydaje się, że ta komórka jest dość duża.

— Salon fryzjerski? — przyglądałem się platanom, których liście zaczęły czerwienieć.

— Rue Jacob — przytaknął. Utkwiłem wzrok w krzyżu okiennym, który rozpływał się w świetle.

— Zna pan ten zakład? Chrząknąłem.

— Pewnie przechodziłem tamtędy. Podszedł bliżej.

— Po dzisiejszym wieczorze już go tam nie będzie. Wziąłem papierosa, którym mnie poczęstował. Zaczął mówić dalej dopiero potem, kiedy już pierwszy raz głęboko się zaciągnął.

— Będzie tam ten Gaskończyk. Prawdopodobnie znajdziemy też ulotki. Przypuszczamy, że w piwnicy stoi powielacz.

— W nocy? — zapytałem.

— Niekoniecznie — Leibold potrząsnął głową. — Paryżanie powinni zobaczyć, że działamy stanowczo. — Balansował ustawionym prostopadle papierosem, żeby nie spadł popiół. — Zapewne jutro będzie pan miał mnóstwo roboty.

— Rozumiem, panie hauptsturmfuhrerze.

— Czy dobrze się pan czuje? — Leibold przybliżył twarz.

— Dlaczego? — Wyprężyłem się.

— Ostatnio nie jest pan całkiem sobą, mój drogi. Widzę to od jakiegoś czasu.

Przestraszyłem się. Chciałem być niepozorny i przydatny. Nie byłoby dobrze, gdybym znalazł się na czyimś celowniku.

— Czy moja praca nie...?

— To nie jest w żadnym razie związane ze służbą. — Leibold wykonał przeczący gest. Popiół spadł mu na rękaw. —

Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną: co panu leży na wątrobie?

— Nic, panie Leibold, hauptsturm... — stanąłem na baczność. — Od tej pory będę się bardziej starał.

— Nie zmądrzałem od tego, co mi pan powiedział, panie obergefreiter — powiedział łysy mężczyzna. — Czy mogę w jakiś sposób pomóc? — Wyczułem jego szczerłość i zrozumiałem, jak niebezpieczne było takie zainteresowanie. —

Proszę wziąć sobie wolne popołudnie. — Leibold rzucił

papierosa na podłogę i przydeptał go obcasem. Pomyślałem, że nie była to żadna taryfa ulgowa. Normalne postępowanie, z dystansem. — Niech pan odpocznie — powiedział. — Dlaczego nie pójdzie pan popływać? Prawdopodobnie to ostatnia okazja w tym roku. — Białą chusteczką wytarł pot ze skroni. Za późno trzasnąłem piętami, kiedy już to zrobiłem, zobaczyłem, jak czarny mundur znika na końcu korytarza.

Znikąd nie było słycać żadnych hałasów. Wydawało się, jakby hotel był opuszczony. Nikt nie szedł korytarzem, nikt nie telefonował. Wszyscy byli jeszcze na służbie. Tylko ja leżałem na łóżku i nasłuchiwałem. Do moich uszu dochodził cichy szum uliczny. Słyszałem kapanie wody w łazience. Wyobraziłem sobie, że jestem ostatnią żywą istotą w budynku. Z każdą minutą traciłem możliwość, aby coś przedsięwziąć. Ale rosły moje szanse na przeżycie. Powinienem zdecydować się na działanie, ale nie ruszałem się z łóżka. Wsunąłem poduszkę pod głowę i wpatrywałem się w meble. Szarzielony kolor zasłon przypominał mi oczy Chantal.

Wstałem, jakbym się dopiero obudził, i unikałem spojrzenia w lustro. Otworzyłem szafę i schyliłem się po torbę. Zatrzymałem się w tej pozycji na kilka sekund. W końcu chwyciłem za rączkę i postawiłem torbę na łóżku. Powoli odwróciłem się do ściany. Wisiał tam kalendarz; dzisiejsza kartka nie była jeszcze zerwana. Chciałem to zrobić wieczorem po powrocie do domu. Kiedy poczułem między palcami materiał garnituru, wszystko ucichło. Wszystko było jak dawniej. Fasada zburzonego domu wystawała nad chodnik niebezpiecznie daleko, przechodni

dom przyjął mnie swoim chłodem. Starannie niż wcześniej zwinąłem mundur. Uważnie złożyłem koszulę i spodnie, roztropnie wepchnąłem furazerkę do torby. Kiedy już zdjąłem odznakę służbową, zważyłem ją w dłoni. Z niezrozumiałym skupieniem znowu włożyłem odznakę przez głowę i poczułem metal na piersi. Szybko zapiąłem cywilną koszulę.

Tego wieczoru Monsieur Antoine był w sposób wymuszony sobą. Odgrywałem rolę. Pobiegłem ulicami ze wzrokiem wbitym w bruk. Droga wydała mi się dłuższa niż zwykle. Na Pont Royal panowała podejrzana cisza. Dlaczego żołnierze tak mi się przypatrywali? Nie poszedłem jak dawniej bulwarem, tylko schroniłem się w wąskiej uliczce, wybierałem ustronne przejścia, okrężną drogą zbliżałem się do rue Jacob.

Kelner u Lubińskiego zaprosił mnie gestem do zajęcia miejsca. Krok za krokiem kawiarnia zostawała za mną. Kiedy za rogiem pojawili się dwaj feldweble, przylgnąłem do ściany. Dotarłem do straganu z drobnicą, który był własnością Żyda. Za straganem błyszczał szklany front domu. Czujnie i trwożliwie rozejrzałem się dookoła. Czy Einsatzkommando już zastawiło pułapkę? Czy Leibold posłał oddział szturmowy, czy ludzi w cywilu? Czy siedzieli ukryci w bramach i już od dawna obserwowali salon? Czy jeśli teraz przejdę obok fryzjera, zniknę za rogiem, wrócę do mojej żołnierskiej rzeczywistości, to wszystko będzie tak, jakby nic się nie stało? Nadal będę zrywał kartki z kalendarza jak każdego dnia. A jeśli zatrzymam się i otworzę te drzwi, będę miał przed sobą i za sobą tylko przepaść.

Dotknąłem mosiężnej klamki. Zadzźwięczał dzwonek nad drzwiami.

— Bonjour, Monsieur, za chwilę zostanie pan obsłużony. Jak zawsze siedział tam starzec ze swoją gazetą. Na szerokim, podobnym do fotela krześle klientka, której fryzjer układał mokre włosy na czole. Chantai stała przy kasie. Właśnie w tej chwili słońce znikło za pojedynczą chmurą. Fryzjer odwrócił się. Wszyscy milczeli.

Zacząłem pierwszy. Użyłem mojej najlepszej francuszczyzny.

— Było raz zwierzę, które miało głowę niedźwiedzia, ale tylne nogi wyglądały jak nogi zebry. Ludzie, którzy oglądali je z przodu, mówili: to niedźwiedź. Ludzie, którzy widzieli je z tyłu, twierdzili, że jest to zebra. A ponieważ nikt nie patrzył na niejednocześnie z przodu i z tyłu, dochodziło do kłótni. Zwierzę nie wiedziało, o co się sprzeczano, gdyż postrzegało siebie tylko jako jednego osobnika.

Ostatnie zdania wypowiedziałem w kierunku Chantai. Jej oczy pociemniały z zakłopotania. Opierała się rękami o ladę, na której stała kasa.

— O czym on mówi? — zasyczał fryzjer. — Czego on chce? W czasie mojej opowieści klientka rozsunęła włosy na boki jak zasłonę i przyglądała mi się w lustrze.

— Niech pan zamknie salon, Monsieur — powiedziałem do fryzjera. — Najlepiej natychmiast.

— Czy pan zwariował? — Podszedł bliżej.

— Musi pan stąd wyjść. — Odwróciłem się w stronę kasy. — Ty też, Chantai.

— A co ty o tym wiesz?! — zapytał maître ostro.

— Nic. — Chantai nie poruszyła się nawet o milimetr. Raptownie i po raz pierwszy, odkąd przyszedłem do salonu, stary mężczyzna opuścił gazetę. Zobaczyłem siwe

włosy i błyszczące niebieskie oczy. Mierzył mnie wzrokiem.

— Czy jesteś boche? — zapytał.

— Tak, jestem boche.

— I to ty jesteś tą zebra, a także to ty jesteś niedźwiedziem? —

Stary spokojnie położył ręce na gazecie.

— Tak jest, Monsieur.

Stary odwrócił się do fryzjera.

— Posłuchaj tego, co on mówi, Gustave. — Zgniół gazetę i wstał.

— Dlaczego, tato?

— Zrób to. — Stary człowiek zdjął kapelusz z wieszaka.

Otworzył drzwi i wyjrzał na ulicę, jakby sprawdzał pogodę. Przez chwilę stał na słońcu i w końcu pomaszerował w dół rue Jacob.

— Chodźmy na zaplecze. — Gustave wskazał na zasłonę ze szklanych koralików. — To potrwa tylko chwilę, Madame — odwrócił się do klientki, która przyglądała mu się zdziwiona.

Przeszedłem między sznurkami koralików, Chantai weszła ostatnia. Pomieszczenie było malutką kuchnią z okrągłym stołem. Fryzjer wskazał mi jedyne krzesło. Chantai oparła się o zlew. Szklane koraliki klekotały o siebie.

— Czekacie na Gaskończyka — powiedziałem po krótkim milczeniu.

Wymienił spojrzenie z Chantai.

— Na kogo?

Opisałem, jak wygląda mężczyzna.

— Nie znamy go.

— Tłumaczyłem jego przesłuchania — powiedziałem. — Został wypuszczony na wolność. To on doprowadził ich do was. Kiedy ma przyjść?

Pomimo pełnego napięcia milczenia oraz przerażenia ich obojga nie mogłem się powstrzymać, żeby nie patrzeć na nią. Oddech pośpiesznie unosił jej pierś.

— Na nikogo nie czekamy — skłamał fryzjer.

— O wpół do siódmej — Chantai wpadła mu w słowo. Fryzjer przeszył ją wzrokiem.

— Wpół do siódmej — powtórzyła. Przypomniałem sobie moment, jak zegar bił na szóstą, kiedy przechodziłem przez most.

— W takim razie mamy bardzo mało czasu.

Trzymałem zaciśnięte dłonie pomiędzy kolanami tak spokojnie, jak tylko mogłem. Przeważnie mówiłem do Chantai. Sznury zasłony załamywały wpadające światło.

— Potrafisz dużo mówić — szorstko powiedział fryzjer.

— Dlaczego pan to robi? — Chantai zaczepiła kosmyk włosów za uchem. — To są pana ludzie.

Wzruszyłem ramionami.

— Komu to przyniesie korzyść, jeśli was aresztują? Nagle fryzjer doskoczył do przejścia i przez sznurki zasłony uważnie spojrzął na ulicę. W świetle późnego popołudnia widać było, jak przed sklep powoli podjeżdża ciężarówka. Z lewej strony zbliżał się drugi samochód. Pojazdy nie miały żadnych emblematów, jednak były tutaj dobrze znane.

— To zasadzka! — Gustave szybko się odwrócił i stanął tuż przede mną.

— Mogłem wam nic nie mówić! — Podniosłem się z krzesła. Na zewnątrz rozległ się dźwięk sklepowego dzwonka. Kobieta z mokrymi włosami pośpiesznie opuściła salon. Przebiegła obok mundurowych, którzy wysiadali z samochodów. Jeden z nich sprawdzał jej dokumenty.

— Znikajcie stąd wreszcie! — syknąłem.

Chantai skinęła na Gustave'a. Przed wejściem ludzie

odbierali rozkazy od jakiegoś scharfihrera. Fryzjer nerwowo odsuwał na bok pudełka, które zasłaniały niskie drzwi.

— Co się stanie z panem? — zapytała Chantai, kiedy otwierał przejście.

— Jeśli mnie złapią, zrobią ze mną to samo co z wami. Przez sekundę walczyła ze sobą, potem wskazała na wejście do nieoświetlonego korytarza. Pochyliłem się. Przed sobą słyszałem pośpieszne kroki maître. Chantal szła ostatnia. Przechodziło się przez wąską sień, następnie schodami w dół. W piwnicy była otwarta krata. Poczulem zapach wina i żywicy z beczek. Weszliśmy do komórki. Ujrzałem promień światła, a nad głowami szyb wychodzący na podwórze. Maître poprowadził nas do krętych schodów. Chantai zakasała sukienkę, żeby móc szybciej iść. Dotarliśmy do korytarza kończącego się na poziomie ulicy. — Attention! — dobiegł nas stłumiony okrzyk z głębi jakiegoś mieszkania. Zobaczyłem żarówkę, a pod nią cień. Fryzjer zatrzymał się przed wewnętrznym dziedzińcem, zauważyłem zaciekawione spojrzenia z balkonów. Usłyszałem, jak jakaś kobieta besztła dziecko, i radio, niemiecką stację nadającą na Francję. Jeszcze jeden klucz i za następnym przejściem pojawiła się ulica. Przeszliśmy przez cały rząd domów. Fryzjer zbliżył się do łuku bramy.

— Twoja marynarka! — krzyknęła Chantai. Rozpiął guziki i wyrzucił kitel.

— Zaczekajcie! — Wyjrzałem na zewnątrz. Z przodu nadchodzili mundurowi, żeby wygonić lisa z kurnika. Z tyłu czatowali inni, ubrani po cywilnemu. Wychyliłem głowę za występ z wypalanej cegły. Czerwone popołudniowe słońce, uliczny gwar, normalność. Po przeciwnej stronie zaparkował samochód, był tam też drugi z silnikiem na chodzie, oba

modele francuskie. Obok ktoś w szarym garniturze i nierzucającym się w oczy krawacie palił papierosa. Zmrużyłem oczy. Pomimo że w ciągu dzisiejszego dnia w powietrzu unosiło się dużo kurzu, jego buty lśniły czystością. Wycofałem się.

— Są tam — wyszeptałem. — Czy jest stąd jeszcze jedno wyjście?

— Piwnica. Ale musielibyśmy się trochę cofnąć. — Chantai odwróciła się w stronę podwórza.

— Nie. Biegniemy! — Fryzjer wsadził ręce do kieszeni.

— W tych butach? — Chantai wskazała na swoje obcasy.

Spojrzałem na Gustave'a.

— Postawili ludzi na wszystkich rogach.

Krzyki, walenie w drzwi. Stracona szansa. Fryzjer wysunął się dwa kroki do przodu, wycofał z powrotem, zagryzł wierzch dłoni.

Pierwsza salwa, pękł wyłamany zamek. Okrzyki protestu, odpowiedzi po niemiecku. Gdzieś płakało dziecko.

— Musimy się rozdzielić! — Gustave zbliżył się do światła.

— Powodzenia — rzuciła Chantai.

Fryzjer pobiegł przed siebie na oślep. Z ciemnej bramy padł strzał, zaczął robić uniki. Mężczyzna w błyszczących butach wskoczył do samochodu. Ze wszystkich stron pojawiały się

ciemne garnitury. Widziałem je przebiegające obok łuku bramy, oddalone od nas zaledwie o kilka metrów. Przechodnie

mimowolnie zatrzymali się przestraszeni. Wystrzał. Ulica

zamarła w bezruchu. Ktoś rzucił się na ziemię. Strzały, teraz już z

oddali. Chantai przysłuchiwała się uważnie, trzymając palec

między wargami. Nagle wszystko ucichło. Mijały długie

sekundy. Ulica wróciła do swojego rytmu. Leżący mężczyzna

wstał i otrzepał spodnie. Nadjechał

rowerzysta, kołysał się, nie mogąc utrzymać równowagi. Dwie kobiety pchały wózek.

— I co teraz? — Chantai była blisko mnie.

Za nami słychać było głosy i zamieszanie. Wojskowe buty na metalowej balustradzie. Staliśmy w cieniu występu muru.

— Mamy maszynę drukarską! — krzyknął ktoś z dołu po niemiecku.

— Znaleźli waszą maszynę — przetłumaczyłem.

— Co robimy? — Chantai szybko odwróciła głowę.

— Chantai? — Nasze oczy spotkały się.

— Co?

— Potrafisz się śmiać? — Wziąłem ją za rękę.

— Śmiać? — skurczyła się w sobie.

— Przecież to wszystko jest tylko jednym wielkim żartem. Z bramy wyszedł młody mężczyzna w garniturze w drobną kratkę. Za nim ładna kobieta w sukience w niebieskie paski. Śmiała się do rozpuku. Kiedy on szedł dalej, dołączyła do niego. Musiał ją mocno trzymać, ponieważ zanosila się śmiechem.

— Arrête, ça suffit — powiedział.

— Il a... il... il a jeté sa chaussure. — Odrzuciła głowę do tyłu, nie mogła się powstrzymać, ryczała ze śmiechu tak głośno, że cała ulica była nim wypełniona.

— Calme-toi, ils regardent tous. — Jej wesołość nie podobała się młodemu mężczyźnie.

— La chaussure! Il a jeté sa chaussure! — Trzymała się za zębra. Po brodzie spływały jej smarki i ślina. Mężczyzna chwycił ją za talię.

— Oui, sa chaussure, j'ai compris.

To zdanie znowu ją pobudziło i wybuchnęła następną kaskadą śmiechu. Rdzawobrazowe włosy opadły jej na czoło.

On próbował nakłonić ją do pójścia dalej.

— Allons. Il est tard. — Z uśmiechem prosił przechodniów o wyrozumienie.

Osobliwa para minęła czarny samochód, w którym siedzieli dwaj mężczyźni w garniturach. Mieli opuszczoną szybę. Jeden popatrzył za nimi, drugi zaraził się śmiechem.

— Mają niezły ubaw — powiedział.

Przy następnym skrzyżowaniu stał pusty samochód wojskowy. O maskę opierał się sturmmann, miał skrzyżowane nogi i zwijał sobie papierosa.

— Panienska zachłysnęła się śmiechem — zauważył wesoło.

— Pardon, Monsieur? — młody mężczyzna nie zrozumiał.

Sturmmann wypluł kawałek tytoniu.

— Ładna, ale zwariowana — powiedział, kiedy para znikła za zakrętem ulicy. Stopniowo śmiech stawał się coraz bardziej cichy.

— Idą za nami? — Chantal rozejrzała się dookoła. Pogłaskałem ją po biodrach.

— Gdzie teraz?

— W prawo.

— Tędy wrócimy na Jacob.

— Zaufaj mi.

Dotarliśmy do rue de Seine. Z naprzeciwka zbliżał się do nas czarny pojazd, powoli, jakby zastawiał zasadzkę. Rozpoznałem służbowy samochód Leibolda dopiero wtedy, kiedy było już za późno. Chantal wyczuła moje wahanie. Za szybą widniały dwie sylwetki, obie miały na głowach czapki z daszkiem.

Przyciągnąłem Chantal do siebie, odwróciłem ją tak, że stała plecami do ulicy, i zacząłem całować w usta. Moje ręce ślizgały się po jej ramionach i plecach. Chwyciłem ją za

pośladki i trzymałem w objęciach. Popatrz tylko, pomyślałem. Popatrz na jej tyłek! Chantal wydała syczący dźwięk. Kiedy samochód zrównał się z nami, zwolnił. Lekko uniosłem głowę. W zewnętrznym lusterku zobaczyłem twarz Leibolda. Jeszcze silniej wcisnąłem usta w wargi Chantal i wtedy mój wzrok spotkał się ze wzrokiem hauptsturmfuhrera. Jednak jego spojrzenie nie zdradzało, że mnie rozpoznał. Tylko obserwował scenę. Młody mężczyzna całował młodą Francuzkę. Oczy Leibolda zatrzymały się, dla mnie na wieczność. Potem powędrowały dalej. Samochód stopniowo oddalał się rue de Seine i znikł za straganem z warzywami. Na ulicy roiło się od ludzi, którzy stali w cieniu i gwałtownie rozmawiali. Inni przemykali obok. Całowałem Chantal. Całowaliśmy się. W oddali usłyszałem syrenę, kroki wojskowych butów, niemieckie słowa za najbliższym rogiem. Na wieczorny tróruar powoli wracał gwar.

Magazyny, zajezdnie, bramy wjazdowe pod daszkami chroniącymi od słońca i deszczu, pomazane farbą zatłuszczone kominy. Bekanie czerwonym winem dochodzące z przejścia. Weszliśmy w wąskie kamienne uliczki Montmartre'u. W cieniu po północnej stronie winnica, kocioł gazowy i ciągnące się na długiej przestrzeni hale. W dole sapały pociągi, w górze unosił się dym z kominów. Horyzont skrył się za chmurami pyłu. Od czasu spędzonego na rue Jacob nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Obok mnie trzepotała sukienka Chantal w paski w kolorze delikatnego błękitu. Próbowałem wyrzucić z pamięci widok twarzy Leibolda.

Spojrzała na mnie.

— Dlaczego pan to zrobił?

Dookoła siedzieli oni, pili. Dziesiątki mężczyzn w mundurach Luftwaffe, wyposażeni w aparaty fotograficzne. Jakiś strzelec karmił wróble. Spojrzał na mnie z dumą, kiedy ptak odleciał z okruchem chleba w dziobie.

— To są pana ludzie — Chantal zmuszała mnie do udzielenia odpowiedzi.

— Tak.

— Więc dlaczego?

— Nie wiem dlaczego.

Zaszumiały korony drzew, w wejściu do restauracji ukazał się skrzypek i wsunął skrzypce pod brodę. Po drodze natknęliśmy się na studnię. Podwinąłem rękawy koszuli i napiłem się. Spojrzałem na Chantal.

— Pani ojca też będą szukać.

Jej szyja była wilgotna od potu. Nęciło mnie, żeby jej dotknąć. Wytarłem ręce o koszulę.

— Dzisiejszej nocy jest bezpieczny. — Mimowolnie obejrzała się do tyłu. — Jutro spotkamy się... — urwała w pół zdania.

— Niech pani nie mówi. Jestem boche. — Uśmiechnąłem się.

— Jest pan boche — powtórzyła.

Znaleźliśmy się na wierzchołku dużego wzniesienia, wyżej nie można już było wejść. Za nami piętrzyły się białe góry z marmuru. Na wzgórzu kłębiły się setki ludzi. U naszych stóp rozpościerało się miasto, jakby tworząc cały świat. Dwaj feldweble wołali do siebie i pokazywali palcami na budynki, które rozpoznawali. Położyliśmy po kolei nasze cztery dłonie na poręczy. Poczulem na karku, że chwyciło mnie słońce.

— To mieszkanie — powiedziała Chantal. — Czy ono naprawdę istnieje?

Od dawna nie myślałem o apartamencie. Hirschbiegel nigdy więcej nie wspominał o nim. Ostrożnie dotknąłem piersi — i wyczułem go. Przez te wszystkie tygodnie nosiłem mały klucz w kieszeni; wyjąłem go z niedowierzaniem. Posrebrzany uchwyt z drobnymi ozdobami.

— Tak.

— Mieszkanie Żyda w Drugiej. — Chantal patrzyła w dal. —
Gdzie to jest? — Pokazałem w dół.

Hirschbiegel tylko raz wspomniął adres. Byłem pewny, że nazwa
wypadła mi z głowy. Faillard, przypomniałem sobie nagle z
łatwością.

— Rue Faillard, numer dwanaście — powiedziałem bez wahania.

Chantal skinęła głową i odwróciła się. Zderzyła się z jakimś
gefreetrem; przeprosił bez cienia uszczypliwości w głosie.

Wybraliśmy zejście na wschodnią stronę. W czasie marszu
ściskałem w ręku klucz. Co będzie, jeśli mieszkanie jest
wypełnione niemieckimi rupieciami? Portret Fuhrera, niemieckie
konserwy, widokówka z Heidelbergu?

Droga wpadała w rue Clignancourt. To, co z góry wydawało się
nieskończone, okazało się możliwym do przejścia labiryntem.

Doszliśmy do La Fayette, zanurzyliśmy się w gmatwaninę ulic
dzielnicy Saint-Denis. Kilka razy pytałem Chantal o drogę.

Antoine towarzyszy córce księgarza do mieszkania porucznika,
pomyślałem.

Na granicy z Drugą ustawili blokadę, wyganiali ludzi z metra na
światło dzienne. — Wychodzić, wychodzić! — ryczał stalowy
hełm obok mnie.

— Peut-être une bombe en cadeau — uśmiechnęła się Chantal.

Przeciskała się dalej wśród oburzonych paryżan. Ulice
pustoszały. Zwolniła kroku, kilka razy spojrzała w górę. Faillard.

Tak było napisane nad naszymi głowami. Dziewięć, jedenaście,
przeszliśmy na drugą stronę ulicy, numer dwunasty. Moje oczy
szybko znalazły przycisk dzwonka. Chantal nacisnęła go palcem.

Modliłem się do Boga o łaskawość konsjerżki. Sekundy mijały
bardzo wolno. Skrzywienie, drzwi uchyliły się na wąską szparę.
Chantal włożyła w nią rękę.

Szybko wślizgnęliśmy się do środka, zanim ktoś wyjrzał zza przepierzenia.

Powoli wspinałem się po schodach i w półmroku czytałem wizytówki na drzwiach. Stare francuskie nazwiska. Jak nazywał się pełnomocnik Hirschbiegla?

Czwarte piętro, ostatnia szansa. Czy zamek pasował do posrebrzanego klucza? Już z ostatniego schodka przeczytałem wytłoczone na złotej tabliczce nazwisko: Wasserlof. Z ulgą stanąłem przed tymi drzwiami.

— A pana przyjaciel? — zapytała Chantal, kiedy ostrożnie włożyłem klucz do dziurki.

— Nie ma go. — Wsunąłem bródkę klucza za głęboko, trochę ją cofnąłem, manipulowałem kluczem z największym wyczuciem, na jakie było mnie stać. Nie dał się obrócić. Chantal czekała za moimi plecami. Oblizalem pot z wargi. Zmieniłem rękę, oparłem czoło o drzwi. Zębki uderzały o krawędzie, zamek drażnił się ze mną, ale nawet nie drgnął.

— Niech pan pozwoli. — Chantal energicznie odsunęła mnie na bok, wytarła zatłuszczony klucz o moją marynarkę i bez trudu otworzyła zamek. Drzwi raptownie rozwarły się do środka, jakby za pociągnięciem sprężyny. Rozległy się zgrzyt i skrzypienie drewna. Chantal oddała mi klucz i puściła przodem.

Nie było światła. Dwa pokoje, jeden z nich wychodził na ulicę. Meble, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Wszystko wydawało się dopasowane. Ciemne drewno, kufry, zawiasy. Na pierwszy rzut oka nie było widać niemieckich symboli, niczego, co Chantal mogła kojarzyć z wrogami. Stare gazety, francuskie. We wnęce kuchennej rosyjska herbata.

— Czy pana przyjaciel jest marynarzem? — Chantal stała pośrodku pokoju, wieczorne słońce prześwitywało przez jej sukienkę.

Pojałem, że pomieszczenie było urządzone jak kajuta. Drewno tekowe, mocno przyśrubowane, jakby na rue Faillard liczono się z burzowymi falami morskimi. Meble okrętowe.

Usłyszeliśmy kroki na dole, nie ruszyłem się z miejsca, podczas gdy Chantal beztrąsko podeszła do okna. Piętro niżej ktoś otworzył drzwi wejściowe. Mieszkaniec oddalił się. Skądś dochodziły dźwięki akordeonu. Okiennice były zamknięte, Chantal otworzyła jedną, wpuściła do środka powietrze.

Stałem za nią, odwróciła się. Z zamkniętymi oczami, centymetr po centymetrze, opadła na moją pierś. Poczułem jej czoło na ramieniu. Ostrożnie ją objąłem. Szelest materiału.

— Co to jest? — Jej palce zatrzymały się na moich plecach.

Przypomniałem sobie o odznace służbowej. Nazwisko, numer, obergefreiter Wehrmachtu.

— Nic. — Zesztywniałem.

— Coś tam było. — Ponownie próbowała znaleźć to miejsce.

— Amulet, przynosi mi szczęście.

— Dlaczego nosi go pan z tyłu? Uchyliłem się od odpowiedzi.

— Jestem spocony. — Wyszedłem z pokoju. W korytarzu musiałem się zdecydować, które drzwi wybrać. Otworzyłem najpierw składzik na miotły, zatrzasnąłem go, wszedłem do łazienki i zasunąłem zasuwkę.

Mydło, proszek do zębów, talk — wszystko niemieckie marki. Puściłem wodę. Zgarnąłem rzeczy, otworzyłem lufcik na podwórko i wyrzuciłem wszystko na zewnątrz. Zabrzęczało na dole. Zawiesiłem pas przy oknie, guziki wydały mi się bardzo małe, zdjąłem łańcuch z odznaką i ukryłem w koszu na brudy. Umyłem się. Na drzwiach wisiał jedwabny płaszcz kąpielowy.

— Antoine! — zawołała Chantal. — Słucham?

— Jak pan się naprawdę nazywa?

— Nazywam się Antoine! — Włożyłem płaszcz. Zawiązałem pasek. W lustrze nie widziałem w sobie nic z Niemca.

Kiedy wyszedłem, Chantal stała w sypialni. Pochyliła się nad materacem. Był solidny i twardy, z pewnością pochodził z Rzeszy. Wstając, uśmiechnęła się na widok płaszcza. Był na mnie za krótki.

— A teraz chcę usłyszeć — powiedziała — dlaczego pan to zrobił? — Milczałem. Zimny jedwab sprawił, że drżałem. — Może dlatego — popatrzyła na mnie ironicznym wzrokiem — że w sercu jest pan Francuzem? — Usiadła na brzegu łóżka. — Lub po prostu nie lubi pan wojny?

— Wojna nie jest niczym szczególnym — odpowiedziałem szorstko. — Zawsze jest wojna.

— W takim razie zostaje tylko wersja francuska. — Przez chwilę wydawała się zasmucona. — Zrobił to pan dla kobiety.

Odwrociłem głowę w stronę okna. Przedmioty na zewnątrz stawały się niebieskie. Pomyślałem o Leiboldzie. Może leżał właśnie teraz na podobnym łóżku, jego materac był francuski; zapadał się na środku. Wpatrywał się w podobny sufit. Dzisiaj miał pecha, jednak kiedyś przypomni sobie widok całującej się pary. Może wpadnie mu do głowy, kogo w rzeczywistości wtedy widział. Gdyby pomyślał dostatecznie długo, wpadłby na rozwiązanie tej zagadki. Ile czasu zostało?

Usiadłem obok Chantal, przyglądała się fałdom na mojej skórze w miejscu, gdzie rozchylił się płaszcz kąpielowy. Trzymaliśmy się za ręce. Jej była brązowa, z widocznymi żyłami. Nie udało mi się jednak w pełni rozkoszować tym stanem oszołomienia.

— Gdzie jesteś? — Chantal dotknęła moich włosów.

Jej ramiona, nieboskłon. Coraz cięższe powietrze wieczorne. Chciałem jeszcze raz wstać, żeby zamknąć okiennice. Nie pozwoliła mi uciec.

W nocy nagle się obudziłem. Szukałem przyczyny. Dolatywały mnie dźwięki, nie był to realny śpiew, tylko mój wymysł. Noga Chantal leżała na mojej. Powoli głaskałem ją po udzie i kolanie. Piękne, odprężone ciało, regularny oddech. Kiedy odwróciła głowę i włosy opadły jej na twarz, delikatnie odsunąłem je na bok. W jednej chwili wyrwała się z głębokiego snu i powróciła do całkowitej przytomności.

— Idą? — Odsunęła się ode mnie i usiadła prosto. Chciałem przyciągnąć ją do siebie. Przywarła plecami do głowy łóżka. — Która godzina?

Wskazałem ręką na okno, na dworze było jeszcze szaro.

— Chantal...

— Słucham?

— Nie mogę przypomnieć sobie tej piosenki.

— Jakiej piosenki? — Potrząsnęła głową w ciemności.

— Melodii.

— I co z tego...?

— Jeśli sobie nie przypomnę, nie będę mógł zasnąć. —

Przysunąłem się bliżej.

— Jesteś najbardziej zwariowanym boche, jakiego tu przysłali.

No więc, jak idzie ta twoja piosenka? — Powoli pogłaskała mnie po obojczyku.

Zanuciłem kilka tonów.

— Piosenka jest o dziewczynie, która zakochała się w kwietniu.

A w lecie znowu została sama.

Chantai przytaknęła.

— W kwietniu — powiedziała z powagą.

— *Avril prochain, je reviens* — przypomniały mi się słowa.

Głębokie, krótkie tony. — Znasz to?

Chantai zaśpiewała swoim chłopięcym głosem. Powstała z tego nowa, niezbyt udana melodia. Wślizgnąłem się pod koc, poczułem powracające zmęczenie. Chantai była teraz rozbudzona. Zaczęła mnie głaskać. Nie pozwoliła, żebym zasnął na jej piersi. Wąchała moje ramię, brzuch. Wsunęła się na mnie. Ował jej pępka tańczył w górę i w dół.

Chantai myła ramiona i piersi. Siedziałem na pokrywie toalety i paliłem papierosa. Otworzyłem okna. Było tak wcześnie, że miasto tylko sporadycznie dawało oznaki życia.

— Dlaczego pracujesz u Turachevskiego? — zapytałem. Ręka, w której trzymała myjkę, znieruchomiała.

— Nie przychodź tam więcej. — Chantai odwróciła się bardziej w moją stronę.

— Dla pieniędzy? — Wyczułem, że to pytanie oddaliło ją ode mnie.

Związała włosy i upięła je z tyłu głowy. Zasłoniła się z przodu rękami i odwróciła do mnie.

— Nie chcę, żebyś mnie tam widział.

— Jak inni boches?

— Tak.

— Tutaj jest jedyne miejsce, gdzie możemy się spotykać. — Wstałem.

Spojrzała na mnie spod zmęczonych oczu, które wyrażały pożądanie.

— Dziś wieczorem? — spytałem.

— Może dziś wieczorem.

— Co teraz zrobisz? — Wrzuciłem papierosa do muszli klozetowej.

— Poszukam Gustave'a. Mam przeczucie, że go nie złapali. Obserwowałem nas oboje w lustrze. Chantal włożyła koszulę i objęła mnie. Przed domem rozległ się dźwięk klaksonu. Zadrżeliśmy.

Chantal wyszła pierwsza.

— Przed ósmą będę czekał na schodach — powiedziałem. Nie pocałowaliśmy się na pożegnanie. Speszony zostałem w obcym mieszkaniu wśród okrętowych mebli. Przy świetle wschodzącego słońca wyciągnąłem z kosza na brudną bieliznę emblematy Wehrmachtu. Starannie zamknąłem mieszkanie, ucałowałem klucz jak sprzymierzeńca. Kiedy schodziłem po schodach, zastanawiałem się, czy zostało mi dostatecznie dużo czasu, żeby zanieść torbę z bielizną Monsieur Antoine'a do hotelu przed rozpoczęciem służby.

Postawiłem torbę pod biurkiem. Rottenführer na krótko podniósł wzrok i znowu pochylił się nad swoimi wykazami. Mój stół był najmniejszy i stał najdalej od okna. Jeszcze nikt po mnie nie telefonował. Usiadłem, przysunąłem bliżej protokoły z wczorajszych przesłuchań i zacząłem tłumaczyć.

Pół godziny później Rieleck-Sostmann wyszła z pokoju Leibolda. Spodziewałem się gestu, spojrzenia, które zdradzi mi stan barometru w środku. Rieleck-Sostmann przeszła obok.

— Czeka na ciebie — powiedziała do moich pleców. Kiedy się odwróciłem, już rozkładała papiery.

Wziąłem notatnik i ołówek, zapukałem i wszedłem do środka. Leibold rozmawiał przez telefon. Stałem na baczność; zajęło mu to dużo czasu. W końcu odłożył słuchawkę.

— Lepiej się pan dzisiaj czuje? — zapiął górny guzik munduru.

— Był pan popływać?

— Popływać, panie hauptsturmführerze? — Wyprężyłem się.

— Przecież był naprawdę cudowny dzień. — Sądził, że nie rozpoznałem wyrazu jego twarzy. — Wczoraj, w czasie obławy był straszny upał.

Wstrzymałem oddech.

— Co pan począł z tym pięknym letnim wieczorem? — Leibold zamrugał oczami, kiedy promień światła padł mu na twarz.

— Nic szczególnego. Spotkałem kolegę.

Leibold odwrócił się do drzwi, chwycił za klamkę i czekał. Zrozumiałem, że chce znać nazwisko.

— Hirschbiegel, porucznik u pułkownika Schwandta.

— Z pancernernej? — Hauptsturmfuhrer nie spuszczał ze mnie oczu.

— Tak jest. — Wymieniłem jednostkę, w której służył Hirschbiegel.

— Co pan ma z nimi wspólnego? — Obcas jego buta obrócił się na podłodze.

— Porucznik i ja kwaterujemy w tym samym hotelu.

— Rozumiem. — Otworzył wewnętrzne drzwi; w pokoju przesłuchań stali rottenfuhrerzy. — Nie złapaliśmy wczoraj wszystkich — powiedział Leibold z ledwo widocznym uśmiechem. — Mimo to jestem zadowolony.

Czułem się tak, jakby żelazna klamra obejmowała moją szyję. Spuściłem głowę, żeby dla pozorów przerzucić do tyłu zapisane kartki notatnika.

— Niech pan będzie ostrożny — powiedział hauptsturmfuhrer. Miałem wrażenie, że podłoga biura się zapada. Dwoma palcami naciskałem na ołówek, czułem, że zaraz się złamie. Wreszcie Leibold otworzył drzwi. Poszedłem za nim i usiadłem na swoim miejscu.

Przesłuchiwano fryzjera.

Został pobity, nad prawym okiem widniała otwarta rana. Posadzili go na krześle. Leibold kazał odczytać jego personalia. Gustave Thiérisson, zamieszkały 31 rue Jacob, właściciel salonu fryzjerskiego.

Jeszcze na mnie nie spojrzął.

— Długo prowadzi pan już swój interes? — zaczął Leibold.

— Vous l'avez longtemps le salon? — zapytałem cicho.

Gustave podniósł się, zadźwięzwały kajdanki. Nie przejąłem się jego wyglądem, ale rozpaczą w oczach. Wlepił we mnie wzrok.

— Propriété de famille — odpowiedział w końcu łamiącym się głosem.

— Własność rodziny — powiedziałem.

— Czy twoja rodzina posiada też licencję na drukarnię?

Zwlekałem o chwilę za długo.

— No już, niech pan mówi! — krzyknął Leibold z wściekłością. Ścisnąłem kolana i przetłumaczyłem. Fryzjer chciał mówić. Nie czekali tak długo. Tym razem hauptsturmführer nie pozwolił mi wyjść.

Bili Gustave'a po twarzy. Nie krzyczał, stękał tylko, trwał w oczekiwaniu na następne ciosy. Okładali go dalej dopiero wówczas, kiedy zmniejszył się ból wywołany poprzednim biciem. Rzucili go na podłogę, kopali w miękkie części ciała. Leibold nie przerywał, nie zadawał pytań, dał im czas. Z powrotem zaciągnęli fryzjera na krzesło i rozpięli mu spodnie. Jeden z nich włożył rękawiczkę. Wytracony z równowagi Gustave spojrzął na mnie; z jego brwi kapąła krew. Obserwował rękawiczkę, która zbliżała się do jego genitaliów. Rottenführer chwycił. Gustave zawył przeraźliwym głosem; odwracał się, żeby uniknąć uścisku. Szarpał rękami,

jakby chciał rozerwać więzy. Ten w rękawiczce rozluźnił uchwyt dopiero na znak Leibolda. Jednak fryzjer wciąż krzyczał, tylko jakby z daleka. Stopniowo przechodziło to w skamlenie. Mokra struga popłynęła wzdłuż nogawki spodni i skapywała na podłogę obok buta.

— Od tej chwili żądam precyzyjnych odpowiedzi — powiedział Leibold. — Jedno słowo, które mi się nie spodoba, i robimy dalej. Przetłumaczyłem. Moje łopatki i plecy były mokre od potu.

— Czy ta maszyna drukarska należy do ciebie? — kontynuował Leibold.

Przetłumaczyłem i dodałem jednym ciągiem:

— Dis le vite!

Leibold zmierzył mnie wzrokiem, ale nie przerwał.

Zmaltretowana twarz, złamany nos. Gustave przyznał, że jest właścicielem maszyny.

— W twoim zakładzie pracuje też kobieta — powiedział hauptsturmfuhrer. — Jak się nazywa?

Przetłumaczyłem. Gustave lekko uniósł głowę. Nasze oczy spotkały się.

— Jak ona się nazywa?! — powtórzył Leibold. Rotten-fuhrerzy zaczęli się przygotowywać.

— Dis son nom! — przesadnie gwałtownie ofuknąłem fryzjera.

— Chantai — odpowiedział Gustave ledwie słyszalnym głosem.

— A dalej?

— Joffo. — Zaciął się. — Elle n'en a rien à foutre.

— Kobieta nie ma nic wspólnego z tą sprawą — powiedziałem. Spojrzenie Leibolda wędrowało między mną a aresztantem.

— To się okaże. — Znowu zaczął się przechadzać po pokoju. Na krótko przed południem fryzjer stracił przytomność. Rottenfuhrerzy próbowali go ocucić strumieniami wody. Kiedy to nie pomogło, Leibold kazał odprowadzić go do celi. Wyciągnęli pozbawionego czucia mężczyznę na zewnątrz, jego nogi wlokły się po podłodze.

Usiadłem na dziedzińcu z dala od innych i zapaliłem papierosa. Przed oczami miałem Gustave'a i jego otwarte rany. Jeszcze jedno takie przesłuchanie i powiedziałyby wszystko. Nerwowo zaciągnąłem się papierosem.

— Potrzebujesz więcej snu. — Z cienia wyszła Anna Rieleck-Sostmann.

— To tylko gorąco. — Nie wyszedł mi uśmiech. Usiadła tak, że jej nogi wystawały na słońce.

— Jeśli to możliwe, chętnie ci pomogę.

— Czy sądzisz, że potrzebuję pomocy?

— Znasz tego fryzjera, prawda? — Przechyliła głowę do tyłu.

Mój wystraszony wzrok powiedział wszystko.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. — Rieleck--Sostmann spłoszyła muchę z czoła.

— Kiedyś strzygłem się w jego zakładzie. — Miało to brzmieć obojętnie. — Powiedziałaś coś Leiboldowi?

— Czemu miałabym mówić? — Wzięła papierosa z mojej paczki. Podałem jej ogień. — I tak skęcisz sobie kark beze mnie. Zamrugnęła, jakby iskra znalazła się zbyt blisko jej oka.

— Anno, proszę cię...

— Mam dzisiaj czas. Powiedzmy o siódmej. — Obser-

wowała mnie z boku. — Nie zapomnij zabrać torby spod stołu. —
Z tymi słowami wstała i odeszła.

Kilka minut wpatrywałem się w promień słońca, który wędrował najpierw po moim bucie, potem po łydce. Zaczęło mnie parzyć przez skórę. Nie poruszyłem się, dopóki rotten-fuhrer nie wezwał mnie do środka.

Umyłem się. Szorstką myjką wyszorowałem stopy i kolana, a zwykłym mydłem umyłem włosy. Unikałem spojrzenia w lustro. Na koniec polałem się lodowato zimną wodą. Przed paroma minutami za Rieleck-Sostmann zamknęły się drzwi. Starąłem się wymazać z pamięci minione godziny. Silne uda, zarumienioną szyję. Wskoczyłem z łazienki, zerwałem trzy kartki z kalendarza. Włożyłem lepszy mundur, u pokojowej kupiłem flakonik wody kolońskiej i zwilżyłem nią szyję i skronie. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy, na ulicach niewielu cywilów. Wszedłem w mglisty wieczór. Zwyczajna mieszanina wałęsających się oficerów i żołnierzy szukających uciech. Raz wydało mi się, jakbym słyszał z tyłu kroki, jednak chodnik był pusty.

Prostą drogą dotarłem do rue Faillard. Przed domem zaniepokoiłem się. Moje dłonie były wilgotne, zanim przycisnąłem guzik dzwonka, dwa razy przejechałem nimi po włosach. Konsjerżka znowu okazała się duchem za przymkniętymi drzwiami. Tylko kaszel wskazywał, że ktoś tam był.

Szeptem zawołałem imię Chantal w głąb klatki schodowej. Czekałem przed drzwiami mieszkania. Coś mogło ją zatrzymać. Po półgodzinie było już pewne, że nie przyjdzie. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby otworzyć drzwi; znowu zaskrzypiały. Dzisiaj mieszkanie wydawało się ponure i niezamieszkane. Tylko poduszki i prześcieradło przypominały o ostatniej nocy. W kuchni znalazłem butelkę wina. Nie zapalając światła, usiadłem na okrętowej sofie i piłem. Później nalałem sobie koniaku Hirschbiegla. Piłem dużymi łykami.

Kiedy obie butelki były już puste, otworzyłem okno i przeszedłem przez mieszkanie. Poczulem dziwny ciężar, ponieważ nie mogłem nic zrobić. Było mi niedobrze, wyrzuciłem z siebie palący alkohol i dopadłem do wyjścia. Potykałem się na gładkich stopniach, stukot obcasów wojskowych butów był nieznośnie głośny. Przebiegłem obok pomieszczenia konsjerżki i skierowałem się w stronę rzeki. Zwolniłem dopiero wówczas, kiedy dotarłem do kamiennej wstęgi mostu i salutując, minąłem dwóch scharfuhrerów. Starąłem się nie zbliżyć do rue Jacob i wybierałem tylko małe uliczki.

Kiedy dotarłem do czarnej bramy prowadzącej do rue de Gaspard, zegar bił właśnie ósmą. Wokół zrobiło się ciemno. Przeszedłem przez bramę. Sklep handlarza starzyzną był zabity deskami, jakby opuścił go na zawsze. Kiedy znalazłem się obok księgarni, usiadłem na kamieniu, żeby uspokoić oddech. Pot spływał mi po brwiach. Nagle jakiś kształt w ciemności kazał mi się zerwać na równe nogi. Czy sklep znajdował się pod obserwacją? Czy czatowali w ciemnościach, żeby za chwilę mnie pochwycić? Przyjście tutaj było bardzo lekkomyślne! Niebezpieczne, również dla Chantal. Jednym skokiem pokonałem schody. Zastukałem do drzwi.

Poczułem nagły strach, kiedy uchyliły się, skrzypiąc. Dzwonek nie zadźwięczał. Dopiero teraz zauważyłem potłuczone szkło. Choć rozpoznawałem tylko zarysy pomieszczenia, wchodząc, zauważyłem, że wszystko dokoła było zniszczone. Poprzewracane regały, na podłodze setki porozrzucanych książek. W migoczącym płomieniu oceniałem stopień dewastacji. Odwróciłem się tak szybko, że podmuch powietrza zdmuchnął ogień. Czyżby na ulicy coś się poruszyło? Stałem tak kilka sekund i nasłuchiwałem. W końcu utorowałem sobie drogę i dotarłem do kontuaru. U moich stóp leżała podarta księga handlowa. Wszędzie porozrzucane dokumenty, ryciny i mapy. W magazynie z tyłu taki sam widok. Cały zapas książek rzucili na jeden stos. Wyczerpany usiadłem na górze książek i zdjąłem furazerkę. Przeklinałem okoliczności, które zetknęły mnie z tymi ludźmi. Wszystko, co robiłem, sprowadzało na Chantal niebezpieczeństwo. Obwinałem się, że zrujnowałem jej życie. Czyż to nie ja doprowadziłem fryzjera do tego, że wymienił jej imię? Czy jutro, podczas przesłuchania, nie stanę naprzeciw niej? Wokół panowała cisza, słyszałem tylko szelest papieru. Czapka wyślizgnęła mi się z ręki i upadła na podłogę. Schyliłem się po nią i zobaczyłem przykryty książkami róg dywanu. Wyprostowałem się. Następną zapałką poświeciłem nad podłogą. Tupnąłem, pod spodem była pusta przestrzeń. Uważnie nasłuchiwałem, czy zza kontuaru nie dojdzie mnie jakiś dźwięk — wszędzie panowała cisza. Znalazłem świecę i zapaliłem ją. Zacząłem podnosić regały, książki układałem w sterty przy ścianach. Stopniowo odsłoniłem dywan, chwyciłem za róg i odrzuciłem zakurzoną tkaninę. Czubkiem buta szukałem brzegu lub zagłębienia. W sklepie panował zaduch, zdjąłem bluzę od munduru.

Nacięcie w desce było ledwie widoczne, nawet kiedy trzymałem nad nim świecę. Wosk kapał mi na rękę. Deski były złączone bardzo ciasno. Widać było tylko jedno wyszczerbione miejsce, jakby zostało specjalnie zaznaczone. Przeszukałem pomieszczenie, chciałem znaleźć jakiś pręt. Zauważyłem żeliwny piec i oparty o ścianę pogrzebacz. Uchwyt miał dziwne zgrubienie z płaskim końcem. Postawiłem świecę na podłodze, włożyłem dźwignię między deski i oparłem się na niej całym ciężarem. Powolny zgrzyt, za chwilę zamknięcie pęknie. Nagle kłapa ustąpiła. Otworzyła się wąska szczelina. Powróciło wspomnienie, jak zostałem wciągnięty tam na dół przed kilkoma tygodniami. Postawiłem nogę na najwyższym stopniu i zacząłem ostrożnie schodzić głębiej. Stałem na ubitej ziemi i ze świecą w rękę obróciłem się dookoła. Widziałem ściany z surowej cegły, przy murze stelaże z ziemniakami i jabłkami.

— Mierzę dokładnie w twoje serce — powiedział męski głos wydobywający się z ciemności.

Cofnąłem się.

— Nie ruszaj się! — krzyknął mężczyzna.

— Joffo? — Zdmuchnąłem świecę. Nie usłyszałem odpowiedzi.

— Jestem sam.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Sięgnąłem po zapalki. Pudełko wypadło mi z ręki, po omacku szukałem go na wilgotnej podłodze. W tej samej chwili pomiędzy księgarzem a mną zapaliła się świeca. Jego twarz była przepełniona strachem.

— Jak długo już pan tu jest? — zapytałem.

— Byli tu tak szybko, że już nie mogłem się nigdzie ruszyć — odpowiedział Joffo.

— Czy piwnica ma drugie wyjście?

— Nie.

- Jak chciał pan wydostać się na górę?
- Próbowałem, ale kłapa była za ciężka.
- Udusiłby się pan.
- Nie. — Joffo trzymał rewolwer w świetle. — Na pewno nie.
- Wyszedł na górę. — Oni wrócą.

Poszedłem za nim.

— Gdzie jest Chantal?

— Daleko.

— Gdzie?

Staliśmy obok siebie, Joffo zamknął kłapę i przykrył ją dywanem.

— Nie zobaczy pan mojej córki, Monsieur.

— Nie jestem winny tego, co się zdarzyło! Joffo odłożył pogrzebacz na miejsce.

— Muszę zostawić moje książki — powiedział. — To wasza wina. Zdmuchnął świecę i zaprowadził mnie do kontuaru. Po omacku szukaliśmy drzwi. Zanim odszedłem, opowiedziałem, co stało się z fryzjerem. Tortury przemilczałem. Joffo pochylił się i podniósł urwany dzwonek, który wydał pusty dźwięk.

— Niech pan nie próbuje nas szukać, Monsieur. — Spojrzał za siebie na zniszczone książki. Bez pożegnania wymknąłem się na ulicę. Na moment przystanąłem przy kamieniu, na którym po raz pierwszy ujrzałem Chantal. Jaką książkę wtedy czytała?

Tej nocy zniszczyłem wszystkie niemieckie ślady na mojej bieliźnie. Znaki firmowe zostały usunięte, nadruki zmienione nie do poznania. Zdrapałem nożem nawet numer butów na podeszwach i niemiecką jednostkę miary.

Następnego dnia poprosiłem Leibolda o rozmowę. Staliśmy naprzeciw siebie w biurze, a nie jak kiedyś przy oknie. Jestem obergefreitem Wehrmachtu, powiedziałem, i proszę o przeniesienie do mojej dawnej jednostki.

— Już się panu nie podoba na rue des Saussaies? — Ton głosu Leibolda pozostawał przyjazny, ale za tą maską wyczułem napięcie.

Szerzące się w ostatnim czasie pogłoski o inwazji sprawiały, że działania ruchu oporu lawinowo przybierały na sile. Przez nasz wydział codziennie przechodziły dziesiątki aresztowanych; często przesłuchanie było tylko przygrywką do rozstrzelania.

Wyznałem Leiboldowi, że przesłuchania zmęczyły mnie.

— Ci ludzie są wrogami Rzeszy! — Hauptsturmfuhrer akcentował każde słowo. — Kiedy jest pan na froncie, musi

pan zabijać wrogów własnymi rękami. — W ciszy słychać było przejeżdżającą ciężarówkę. — Chce pan tego, panie obergefreiter?

Słońce zaznaczyło na otynkowanej ścianie wyraźny krzyż. Wpatrywałem się w oświetlone miejsce za haupt-sturmfuhrerm. — Proszę o przeniesienie — powtórzyłem. Mój głos zabrzmiał obco.

— Przekażę panu moją decyzję. — Pochylił się nad biurkiem. Tego dnia tłumaczyłem przepytywanie dwóch Francuzek, które były przewożone do obozu, żeby spotkać się ze swoimi mężami. Kiedy późnym popołudniem opuszczałem kancelarię, Rieleck-Sostmann rozmawiała z jednym z unter-smrmfuhrerów. Opowiadał, że aresztowany fryzjer zmarł z powodu odniesionych ran.

— Grecja, jeśli będziesz miał szczęście — powiedział Hirschbiegel. Siedzieliśmy obok siebie na łóżku. — Może Rumunia. Popatrz na to z tej strony, że jedziesz w góry. — Rozcierał różowe dłonie między kolanami.

Na zewnątrz zapowiadał się piękny jesienny wieczór. Za leżącymi naprzeciw szczytami domów promieniało niebo, powietrze się ochłodziło.

— Rumunia? — Próbowałem przypomnieć sobie mapę Bałkanów, którą mój major zabrał stamtąd ze sobą. Mapę z nagryzmlonymi ołówkiem uwagami: Bandy korpusu Josip lub XII bandycka dywizja; wydawało się, że na Bałkanach toczyła się wojna z bandytami.

Milczeliśmy; żaden z nas nie wspomniał o Rosji. Dlaczego Leibold miałby się wahać, żeby mnie tam posłać?

— Nie chcesz jej przedtem zobaczyć? — zapytał Hirschbiegel.

— Są daleko — powiedziałem. — Prawdopodobnie na wsi.

— A mieszkanie na rue Faillard stoi puste — westchnął porucznik. — Szkoda.

Piliśmy koniak.

— Daj mi jeszcze raz posłuchać piosenki—powiedziałem.

Hirschbiegel wyjął z puszkę trochę brylantyny i roztarł ją w dłoniach. Podniosłem się i podszedłem do regału.

— Za rok, w kwietniu na pewno nie będzie mnie już w Paryżu.

— To przez nieuwagę, przepraszam — powiedział, kiedy znalazłem brązową kopertę.

. Wyjąłem płytę. Była przełamana na dwie części.

— Usiadłem na niej. — Hirschbiegel oczami wyraził usprawiedliwienie.

— Pamiętasz jeszcze melodię? — Trzymałem obie połówki związane ze sobą. — Jak to idzie?

Porucznik smarował włosy.

— Koniec ze szlagierem, nic nie poradzisz. Przeczytałem rozdzielony tytuł. *Avril prochain*. Piosenki nie mogłem sobie przypomnieć.

Wkrótce potem szlifowaliśmy bruk w kierunku Sekwany, wyprzedzał nas zapach fiołków Hirschbiegla. Nad zielenią i żółcią platanów ochłodziło się niebo, szybko zrobiło się ciemno. Oddychałem łagodnym powietrzem. Nieliczne chmury miały brązowy kolor. Mężczyźni ubrani w swetry siedzący w oknach na ostatnim piętrze zachowywali się prostacko. Właśnie otwierano kawiarnię, kelner był jeszcze zajęty zamiataniem. Ze wszystkich stron dochodziła różnorodna muzyka, oddalone skrzypce, niemieckie dźwięki grane

na trąbce, *Marynarzem nic nie wstrząśnie*. W restauracji naprzeciwko grała damska kapela. Przeszliśmy na drugą stronę. Delikatna skrzypaczka oczarowała Hirschbiegla. Francuzka jak z książki z obrazkami dyrygowała smyczkiem zawile wstawki. Jej przeciwieństwem była kobieta grająca na altówce. Jędrna, dobrze odżywiona, przy każdym oddechu jej piersi unosiły instrument. Na zakończenie walca wiolonczelistka rzuciła mi smutne spojrzenie.

Hirschbiegel gryzł kawałek białego chleba.

— Czy nie zechciałbyś przedstawić nas damom?

— Wszystkim czterem?

— Ta stara przy fortepianie może iść do domu! — krzyknął, śmiejąc się.

Po kilku kieliszkach zapomniał o damskiej kapeli.

— Na zewnątrz gra muzyka! — Porucznik potknął się na bulwarze.

Włączyliśmy się w kłębowisko ludzi, którzy stawali się coraz bardziej napięci, im bliżej było do zaciemnienia. Powiew głosów, tysiące kroków, podkute żołnierskie buty. Wąsy grubości kciuka, złote zęby, które odsłaniał śmiech. Błede twarze, mimo wciąż widocznej opalenizny. Przed skromnym oknem wystawowym stali żołnierze z rękami założonymi na plecach. Podchodzili luźno do obowiązku salutowania, zresztą na ulicy było mało oficerów. Rzucił mi się w oczy niski feldwebel, który czwarty raz przebiegał przez to samo skrzyżowanie, udając ważnego, jakby przyszedł za późno na spotkanie. A przecież był to tylko zagubiony pojedynczy przechodzień.

Kobiety przewyższały liczebnie żołnierzy. Hirschbiegel w każdej domyślał się profesjonalistki, jeśli pokazywała nagie łydki.

— Ale ta to na pewno! — syczał co kilka metrów. Drewniane podeszwy, zakiety kostiumów przewieszane przez ramiona. Dwójkami, czwórkami wypełniały ulicę, śmiejąc się, szepcząc między sobą. Wychwytywałem niemieckie słowa, którymi dziewczęta zagajały rozmowę. Trzymaj się — to na razie. Śmiechy, drobne złośliwości, nic szczególnego. Prawdziwe profesjonalistki sprawiały wrażenie koni wyścigowych wśród niewinnych kucyków; wysokie obcasy, futra na ramionach. Wystawiały się na widok publiczny i były oglądane, taksujące spojrzenie, rozczarowanie i następna próba. Kokieteryjnie ubrany chłopak, stojący w wejściu do kawiarni, robił wyrzuty kelnerowi: — Mais, j'ai douze ans. — Przeszliśmy obok starej kobiety, która siedziała w wełnianym szalu na ramionach jak skamieniała w cieniu swojego kiosku z gazetami.

Zdecydowałem się na kawiarnię przy Quai de la Touraelle z widokiem na Notre-Dame.

— I co teraz? — Hirschbiegel niecierpliwie rozglądał się wśród gości.

— Czekamy, może szczęście uśmiechnie się do nas. Ponuro lustrował wzrokiem parę, która znalazła się w pobliżu. Bezczyne siedzenie tutaj hamowało jego chęć podbojów.

— Ostatnio miałem dość męskich wieczorów — burknął.

Rozkoszowałem się powiewem bryzy od strony rzeki.

Nieco później pojawiły się dwie młode kobiety. Były ubrane w dobrze skrojone spódnice, wykrochmalone bluzki i miały śliczne kapelusze na głowach. Po krótkiej wymianie słów zdecydowały się usiąść w kawiarni. Hirschbiegel wyprostował się, kiedy skierowały się do sąsiedniego stolika. Grzbietem dłoni przejechał po błyszczącym czole.

— Lubię wysokie z dużymi buforami — wyszeptał. — Czy zadowoliliby cię ta szczupła?

Przytaknąłem, nawet nie patrząc.

— Jak sądzisz, kim są nasze sąsiadki? Dwie nauczycielki? Na pewno nie prostytutki, to widać od razu. Kiedy zagadasz do nich? Odczekałem dziesięć minut, siedząc cały czas beczynnie.

— Zrób coś, bo ktoś nam je capnie — naglił Hirschbiegel.

Rzeczywiście przy stoliku obok siedział elegancki Francuz, który już zaczął z kobietami rozmowę.

— Teraz uprzedzi nas ten żabojad! — Hirschbiegel wiercił się na krześle. — Ta wysoka bardzo by mi pasowała.

Kobiety odprawiły Francuza z kwitkiem. Przygarbił się i wycofał do stolika swoich przyjaciół.

— No, teraz ty, chłopie! — Hirschbiegel klepnął mnie w plecy. Pochyliłem się do stolika obok.

— Excuzes moi, Mesdemoiselles. On n'a pas encore dîné, mon copain et moi. Nous ne sommes pas d'accord sur quel restaurant prendre.

— Mais il y a des excellentes dans le quartier — odpowiedziała szczupła.

— Co? Co powiedziała? — Hirschbiegel przyjął taką postawę, że wyglądał teraz jak pomnik jeźdźca.

— Les desdemoiselles n'auraient pas une petite faim par hasard? — zapytałem.

— Une toute petite faim toujours — roześmiała się dobrze zbudowana.

— Popatrz, jak ona się śmieje — zachwycił się porucznik. Wyjaśniłem mu, że nie mogą sobie pozwolić na drogi lokal.

— Powiedz im, że zapłacę za wszystko! — zaoferował ochoczo Hirschbiegel. — Najlepszy, tylko najlepszy — krzyknął z dziecinną radością, dał znak kelnerowi i nie pozwolił się odwieść od zapłacenia rachunku kobiet. Zaproponował elegancką restaurację.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, było już po godzinie policyjnej. Protekcyjnalny w swoim szczęściu, Hirschbiegel rzucił pomysł, żeby jeszcze wpaść na jednego na rue Faillard. Wysoka, która była robotnicą w fabryce guzików, uwiesiła się na jego ramieniu. Szczupła, milcząc, szła obok mnie.

Dotarliśmy do zaciemnionej uliczki, a następnie do domu. Zastanawiałem się nad jakimś usprawiedliwieniem, żeby nie zepsuć wieczoru Hirschbieglowi. Za żadną cenę nie chciałem iść na górę. Porucznik wziął swoją towarzyszkę za rękę i nacisnął klamkę jej palcami. Krótkie skrzypienie. Zanim drzwi się otworzyły, zauważyłem ruch w półmroku. Przestraszyłem się; od popołudnia spędzonego na rue Jacob zagnieździła się we mnie obawa przez zasadzką.

Zbliżały się kroki. Chantal zatrzymała się przy krawężniku. Pytającym wzrokiem przyglądała się kobietom i drugiemu mundurowi. — Antoine? — zawołała cicho.

Z radości nie wiedziałem, co robić. Podbiegłem do niej, znieruchomiałem.

— Jeszcze jesteś w mieście?

Miała na sobie ciężką kurtkę, w rękę trzymała torbę.

— Nie jesteś sam?

— Ale, przecież — bełkotałem. Odwróciłem się do Hirschbiegla. Porucznik zbliżył się.

— Czy to ona? — zapytał zaciekawiony.

— Mój przyjaciel — wyjaśniłem. — Do niego należy mieszkanie.

— Ten Żyd? — Chantal uśmiechnęła się mimo niezwyklej sytuacji. — Czy możemy porozmawiać? — Spojrzała wymownie na kobiety. — To nie potrwa długo.

— Gdzie chcecie teraz iść? — zapytał Hirschbiegel.

— Gdziekolwiek. — Spojrzała na mnie. Gruby wsunął się między nas.

— Trzymaj. — Z serdecznym mrugnięciem przekazał mi srebrny klucz.

— A ty? — Przytrzymałem jego rękę.

— Wystarczy mi hotel. — Ukłonił się niezgrabnie i wrócił do Francuzek. W mozolnie wypowiedzianych słowach wyjaśnił, że muszą iść dalej. Usłyszałem głosy sprzeciwu, śmiech, następnie oddalające się kroki całej trójki.

— Dlaczego jeszcze jesteś w mieście? — zapytałem.

— Jutro wyjeżdżam.

Zagubiony, pełen wątpliwości, szczęśliwy stałem przy krawędzi chodnika.

— Kocham cię, Chantal — powiedziałem ochryplym głosem.

— Nie — wyszeptała w ciemności.

— Jeszcze tylko krótko będę w Paryżu. — Zbliżyłem moją twarz do jej twarzy.

— Dlaczego?

— Poprosiłem o przeniesienie.

— Oczywiście. — Dotknęła mojego policzka. — Ktoś, kto tak dobrze mówi w naszym języku...

— Tam, gdzie jadę, francuski nie jest potrzebny.

Z pytającym wyrazem twarzy objęła mnie. Zaczęliśmy się całować. Rozpięła sukienkę, która opadła na podłogę.

Wślizgnęliśmy się do łóżka. Chwyciła zębami mój język.

Głaskałem jej długie, opalone uda. Jej miednica poruszała się wolno. Łagodnie przyjęła mnie do środka. Dotykałem miękkich piersi, bawiłem się gęstymi włosami. Odpychałem od siebie

wszystkie myśli. Ta noc przyćmiewała wszystko. Był to darowany czas. Później nalałem do kieliszków wina i rozmawialiśmy o czasach, które nadejdą. O wolnej Francji.

Chantal śmiała się z opuszczonymi powiekami.

— Mój ojciec ma słabość do cesarza.

— Do Napoleona? — dotknąłem jej pleców.

— Papa nie jest monarchistą. — Spojrzała na mnie. — Ale przed wojną był przeciwny wszystkiemu, co oznaczało przewrót.

— A ty? — Bawiłem się kosmykami jej włosów.

— Wtedy miałam jeszcze krótkie włosy — uśmiechnęła się. — Papa i Bertrand często siedzieli razem wieczorami w magazynie z książkami. Bertrand jest ojcem Gustave'a. Przedtem to on był fryzjerem.

— Ten siwy mężczyzna z gazetą? Chantal skinęła głową.

— Żarliwy działacz Frontu Ludowego. Próbował nawrócić papę. Ale papa powiedział: Ludzie, którzy demonstrują przed Bastylią, niech lepiej wykorzystają niedzielę, żeby pójść na spacer z rodziną.

Siedząc nago na łóżku, próbowałem opisać czasy, jakie nadejdą po wojnie, jak gdyby sama moja myśl była w stanie te czasy zbudować. Zapomniałem o zniszczonej Europie i stworzyłem wyspę normalności. W odwróconym w drugą stronę spojrzeniu Chantal, w jej skąpych odpowiedziach wyczuwałem, że nie wierzy w taką przyszłość. Dla niej teraźniejszość była zbyt przytłaczająca, żeby wybiegać myślą choćby o jeden dzień naprzód. Z dołu jak zabłąkany sen dochodziły dźwięki niemieckiej piosenki. Mocno objąłem Chantal i opowiedziałem jej o śmierci Gustave'a. Znieruchomiała, całkiem zeszywniała. Po krótkiej chwili zauważyłem, że płacze.

— Mógłbym uciec — powiedziałem nagle.

— Zdezzerterować? Ty? — Uśmiechnęła się przez łzy.

Zezłościłem się, że nawet przez sekundę nie potraktowała tego poważnie.

— Nie jesteś Francuzem. Tylko marzysz, że nim jesteś. —
Przejechała ręką po moich włosach.

Odchyliłem głowę i oświadczyłem, że mam zamiar zrezygnować ze studiów. Po czasach wielkich zniszczeń potrzebne będą proste rzeczy. Drewno lub kamień, planowałem wykorzystać mój talent rzemieślniczy. Takie umiejętności przydadzą się też w Paryżu.

— Dokąd pójdziesz, Chantal? — Przez krótką chwilę nasze oddechy zrównały się, potem znowu się rozdzieliły.

— Wyjadę z Paryża.

Świadomość, że ostatni raz leżymy obok siebie, sparaliżowała mnie. Wpatrywałem się w okno. Narastający gwar zapowiadał nadejście nowego dnia. Gdyby Chantal powiedziała tylko słowo, to tej nocy poszedłbym z nią, gdziekolwiek by chciała.

Zakryła stopy kocem.

— Cokolwiek się zdarzy — wyszeptała — nie przychodź więcej do Turachevskiego.

— Gdybym tam nie poszedł, nie spotkalibyśmy się więcej.

— Obiecuj mi to.

— Nie sądzę, żebym jeszcze miał okazję tam pójść.

— Mimo to obiecuj mi.

Położyłem dwa palce na jej ustach i przysiągłem.

— Czy pamiętasz jeszcze bajki? — Odkręciła się, żeby móc mnie lepiej widzieć. Wszystko jest w bajkach.

Przytaknąłem. Głowa zaczęła mi ciążyć.

— Wszystkie drogi są opisane w bajkach — powiedziała Chantal.

Przyszedł mi na myśl obraz lisa i winogron. Jeszcze raz otworzyłem oczy i usiadłem, uśmiechnęła się na ten widok. Na zewnątrz stopniowo się rozjaśniało.

Grudzień zrobił się bardzo mroźny. Wszedłem się na przyzmy śniegu, wszedłem na rue des Saussaies, pustym wzrokiem patrzyłem, kiedy sturmmann w punkcie kontrolnym każdego dnia sprawdzał moją przepustkę. Wszedłem na górę po marmurowych schodach, następnie do wydziału i usiadłem na swoim miejscu. Przywitałem się z Rieleck--Sostmann.

Rozmawiano o sytuacji na Wschodzie, z rezerwą, krótkimi zdaniami. Ostatnio była mowa o przegrupowaniu i złapaniu oddechu. Wkrótce musiało dojść do tego samego również na Zachodzie. Osiemnastego Rommel przybył do Fontainebleau, żeby pokierować obroną Wału Atlantyckiego. Na rue des Saussaies obawiano się dalszego rozwoju wypadków. Nie brałem udziału w tych rozmowach i nie zapraszano mnie do nich.

Wiedzieli, że miałem rozkaz wymarszu.

Mimo niejasnej sytuacji służba w minionych tygodniach stawała się coraz bardziej bezsensowna i brutalna. Dokumenty były już wystawione, Leibold musiał tylko wstawić datę.

Tereny na granicy Czarnogóry i Serbii, nieznana okolica, nowa kompania, inni koledzy. Dni mijały.

Miałem możliwość przeczytania raportu o sytuacji na froncie, całkiem niechętny, był to przybity na ścianie wykaz.

1. Rosyjska ofensywa przeciw Grupie Armii Południowa Ukraina.

2. Oddanie Bułgarii.

3. Rozkaz opuszczenia Grecji oraz Wysp Egejskich.

4. Stopniowe opuszczenie Bastionu Południowo- Wschodniego, przejście do ostatecznej obrony na umocnionej Linii Sawa-Cisa.

Słowo „ostateczna” było podkreślone.

Oglądałem górzysty kraj na mapie; front wił się jak glista rozcięta motyką. Czekałem. Odwleknięcie zgody na wymarsz dręczyło mnie, ale Leibold nie wspominał o tym. Miałem nadzieję, że opuszczę Paryż jeszcze w tym roku.

Żeby skrócić czas, każdą wolną chwilę poświęcałem na czytanie książek. Czytałem, kiedy tylko skończyłem służbę. Powieści, opowiadania, wszystko, co wpadło mi w ręce. Codziennie odwiedzałem bukinistów, kupowałem i pożerałem słowa, czasami wieczorem odkładałem dwie książki na półkę.

Najbardziej lubiłem te, które mówiły o honorze i trudnych wyzwaniach. Nocami wyobrażałem sobie, jak wygląda życie Chantal na wsi, co robi w te krótkie, ciemne dni. Jak się ubiera, co je. Uporczywie trwałem w nadziei, że nie było to rozstanie na zawsze.

Tylko czasami otwierałem drzwi, kiedy pukał Hirschbiegel, przeważnie w późnych godzinach wieczornych. Jego pancerni grenadierzy zostali przeniesieni do prac przy Wale

Atlantyckim. Trzy i pół roku wojny minęło mu jak spacer, teraz miał stanąć naprzeciw oddziałów inwazyjnych. Porucznik był zadowolony, że zostanie odkomenderowany do Zachodniej Normandii, a nie na odcinek Calais, gdzie spodziewano się ataku. Kapał się coraz dłużej, ukrywał swoją nerwowość za bawarskim złorzeczeniem. W owe wieczory, kiedy mu towarzyszyłem, które jednak rzadko się zdarzały, czułem się skrępowany i wczesnie wracałem do hotelu. Powiedziałem miastu adieu, Paryż był już przeszłością. Tym bardziej zaskakujące było zaproszenie, które do mnie przyszło.

— Przyjęcie przed Bożym Narodzeniem — powiedział Leibold. Staliśmy przy naszym ulubionym oknie z widokiem na ogród. Nieskoszona jesienna trawa była pokryta cienką warstwą śniegu. Leibold palił bez przerwy. Żółte od nikotyny palce nie pasowały do jego wypielegnowanych dłoni.

— Przy okazji natknęliśmy się na pańskie przeniesienie. — Z uśmiechem patrzył, jak popiół spada na podłogę.

— Naprawdę? — Zapytałem tak radośnie, jakby Leibold zaproponował mi urlop w domu. Wymienił nazwę lokalu.

— Spotkamy się rano. Standartenführer przyjeżdża z Chartres i jeszcze w nocy musi wracać.

Obiecałem, że około ósmej będę w Trinité. Czy mogę przyprowadzić kogoś ze sobą? Leibold wzruszył ramionami i z założonymi na plecach rękami poszedł z powrotem do biura.

Kiedy przebrałem się w hotelu, wszedłem na górę do Hirschbiegla i powiedziałem mu o zaproszeniu.

— Nie mogę. — Gruby starannie sprawdzał, czy wokół wanny wszystko jest jak trzeba.

— To nie potrwa długo. W nocy chcą wracać do Chartres.

— Mam awersję do trupich główek — odpowiedział. — Gdyby mój pułkownik dowiedział się, że byłem na przyjęciu przedbożonarodzeniowym z esesmanami, dopiero by się wściekł.

— Hirschbiegel wyskoczył z kalesonów wielkości namiotu. Dotknąłem czołem do szyby.

— Leibold nie jest najgorszy — mruknąłem.

Kiedy porucznik moczył ciało w gorącej wodzie, opisywałem lokal i kobiety, które można tam spotkać. Stopniowo oswajał się z tą myślą. O wpół do ósmej wyruszyliśmy. Po drodze Hirschbiegel pokazał na plakat kolaborującego mówcy Henriota. Na ustach i nosie Francuza Résistance nakleiła obwieszczenie. *A la Population!*

— Nie musisz o tym zameldować? — Hirschbiegel szturchnął mnie z uśmiechem. Wsadziłem rękę do kieszeni.

Przy stole siedzieli z Leiboldem dwaj odznaczeni sturm-bannführerzy z adiutantami; Standartenführer był z eskortą. Hirschbiegel zatrzymał mnie przy wejściu.

— Dlaczego nie wzięli ze sobą od razu Himmlera? — mamrocząc, poszedł za mną do stolika esesmanów.

— Kiedy trzeba będzie mówić po francusku, gefreiter Roth bardzo nam się przyda — wyjaśnił Leibold; uprzedził w ten sposób zdumienie oficerów, którym obecność obergefreitera przy stole niezbyt odpowiadała. Leibold zaproponował mi miejsce obok siebie. Hirschbiegel usiadł pomiędzy czarnymi. Rzucił mi złe spojrzenia, ponieważ w lokalu nie było widać ani jednej kobiety.

Lokal okazał się prawdziwym niewypałem. Wino nie za bardzo przypadło do gustu oficerom z Chartres. Maître

usprawiedliwiał się, że jego najlepsze zapasy zostały skonfiskowane.

— Sam jest pan sobie winien, trzeba było lepiej schować! — zaśmiał się Standartenführer.

Wyszliśmy. Oficerowie udali się w kurs po lokalach w dystrykcie Sekwany. Tematem rozmów były pogłoski o inwazji, jednak wszystkie w takim tonie, jakby to miała być zabawa w piaskownicy. Czwarta Pancerna na Zachód, zabezpieczyć szlaki zaopatrzenia. Obrona przeciwlotnicza na linii Marny. Jeśli Göring nadaży z produkcją starych Ju2. — Przestrzeń powietrzna pozostanie *casus knaxus*. — Wydawało się, że w teorii przypadek został rozwiązany.

— U nas kucharzem jest Francuz — powiedział Standartenführer krótko po dziesiątej. — Polecał jakiś sklep, brzmiało to jakby po polsku. Emil, pamiętasz jeszcze tę nazwę?

Sturmbannführer Emil od początku wieczoru próbował rozmawiać ze mną po francusku; postanowił sprawdzić swój zasób słów. Emil pochodził z Detmold, był sztywnym, ale ujmującym mężczyzną. Ku memu zdziwieniu dobrze znał bajki. Kiedy szliśmy do samochodu, trzymał się mnie i cytował z głowy. „Osioł w lwiej skórze budził strach, gdziekolwiek go zwietrzono. Zwierzę, którego nikt się nie boi, wyglądał tak, że wszyscy przed nim drżeli”.

— A więc macie tu polski burdel czy nie? — przerwał Standartenführer.

— Roth? — Leibold odwrócił się do mnie. — Czy był pan ostatnio u Turachevskiego?

Zdecydowano się wyruszyć. Nawet jeśli Chantal już dawno wyjechała z miasta, podniecała mnie myśl, żeby pojechać właśnie tam.

W samochodzie rozmawiano niewiele. Patrzyłem w noc przez szybę, czasem obserwowałem silne ręce Emila. Zachowywałem się, jakbym nie czuł na sobie wzroku Leibolda. Kiedy wysiedliśmy, Hirschbiegel stanął obok mnie.

— Oni są gorsi, niż mówiłeś — szepnął. — Proszę cię, trzymaj się blisko mnie.

Leibold nacisnął dzwonek.

W salonie było wiele dziewczyn. Szeleszcząc suknią, zjawiała się przy nas Madame, okazując natrętną grzeczność. Wobec bogatej oferty, oficerów z Chartres ogarnęło nagłe onieśmienie. Aby rozluźnić atmosferę, Leibold zaproponował przejście do baru.

Towarzyszyła nam Madame. Dostaliśmy stół blisko sceny; było to dziwne, bo dawniej miejsca te zajmowano w pierwszej kolejności. Balet popisujący się przed nami był beznadziejny. Emil szukał miejsca obok mnie, ale tym razem Leibold był szybszy. Hirschbiegel markotnie gniótł się między adiutantami. Szampan miał odpowiednią temperaturę. Kiedy oficerowie z Chartres skończyli oklaskiwać balet, ten z eskorty zaczął się popisować i opowiadać dowcipy. Pił szampana jak wódkę. — Kto zna kawał o tęczowym pstragu?!

Hirschbiegel robił się coraz bardziej markotny. Kiedy spalił pierwszy dowcip, przeprosił, spojrzął na mnie i znikł w salonie. Oficerowie śmiali się za jego plecami i robili kąśliwe uwagi na temat Wehrmachtu.

Kiedy odprowadzałem wzrokiem Hirschbiegla, zauważyłem kogoś w przejściu. Kobietę z rdzawobrazowymi włosami; jej ubranie nie pasowało do Turachevskiego. Ciemne spodnie, ciężka szara kurtka; miała ze sobą torbę. Kobieta do złudzenia przypominała Chantal. W następnej sekundzie znikła.

— Ten muszę opowiedzieć mojej starej! — zapał adiutant.

— W takim razie powinna też posłuchać tego! — popisывał się standartenfuhrer.

Powoli wstałem.

Towarzyszyło mi spojrzenie Leibolda.

— Spotkał pan kogoś? — zapytał cicho.

Bąknąłem jakieś usprawiedliwienie, które skwitowałem uśmiechem.

Najkrótszą drogą przeszedłem do salonu. Kobiety w kurtce nie było widać. Pozostało zaledwie kilka dziewczyn. Dwóch żołnierzy żaliło się, że mają już tylko pół godziny, a jeszcze nie przyszła na nich kolej. Ani śladu Chantal. Tymczasem nabrałem pewności, że musiałem się pomylić. Mimo to zapytałem Greczynkę w kimonie; nie знаła nikogo o imieniu Chantal. W niezrozumiałym pośpiechu pobiegła po schodach na górę.

Dookoła było pełno żołnierzy, wcześniej salon wydawał się dziwnie wymarły. Podszedłem do drzwi i rzuciłem okiem na mroźną ulicę. Niezdecydowany i zły wróciłem do baru.

Trzech z pięciu muzyków właśnie wstało i sięgnęli po swoje instrumenty. Kapelmistrz sam uderzył w klawisze; grał marsza z *Życia paryskiego* Offenbacha. Tylko mężczyzna przy perkusji dzielnie dotrzymywał mu towarzysztwa; nożny mechanizm talerzy skrzypiał. Widziałem, że pozostali muzycy wymknęli się bocznym wyjściem.

Oficerowie wokół Leibolda śmiali się coraz głośniejszymi. Wyciągnęli pod stołem nogi w długich butach; rechocząc, nabierali powietrza do płuc. Ich dystynkcje podskakiwały w górę i w dół. Ten z eskorty rozgrzewał ich dalej. — Pewien człowiek zapomniał podarować żonie kwiaty na urodziny...!

Leibold zauważył mnie przy barze i z pytającą miną

poprosił, abym wrócił do stolika. Zrobiłem gest, jakbym zamawiał coś do picia. Muzyka powtarzała się, teraz znów grano marsza. Perkusista rzucał zniecierpliwione spojrzenia pianiście. Grając jednocześnie wszystkimi palcami, siwowłosy chciał zastąpić całą orkiestrę. Algierczyk za mną postawił dwa kieliszki na regale i przerzucił ścierkę przez ramię. Jedną ręką wziął pustą butelki, wyszedł z za kontuaru i udał się w stronę salonu. Przebiegłem oczami po pomieszczeniu. Nigdzie nie było widać pracowników. Ładna dziewczyna z papierosami, stara Rumunka, która wcześniej wyszła z toalety i kołysała głową do taktu — nie mogłem wypatrzeć żadnego z nich. Za stołami przeważnie siedzieli ludzie z Wehrmachtu. Nieliczni Francuzi znajdujący się na sali byli to spekulanci, paskarze, inni paryżanie. Przyszło mi do głowy pewne spostrzeżenie. Czy standartenfuhrer nie powiedział, że Turachevsky został oficerom SS polecony? I ta kobieta w męskim ubraniu z torbą pod pachą. Offenbach skończył się w pół taktu. Głosy, które do tej pory przekrzykiwały muzykę, zawisły w ciszy. Powstało zamieszanie wśród męskiej części personelu. Perkusista żwawo przemknął do wyjścia ze sceny. Kapelmistrz spokojnie złożył nuty i zamknął klapę fortepianu. Przepisnąłem się pomiędzy siedzącymi. — Czy mogę prosić o chwilę rozmowy? — położyłem rękę na ramieniu Leibolda. Zdziwiony spojrzał do góry. Pozostali ryczeli ze śmiechu, tylko sympatyczny Emil obserwował mnie bacznie. — Asseyez-vous — uśmiechnął się. — Panie hauptsturmführerze, ja... — spojrzałem na fortepian. Siwowłosy szybko się oddalał, nie oglądając się za siebie.

— No, co tam? — Leibold szedł powoli za mną.

Żeby dotrzeć do środkowego przejścia, musiałem minąć wyciągnięte nogi standartenfuhrera. Przechylił się na bok tak, aby nie stracić z oczu swojego śmiejącego się słuchacza. — I kiedy stanął przed nią z bukietem kwiatów, powiedziała...

Wyraźnie widziałem czerwono świecącą strzałkę prowadzącą do toalet. Jeszcze tylko kilka kroków. Kapelmistrz również znikł za jedwabną kotarą. Dźwięki rozmów rozbrzmiewały w sali na cały głos. Ktoś krzyknął: — No co z tą muzyką! — Obok mnie wolno kroczył hauptsturmfuhrer. Nikt nie stał na drodze.

Nagle jakby coś się rozerwało. Nie słyszałem huku. Poczułem ból w uszach. Zanim upadłem na podłogę, zobaczyłem, jak przede mną rozpryskuje się strzałka niczym zimne ognie. Poczułem uderzenie w oko. Jasność. Światło pojawiło się jako chmura; widniały w niej przedmioty. Czuję spokój, chociaż wokół było całkiem przeciwnie. Okrągły blat stołu, odłamki żyrandola, żelazne uchwyty, połamane krzesła. Wszystko popękało, pokój trząsał się, zrobiło się duszno, nagle zabrakło powietrza; nade mną oślepiający blask.

Podmuch rzucił Leibolda na mnie, w jego oczach ujrzałem zdziwienie. Miękkie ciało poddawało się całkowicie; Leibold położył się na mnie niczym koc. Pojawiły się płomienie; rozwój wydarzeń był teraz dobrze widoczny. Poczułem wilgoć na skroni. Zanosilem się kaszlem, spojrzałem za siebie, chwyciłem hauptsturmfuhrera pod łopatki i przekręciłem na bok. Wydawało się, że z przodu nie jest nawet draśnięty. Kiedy sadzałem go na podłodze, wyczułem z tyłu rozerwany mundur i krew na plecach. Miał nieprawdopodobnie bladą twarz.

Ostrożnie wstałem. Nic nie widziałem na lewe oko, na policzku czułem krew. Nie miałem chusteczki, wytarłem ją rękawem. Bezpośrednio po tym nastąpiła cisza, czuło się tylko trochę dymu w powietrzu. Podłoga sali zapadła się na środku; tam właśnie musiała być ukryta bomba. Pomimo zwęglonej powierzchni widoczna była jeszcze czerń mundurów i czerwone opaski na ramionach. Adiutanci z Chartres zostali dosłownie rozerwani na strzępy; jednemu brakowało pół głowy. Nieopodal leżał Emil, nogi mu dygotały. Potknąłem się, obok spadł tynk z sufitu. Naokoło zaczęły rozchodzić się płomienie. Pochyliłem się nad Emilem, zobaczyłem otwarte usta, które nie mogły wydać krzyku. Brzuch był rozerwany od góry do dołu. Przypomniałem sobie czasy spędzone w koszarach i głos naszego feldwebela: pierwsza pomoc przy postrzale w brzuch! Wcisnąłem wnętrzości z powrotem do środka, ścisnąłem pasem i zapiąłem go o trzy dziurki ciaśniej. Emil jęknął. Uniósł głowę, zobaczył leżące obok ciało standartenfuhrera. Muskularny mężczyzna był wykrzywiony, ramiona miał wyciągnięte nad głowę, jakby chciał po coś sięgnąć.

Krew zalewała mi oczy. Za zasłoną rozpoznałem półnagie dziewczyny, które upadły na scenę, dalej tenora z dwoma wiadrami wody. Cywile pełzali po podłodze; dziewczyna w kimonie zajmowała się troskliwie swoim zwęglonym kostiumem. Leibold był przytomny, jego ręce macały teren z tyłu. Zobaczyłem, że całe plecy ma spalone, materiał stopił się wraz ze skórą. Wydawało się, że jeszcze nie poczuł bólu. Oparłem go bokiem o ścianę. Pobiegnę do salonu, gdzie zaczęła się ogólna ucieczka. Kłębowisko żołnierzy i dziewczyn. Na próżno szukałem Hirschbiegla; nie widziałem również nigdzie Madame.

— Gdzie jest telefon? — krzyknąłem w zgiełk. Nikt się nie zatrzymał. Kobiety biegly po schodach. Chwyciłem jedną za ramię. — Telefon!

Pokazała na zasłonę. Odsuwając ją na bok, znalazłem drogę do biura. Wszedłem przez wąskie drzwi. Kasa pancerna była otwarta, papiery porozrzucone na podłodze; wachlarze, koronkowe narzutki, porzucony pluszowy pudelek. Poczulem zapach perfum Madame. Podniosłem słuchawkę do ucha. Do czasu przybycia dowództwa wróciłem do Leibolda. Próbowałem wstać, ale po kilku metrach znów upadłem. Zniszczone pomieszczenie tonęło w mroku, płomienie pełzały po boazerii, kontuar się tlił. Do krateru po bombie wlewano wiadra wody. Po muzykach i ludziach za sceną nie było śladu.

— Jak to się stało, że... — wyszeptał hauptsturmfuhrer. Pochyliłem się nad nim. — Jak to się stało, że zabrał mnie pan stamtąd? — Jego oczy pociemniały, miał plamy sadzy na czaszce.

W moich oczach utrwalił się moment: Chantal w męskim ubraniu. W tej sekundzie wszystko pojąłem. Pere Joffo i kryjówka w piwnicy, Chantal, która tu występowała jako Pallas Atena — bogini wojny. Wypowiedziane przez nią zdanie nabrało nowego sensu: Obiecuj mi, że nigdy więcej nie pójdziesz do Turachevskiego. Zrozumienie tego było dla mnie tak bolesne, że musiałem odwrócić się od Leibolda.

— Jak to? — zapytał po raz drugi. — Skąd pan wiedział? — Chociaż odczuwał ogromny ból, nie spuszczał ze mnie oczu. Na zewnątrz trzaskały drzwi, z salonu dochodziły rozkazy. Pojawiły się mundury i sanitariusze. Lekarz w randze kapi-

tana w staromodnych okularach przechodził pomiędzy ciałami, niektórym unosił ramiona, odwracał twarze. Przykucnął obok Emila, zbadał go i zaskoczony dał znak, żeby przyniesiono nosze. Leibolda nie można było położyć na plecach; podtrzymywany przez dwóch sanitariuszy wywlekł się na zewnątrz. Poszedłem za nimi. W przejściu jeszcze raz się odwróciłem. Fortepian stał otwarty, wybuch oderwał klapę. Zwisające struny drżały od kroków biegających wokół mężczyzn.

Lekarz powiedział, że miałem dużo szczęścia. Gdyby odłamek trafił mnie o milimetr w prawo, nie dałoby się uratować oka. Założył opatrunek; od tej chwili widziałem świat płaski. O świcie odwieziono mnie do hotelu.

Krótko po siódmej usłyszałem kroki na korytarzu. Jedno stuknięcie do drzwi i już stali w pokoju. Tym razem byli to mężczyźni po cywilnemu, kazali mi się ubrać. Zanim całkowicie oprzytomniałem, zaczęli przeszukiwać moje rzeczy. Zapytałem o powód, protestowałem. Polecenie służbowe, mam milczeć, powiedzieli. Kiedy wkładałem mundur, strach podchodził mi do gardła. Sto razy przewidywałem, że ta chwila nastąpi — od dnia, w którym pierwszy raz przeistoczyłem się w Monsieur Antoine'a. Zabrali moje francuskie książki, prywatne fotografie z regału oraz pamiętnik, w którym ostatni wpis zrobiłem przed kilkoma miesiącami. Kiedy wyjęli z szafy garnitur w kratkę, zacisnąłem zęby. Jeden z mężczyzn zauważył miejsce, z którego wyprałem metkę. Nie wypytywali mnie o nic, tylko zapisywali. Nakazano mi pośpiech. Z zasłoniętym

okiem każdy ruch ręką przychodził mi z trudem. Kiedy pakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, przyszła mi do głowy myśl, która mnie zdumiała: gdybym był już na froncie, oszczędzono by mi najgorszego.

Usłyszałem kroki nade mną. Byli też u Hirschbiegla. Plułem sobie w brodę z powodu lekkomyślności, z jaką wciągnąłem go w moje podwójne życie. Z góry dochodziły bawarskie przekleństwa. Kiedy wyprowadzano mnie z pokoju, piętro wyżej doszło do bijatyki. Na klatce schodowej zobaczyłem Hirschbiegla, który na pół ubrany powoływał się na protekcję swojego pułkownika. Dwaj mężczyźni w cywilu wykręcili mu ręce do tyłu. Gruby jak beczka porucznik był za silny i wyrwał się z uchwytu. — Pomocy! — wrzasnął przerażony. Jak wół, który zobaczył rzeźnika. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, popchnięto mnie dalej.

Zawieźli mnie cywilnym samochodem do mojej starej pracy, na rue des Saussaies. Dzisiaj nie wszedłem wejściem, z którego korzystałem codziennie; zatrzymali się przed mało widoczną bramą. Dawniej stawały tu transporty przywożące więźniów na przesłuchania. Zostałem poprowadzony korytarzami, o których wiedziałem, że istnieją, ale jeszcze nigdy tu nie byłem. Białe światło elektryczne padało na podłogę, siedłem wzdłuż niedbale otynkowanych ścian. Na drzwiach cel próbowałem znaleźć kartki z nazwiskami; nie było ani jednej. Tylko czarne otwory, za którymi siedzieli ludzie.

Drzwi do celi zatrzęsły się za mną; nie usłyszałem słowa wyjaśnienia. Stałem oparty o mur. Ogarnęło mnie niejasne uczucie z czasów szkolnych, kiedy miałem rozwiązać zadanie, którego nie rozumiałem. Na pryczy leżały dwa złożone koce, siennik wyglądał na świeżo wypełniony. Umywalka była brudna, kran działał. Wiadro było zdezyn-

fekowane. Okno zaczynało się na wysokości głowy. Żeby zobaczyć ulicę, trzeba było podciągnąć się na kracie.

Zdjąłem kurtkę, położyłem ją na sienniku jak poduszkę.

Marzłem. Ciepło dawała żłobkowana rura, która wychodziła z sufitu i ginęła w podłodze. Przykryłem się. Kiedy zamknąłem prawe oko, przez opatrunek widziałem żarówkę jak zamglone słońce. Palila mnie rana.

Zginęło trzech oficerów SS, wielu zostało rannych. Sprawcy musieli zostać szybko odnalezieni; wieść o zdarzeniu dotarła aż do Berlina. Próbowałem spojrzeć na swoje położenie oczami tych, którzy patrzą przez wizjer w drzwiach, którzy mnie tu przywieźli i będą przesłuchiwać.

Nigdy więcej nie przychodź do Turachevskiego. Kiedy, leżąc na pryczy, dotykałem rany, o mało nie wyobraziłem sobie, że znalazłem się w tym położeniu przez Chantal. Podziwiałem ją. Pallas Atena rozbierała się przed znenawidzonymi Niemcami, żeby potem wysadzić ich w powietrze. Podniosłem się. Liczyłem się z takim zakończeniem. Czyż od momentu, kiedy wyjąłem z szafy garnitur w drobną kratkę, nie było już postanowione, że to się musi skończyć w siedzibie SS? Było tylko jedno wyjście — front. Krótki proces, zarówno tu, jak i tam.

Wstałem, zrobiłem kilka przysiadów, żeby pobudzić krążenie krwi, zacząłem chodzić. Sześć i pół kroku w jednym kierunku, sześć i pół z powrotem. Mijałem metalowy szkielet łóżka, wiadro, umywalkę. Zrobił się dzień, wyłączyli światło na suficie. Czy wezmą mnie już dzisiaj? Potrzebują wyników.

Podciągnąłem się na okiennej kracie. Był jasny, zimny dzień. Odgarnęli śnieg, tworząc z niego okop. Po przeciwległej galerii chodził powoli w tę i z powrotem sturmmann. Splunął w śnieg szerokim łukiem; wychylił się przez rampę, żeby zobaczyć, gdzie wylądowała ślina. Mury, które otaczały dziedziniec, przypominały mury koszar. Cele były za ciemne, żeby zobaczyć, czy ktoś stoi za kratami i że patrzę w dół. Opuściłem się na podłogę. Od nowa rozpocząłem spacer.

Minęły już dwa lata, odkąd przybyłem do Paryża. Zanim dotarliśmy do miasta, spędziliśmy osiem uciążliwych godzin w ciężarówce. Na ostatnim postoju mój major promieniał radosną niecierpliwością. Uderzał rękawiczką w szew na nogawce spodni. — Każde słowo, Roth! — wołał. — Chcę rozumieć każde słowo! — Miałem nadzieję, że zaprosi mnie do swojej terenówki. Ale major obrócił się tylko na pięcie i z powrotem wsiadł do samochodu.

Wkrótce potem dojechaliśmy do przedmieścia. Tory były zniszczone przez bombę, było to precyzyjne trafienie; saperzy stali przy podkładach kolejowych, paląc papierosy, jeden

salutował końcem fajki. Ci z tyłu na ciężarówce wykrzykiwali do nas, siedzących dalej pod plandeką, opisując, co widzą.

Naprzeciw mnie siedział strzelec z Frankonii i wyciągał głowę w stronę szpary, przez którą do środka wpadało światło.

— Koniec domów! — zawołał. — A co z kobietami?

— Ani śladu — odpowiedział ten, który mógł wyjrzeć. — Tylko nasi.

— Cholerna plandeka! — Frankończyk uderzył w budę. — Kiedy wkraczali, jechali w odkrytych ciężarówkach.

Dużo później pokonaliśmy szeroki zakręt, samochód zwolnił. Eleganckie okna, gałęzie pokryte kwiatami. Dojechaliśmy do Łuku Triumfalnego. To, co faktycznie zobaczyłem, mogło być równie dobrze każdą budowlą w każdym mieście. Za ciężarówką pojawił się zasapany kwatermistrz.

— Roth! — zawołał z przymrużonymi oczami. — Czy jest w środku obergefreiter Roth?

Odsunąłem na bok kolana Frankończyka, precyzyjnie się i wyskoczyłem z jadącego samochodu. Jaskrawa biel oślepiła, kwatermistrz przytrzymał mnie, żebym się nie zatoczył. Jego okulary błyszczały.

— Zabieram pana do P cztery, P sześć i HJ siedem — powiedział, przewracając kartki swojej listy. Wiatr zatrzepotał papierem. — Zamieszka pan w hotelu majora.

Stałem na Champs-Elysees. Drzewa były oddalone od środka ulicy tak daleko, że nie potrafiłem rozpoznać, czy to platany, czy lipy. Prawie nie widziałem cywilów. Słońce zmieniło ulicę w jasny klin. Kwatermistrz biegł do terenówki i wołał przez ramię:

— Niech pan się pośpieszy! — Położyłem ręce na plecach, uniosłem głowę i kroczyłem jak wódz naczelny. Tylko kilka metrów. Ciężarówka zatrąbiła za mną.

Poczułem zmęczenie w nogach. Zakręciło mi się w głowie.

Oparłem się czołem o mur. Patrzyłem na słońce, które znajdowało się wysoko za budynkiem. Chodziłem nieprzerwanie po celi w tę i z powrotem dobre trzy godziny.

Przed paroma miesiącami podsłuchałem rozmowę aresztanta, który opowiadał o snach na jawie. Czas wydawał się horyzontem nie do zdobycia, trucizną przenikającą przez bielone wapnem ściany. W drugim roku odosobnienia śnił z otwartymi oczami do siedmiu godzin dziennie i w tym stanie robił w celi dwadzieścia kilometrów. Na jego stopach pojawiły się pęcherze, których nawet nie zauważył.

Zadawałem sobie pytanie, jak mój mózg, moje nerwy zareagują na komendy. U setek ludzi przesłuchiwanym w mojej obecności obserwowałem, jak zmieniają się w obliczu zbliżającej się śmierci. Kiedy gasła nadzieja, ciało przestawało odczuwać ból, działo się coś niesłychanego.

Tego popołudnia nie przyszli, pierwszej nocy również nie. Procesja związana z wydawaniem posiłków dwa razy przeszła obok mojej celi. Byłem głodny, jednak się nie zgłosiłem. Leżałem na pryczy i próbowałem nie czuć zapachu cebuli i mięsa.

Następnego dnia rano, kiedy nie dostałem śniadania, usłyszałem trzy równomierne stuknięcia. Zerwałem się na równe nogi. Potem znowu trzy. Przemknąłem przez celę, oparłem się o umywalkę przy rurze grzewczej. Dźwięk dochodził zza pryczy, w ścianie musiała przebiegać rura. Szukałem jakiegoś przedmiotu; nie dostałem miski ani łyżki. W pośpiechu nie udało mi się ściągnąć butów. Rozpiąłem koszulę, zdjąłem odznakę służbową i stuknąłem trzy razy w jednakowych odstępach.

Natychmiast przyszła odpowiedź. Miałem nadzieję, że osoba nadająca wiadomość używa alfabetu kwadratowego; innego szyfru nie znałem. Ściana miała zły rezonans, musia-

łem przyłożyć do niej głowę, żeby wyraźnie słyszeć. A przy tym cały czas liczyłem się z obecnością szpiega.

Ten drugi miał wprawę, stukał bez pośpiechu. Wyobraziłem sobie kwadrat, pięć poziomych rzędów, w każdym pięć liter. Zastukał cztery razy, czwarty rząd, od P do T; potem pięć razy — T. Przerwa. Rząd trzeci, piąta litera O. Drugi, czwarta — I. Zrozumiałem TOI. Imiona nie miały tu znaczenia, dowiedziałem się jednak, że mój współwięzień był Francuzem. Opuściłem odznakę. W dalszym ciągu należałem do Wehrmachtu, komunikowanie się z Francuzem mogło pogorszyć moją sytuację. Odetchnąłem głęboko: nie było żadnej sytuacji. Już wkrótce będą wszystko wiedzieli.

Zacząłem. Jeden raz i jeden — A. Trzy, potem cztery — N. Kiedy dałem się poznać jako Monsieur Antoine, moje pismo stało się bardziej płynne.

Ten drugi nazywał się HENRI i zapytał: OD WCZORAJ?

Potwierdziłem. Zapytał, co nowego w Paryżu. Zawahałem się. Mógł być polityczny lub kryminalny. Dałem ogólną odpowiedź. Rozmawialiśmy pół godziny. Nagle stukanie ustało, w środku zdania. Potem pośpieszne TERAZ.

Wyobraziłem sobie, że nad lub pode mną otwarto celę i wyciągnięto z niej Henriego. Może zabrano go do mojego wydziału, gdzie siedział teraz inny tłumacz. Rottenfuhrerzy i balia z wodą czekali w pogotowiu. Dopiero teraz, z każdą chwilą robiło mi się coraz bardziej niedobrze. Zacząłem się dławić, pochyliłem się nad wiadrem. Nic nie jadłem, z gardła wydobywał się tylko biały śluz. Opadłem na kolana, słyszałem mój wyczerpany oddech na blaszanych ścianach wiadra.

Podczas jednej z naszych pogawędek przy oknie Leibold wyjaśnił mi, że można znieść każdy ból psychiczny, jeśli

wcześniej jest wiadome, co będzie potem. Niektórzy, uważał, zachowują się jak podczas ingerencji chirurgicznej. Krzycząc i dysząc, oczekiwali chwili, kiedy będzie już po wszystkim. Potem byli tacy sami jak na początku. Rezultaty osiągnęto tylko dzięki nieznanemu, ponieważ ludzie nie mieli skali porównawczej. Delikwent nie mógł ocenić własnej wytrzymałości wobec nieznanego, nie mógł przewidzieć, jak zareaguje. Ten strach ogarniał każdego, obawa przed powiedzeniem w tym stanie czegoś, czego później nie da się już naprawić.

Położyłem się na sienniku. Leibold wiedział, w jaki sposób zaskoczyć każdego więźnia. Mentalnie ćwiczył ludzi, osobników z olbrzymimi łapami i twardym krzyżem — żaden już nie wychodził taki sam z pokoju przesłuchań. W końcu każdego kiedyś przyłapywano na słabym punkcie zeznań. Czasem trwało to wiele dni, ale hauptsturmführer miał cierpliwość i znajdował odpowiedni środek. Przyszedł mi na myśl ów cichy Austriak o smutnych oczach, który kochał góry i znał łacińskie nazwy roślin. Jego ciężkie oparzenia jeszcze długo się nie zagoją. A więc doprowadzą mnie do kogoś, kogo nie potrafię ocenić. Niczego nie można było przewidzieć, tylko rezultat.

Wstałem i ponownie rozpocząłem wędrówkę. Świadomość tego, co mnie czeka, nastrojała mnie dziwnie lekko; melancholia ostatnich tygodni ustąpiła. Umyłem twarz, ramiona i piersi zimną wodą, wypłukałem usta i wytarłem się koszulą. Kiedy kontynuowałem marsz, przywoływałem do głowy metody, których byłem świadkiem. Próbowałem przewidzieć wrażenie fizyczne. Samo wyobrażanie sobie tego nie wystarcza, stwierdziłem. Ukląknę, ramieniem uniosłem żelazną prycę i wsunąłem pod nią dłoń. Drugą ręką powoli przyciskałem łóżko z całej siły. Tępy metal wgniatał się

w kości śródreżca, istniało niebezpieczeństwo, że coś pęknie; nacisnąłem jeszcze silniej i liczyłem sekundy. Po dwóch minutach zwolniłem nacisk. Zauważyłem, że po męczarniach serce kołacze szybciej niż w czasie tortury. Na dłoni rozszerzał się krwiał; powstał wyraźnie widoczny odcisk kwadratowej nogi pryczy. Ból promieniował do ramienia. Byłem z siebie zadowolony. Nagle poczułem czyjś wzrok w wizjerze za plecami. Wstałem i na pozór obojętny od nowa podjąłem spacer.

Dzień trzeci. Procesja roznosząca jedzenie przeszła piąty raz; ładnie zapachniało. Nie podszedłem do okienka w drzwiach, wiedziałem, że mnie nie przewidziano i że było to celowe. Nie byłem zagorzałym palaczem, jednak teraz chętnie zwalczyłbym głód tytoniem. Po południu pragnienie papierosa stało się nie do wytrzymania. Zacząłem walić w drzwi. Trwało kwadrans, zanim strażnik otworzył klapę.

— Co jest?

— Chciałbym kupić papierosy w kantynie.

— Ma pan pieniądze?

— Zabrano mi je przy doprowadzeniu.

— W takim razie musi pan napisać podanie, żeby pieniądze zostały wymienione na kupony.

— Nie mam ołówka.

— Ołówek może pan kupić w kantynie.

— Bez pieniędzy?

Ogarnęła mnie wściekłość, odstąpiłem od drzwi. Kłapa się zamknęła. Piłem wodę ze złożonych dłoni; krwiał zrobił się czarny.

Wieczorem dostałem dreszczy. Rana na oku zaczęła pulsować, bałem się, że może mi wypłynąć gałka oczna. Dotknąłem opatrunku, odsunąłem na bok, pomacałem w miejscu, gdzie mnie piekło. Chociaż nie była to jeszcze pora snu, zawiązałem się w oba koce, leżałem, drżąc na całym ciele, długie godziny. Zdrowym okiem badałem przeciwległą ścianę celi. Zatrzymywałem się na każdej nierówności, uczyłem się tej mapy na pamięć.

Wyłączono światło. Za drzwiami rozlegały się ostatnie kroki, wózek zjedzeniem znowu się nie zatrzymał. Wstałem i zacząłem chodzić w ciemności. Jaśniejszy czworokąt okna, sześć i pół kroku, drzwi, sześć i pół kroku. Po jakimś czasie wydało mi się, że słyszę pukanie, jednak kiedy, nasłuchując, rzuciłem się na prycę, pukanie ustało. Zdjąłem odznakę z szyi i zastukałem. Cztery, pięć, przerwa. Jeden, jeden, przerwa. Jeden, dwa. Henri nie odpowiedział. Kiedy leżałem, ucisk w zranionym oku był silniejszy. Przysunąłem siennik do ściany i siedząc, oparłem się o nią. Zmarzłem. Przypomnił mi się starszy więzień, który mdlał podczas procedury. Budzono go, polewając zimną wodą. Wybili mu zęby, upadł, polali go znowu, kopali w głowę. Czołgał się po rozlanej wodzie. Dopiero później stwierdzili, że uszkodzili mu słuch; przestał słyszeć pytania. Kiedy go wyprowadzili, podłoga była cała zalana wodą.

Nagle przestałem rozumieć, dlaczego myślę właśnie o tym. Gorączkowo pragnąłem zapalić papierosa. Nie zasnąłem do nadejścia świtu. Plecy bolały mnie od siedzenia w wykrzywionej pozycji; pulsowało mi oko. Przebiegały mnie nieregularne napady drgawek. Kiedy zrobiło się jasno, wreszcie zasnąłem. Pięć minut później obudziła mnie syrena.

Podczas porannego apelu zażądałem, aby obejrzał mnie lekarz. Zabrali mnie dwaj sturmmanni. Szliśmy długą galerią. Z cel dochodziły hałasy, rozmawiano po francusku. Minęliśmy pomieszczenie z trzema wysokimi stołkami, ze ściany zwisały na długich kablach maszynki; tutaj strzyżono głowy. Na drzwiach w końcu korytarza zobaczyłem czerwony krzyż.

Lekarz nosił biały fartuch na mundurze. Był to ten sam masywny mężczyzna, który zajmował się ofiarami przesłuchań. Palił papierosa. Łakomie wdychałem gęsty dym. Stało tam kilka blaszanych misek, pełnych zakrwawionych tamponów z waty i opatrunków. Na narzędziach, pincetach, strzykawkach, staromodnych słuchawkach leżała francuska gazeta.

— Boli go oko — powiedział sturmmann do lekarza.

— Pokazać. — Lekarz położył papierosa na brzegu stołu i zdjął mi opatrunek. Ostatnią warstwę zerwał jednym szarpnięciem. Skrzywiłem się z bólu; oderwał strup.

— Przebywam w areszcie śledczym i mam prawo do traktowania zgodnego z przepisami — wydyszałem.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, sięgnął po papierosa i zaciągnął się; drugą ręką badał ranę.

— Nie jest tak źle. Próbowałem cierpliwie znosić ból.

— Czy gałka oczna jest uszkodzona?

— Będzie można powiedzieć dopiero, kiedy zniknie krwiał. — Lekarz przeciągnął się i spojrzał na mnie z najbliższej odległości. Między brwiami miał plamę wątrobową w kształcie łzy.

Zamknąłem zdrowe oko. Widziałem tylko jasny welon, twarz mężczyzny była już tylko cieniem. Wąchałem jego nikotynowy oddech.

— Obejrzę to jeszcze raz za kilka dni. — Zanurzył tampon z waty w brązowym roztworze i lekko dotykał nią rany. Wciągałem powietrze przez zęby, o mało nie upadłem. Z daleka usłyszałem głos lekarza.

— Niech pan tak nie histeryzuje. Zachowuje się pan tak, jakbym mu amputował nogę.

Wszystkie moje postanowienia, że będę twardy wobec bólu, spełzły na niczym. Przeraziła mnie moja bezradność.

— Czy mógłby pan poczęstować mnie papierosem? — zapytałem, kiedy lekarz zakładał nowy opatrunek. Krótka wymiana spojrzeń ze sturmmannem.

— Proszę wziąć. Paczka jest prawie pusta.

Jasność przed okiem znowu znikła. Ledwie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do celi. Przy drzwiach poprosiłem sturmmanna o ogień. Sekundę później siedziałem na pryczy i paliłem z odchyłoną do tyłu głową. Czułem rozkoszny zapach spalanego tytoniu, długo trzymałem dym w płucach. Pogodne uczucie zawrotu głowy trwało do południa. Tym razem wózek z jedzeniem zatrzymał się; dostałem zupeł

z kaszy gryczanej i duży kawałek chleba. Jadłem łąpczywie. Po posiłku ponownie rozpocząłem wędrówkę. Ból ustąpił.

Zabrali mnie, kiedy właśnie zaczęło świtać. Z markotno uroczystrych min sturmmannów domyśliłem się, dokąd idziemy. Otworzyły się ciężkie drzwi, minęliśmy fryzjera, pokój lekarski i zeszliśmy w dół długimi schodami. Marmur tutaj nie był tak dobrej jakości, jak w przedniej części budynku. Pierwszy raz przechodziłem przez dziedziniec, który wcześniej codziennie widziałem z okna. Szliśmy po oblodzonych kamiennych płytach, z przyzwyczajenia równałem krok. Zobaczyłem pawilon ogrodowy. Czy jednoręki ogrodnik tutaj przechowywał swoje narzędzia do koszenia? Przez żelazne drzwi weszliśmy z powrotem do budynku.

Wąska klatka schodowa nie miała okien i kończyła się w jasno oświetlonym pokoju. Kazano mi czekać. Sturmmanni opuścili pokój tymi samymi drzwiami, którymi weszli. Po przeciwnej stronie były drugie drzwi. To jest to, pomyślałem. Kto przez nie przejdzie, wchodzi do serca rue des Saussaies.

Upłynęła chyba co najmniej godzina, zanim przyszli. Dwaj rottenfuhrerzy. Znałem ich obu. Ustawili się z lewej i prawej. Wstałem śmiało i wszedłem między nich. Jeszcze nigdy nie wchodziłem od tej strony do mojego miejsca pracy. Biurka stały w ten sposób, że przesłuchiwany był brany w kleszcze. Z tyłu znajdowały się wąskie drzwi wewnętrzne, przez które codziennie wchodziłem z Leiboldem. Umundurowany protokolant siedział na miejscu, które niedawno należało do mnie. Miał gładką skórę i nie był już młody. Wlepił wzrok w papiery.

Untersturmführer uniósł wzrok znad akt. Poznałem go, to ten, co się tak głupawo śmieje. Piliśmy wódkę u Turachevskiego.

— Czy ktoś zajął się pana raną? — zapytał. W jego zachowaniu nic nie zdradzało, że mnie sobie przypomina.

Skinałem głową i usiadłem na jedynym wolnym krześle. Jego ostre spojrzenie kazało mi natychmiast wstać.

— A więc jest pan w stanie odpowiedzieć mi na kilka pytań. — Teraz wskazał mi miejsce i usiedliśmy jednocześnie. Protokolant chwycił za ołówek.

— Co z hauptsturmführerem Leiboldem? — zapytałem i w tej samej chwili zrozumiałem, że to był błąd. Podejrzewano mnie o zdradę stanu, o spisek na życie wysokiego rangą oficera. Moja próba podawania się za członka *rodziny* wywarła skutek odwrotny od zamierzonego.

— Od jak dawna przekazywał pan informacje wrogowi? — zapytał Untersturmführer niezmiennym głosem. Otworzył akta.

— Proszę podać nazwiska ludzi, z którymi pan się kontaktował, oraz ich planowane akcje.

Kto natychmiast i bez zastrzeżeń odpowie na trzy standardowe pytania, temu zostanie zaoszczędzone najgorsze. Minionej nocy przeszło mi przez głowę zdanie: Nie można spowiadać się z kłamstwa. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to przeczytałem. Pod jasną lampą, patrząc prosto w twarze rottenführerom oraz czekającemu untersturmführerowi odpowiedziałem:

— Nigdy nie przekazywałem wewnętrznych informacji. Z nikim się nie kontaktowałem i nic nie wiem o planowanych akcjach.

Untersturmführer skinął głową, jakby oczekiwał dokładnie takiej odpowiedzi.

— Mamy świadków, którzy widzieli pana w cywilnym ubraniu.

Dlaczego podawał się pan za Francuza?

Tylko Rieleck-Sostmann mogła mnie zdradzić. Siedziała teraz obok i przysłuchiwała się, czekała, kiedy rozlegnie się pierwszy krzyk. Miała na sobie szary kostium, który wstydliwie zakrywał jej kolana. Czyżby zdecydowała się na inną fryzurę?

— Kto tak twierdzi? — spytałem.

— Wychodził pan do miasta w cywilnym ubraniu czy nie? — powtórzył Untersturmführer.

Milczałem. Mężczyzna wstał.

— Niesurbodynacja i bratanie się z wrogiem! — Podniósł pięść, jednak był to tylko wystudiowany gest. Uderzył w stół.

Zauważyłem nieznaczne poruszenie wśród rottenfuhrerów.

Mężczyzna — czy miał na imię Franz? — stał się niecierpliwy. Z Francuzami rzadko prowadził tak długą grę wstępną.

— Z kim nawiązał pan kontakt? — Pięść untersturmfüh-rera ze świstem opadła na blat.

— Z nikim. Jestem obergefreitem Wehrmachtu i mam...

Dostrzegłem skinienie untersturmführera. Prawie jednocześnie dosięgnął mnie pierwszy cios. Poczułem, jakby skroń pękła na pół. Spadłem z krzesła, przez chwilę wszystko zrobiło się białe.

Nie uderzyli drugi raz. Kiedy powoli unosiłem wzrok,

Untersturmführer trzymał w ręku papier.

— Sprawcy są nam znani — powiedział. — Gérard Joffo, Chantai Joffo, Théodore Benoît, Gustave Thiérisson. Czy miał pan kontakt z tymi przestępcami?

— Ja... znam dwoje z nich — odpowiedziałem z wysiłkiem.

— Miał pan z nimi kontakt! — krzyknął Untersturmführer.

— Gustave Thiérisson jest fryzjerem. Strzygłem u niego włosy. Untersturmführer podszedł bliżej, cholewy jego butów urosły przede mną.

— Chce pan nam wmówić, że zdejmował pan mundur żołnierza Rzeszy, ubierał się jak Francuz, spotykał z przywódcami przestępczej organizacji i nie zdradzał tajnych informacji, które były panu dostępne z racji uprzywilejowanej pozycji?

— Tak, tak twierdzę.

Liczyłem się z tym, że rotenfuhrerzy znowu przystąpią do pracy.

— Gdzie teraz są ci ludzie? — zapytał zamiast tego i wrócił do biurka.

W przypiływie nadziei zrozumiałem, że nie złapali Chantal i jej ojca. Dopóki będą zakładać, że znam miejsce ich pobytu, oszczędzą mnie. — Wiem, ale niezbyt dokładnie — powiedziałem ostrożnie.

— Jak nazywa się to miejsce?

— Sądzę, że nie ma ich już w Paryżu.

— W takim razie gdzie są?

— Nie znam dokładnego miejsca. Untersturmführer czekał, aż pisarz skończy notować.

— Od kiedy wiedział pan o zamachu na nocny lokal Turachevskiego? — Wymówił nazwę tak rozwlekłe, jakby nie znał tego burdelu.

Zastanawiałem się nad tym. Kiedy Rieleck-Sostmann opowiedziała im o moim podwójnym życiu, musieli uwierzyć, że miałem coś wspólnego z tą bombą. Historia była groteskowa: niemiecki żołnierz uległ urokowi pięknej bojowniczkich ruchu oporu i dał się jej nakłonić do tego, żeby przyprowadził na rzeź własnych ludzi. Fakty były oczywiste. Wiedziałem, że Chantal należała do Resistance. Miałem obowiązek zameldować o tym. Zamiast tego ostrzegłem jej ludzi przed akcją Einsatzkommando. Według prawa okupacyjnego byłem winny.

— Uważa pan, że poszedłbym do Turachevskiego, gdybym wiedział o zamachu? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Poza tym bomba zraniła również mnie.

Twarz untersturmführera nabrała kamiennego wyrazu.

— Zginęło trzech wysokich rangą oficerów SS i siedmiu cywilów. Dwaj oficerowie leżą w szpitalu wojskowym z obrażeniami zagrażającymi ich życiu! A obergefreiter Roth wychodzi z tego ze szramą pod okiem! Nikt nie ma tyle szczęścia! — nachylił się nad stołem. — Wiedział pan o tym! Pan to zaplanował i brał udział w wykonaniu! Przyznaje się pan? Rottenführerzy podeszli bliżej.

— W porę ostrzegłem hauptsturmführera Leibolda, żeby...

Wygadałem się. Jak mogłem ostrzec Leibolda przed czymś, o czym rzekomo nie wiedziałem? Czułem, że mężczyźni stojący za mną zaczną w każdej chwili. Jednocześnie zrozumiałem, że mimo moich najlepszych chęci nie mogłem nic powiedzieć untersturmführerowi. Nie znałem miejsca pobytu ani Chantal, ani jej grupy. Jak przez mgłę uświadomiłem sobie, że nie było siły, która mogłaby odwrócić to, co nieuchronnie musiało nadejść. Nacierają na mnie obrazy procedury. Podwodna kąpiel, w której niejeden dosłownie utonął, połamane członki. Zakaz snu, który nawet w przypadku silnych mężczyzn sprawiał, że gadali głupstwa, jękali się, stawali się bezwolnymi wrakami. Mężczyźni, którzy w niekończącym się stanie zamroczenia umysłowego zapłaciliby każdą cenę za to, żeby wreszcie wolno im było spać.

Poszarzałem na twarzy i umierałem ze strachu. Kiedy mnie schwycili i podnosili, próbowałem opanować mdłości. Dławiłem się, zwymiotowałem na brzuch rottenführera; zaklął. W tym samym czasie trafiły mnie pierwsze ciosy.

Obudziłem się w stanie, w którym był tylko strach przed dalszymi razami. Głupie gadanie, że człowiek poddawany torturom przyzwyczajają się do niezmiennych metod; bólu nie da się wyćwiczyć. Każdy obrót na pryczy powodował męczarnie, jakich do tej pory nie potrafiłem sobie wyobrazić. Próbowałem unikać nawet najmniejszego ruchu, ale samo leżenie sprawiało równie wielki ból. Delikatnie wyszukiwałem miejsc na ciele, w które byłem bity, obmacywałem obrzmiałe zgrubienia. Z trudem odnalazłem nos, zranione oko napuchło. Kiedy próbowałem otwierać usta, przeszywał mnie kłujący ból; chyba złamali mi szczękę. Widziałem aresztantów, których w tym stanie wywlekano z pokoju przesłuchań; dolna część twarzy zwisała dziwnie na bok, żuchwa i wargi przestawały funkcjonować. Próbowałem wyobrazić sobie własną twarz i zapadłem w niespokojny sen.

Obudził mnie nowy ból. W celi był lekarz. Nie mogłem zobaczyć, co robił. Nastawiał połamane kości i zakładał opatrunki. Krzyczałem, ale to nie był mój głos. Mruknął coś o złożeniu do kupy, zakończył swoją pracę i opuścił pomiesz-

czenie. Później, o wiele później, obok pryczy stała zupa i woda. Napiłem się wody, spływała kącikiem ust i kapiała na podłogę. Zupy nie tknąłem. Trwożliwie nasłuchiwałem zbliżających się kroków, z ulgą opadałem na pryczę, kiedy mijały moją celę. Pomiedzy okresami, kiedy traciłem świadomość, nasłuchiwałem dalekiego stukania. Czy to Henri chciał rozmawiać ze mną? Nie miałem siły, żeby odpowiedzieć. Nie potrafiłem skupić się na tyle, żeby przypomnieć sobie alfabet.

Przez dwa dni, a może dłużej, zostawili mnie w spokoju. Chociaż przez cały czas nie tknąłem brejowatej zupy, nie czułem głodu. Którejś nocy zwymiotowałem wodą. Czekałem na stukanie Henriego. Wsunąłem bluzę pod ramiona, żeby głowa leżała przy ścianie. Nasłuchiwałem wiele godzin, pogrążony w urojonych obrazach. Przyszła do mnie moja surowa matka, wydawała się starsza niż w rzeczywistości. Brat opowiadał, że proces kończenia studiów medycznych był teraz znacznie przyspieszony, ponieważ pilnie potrzebowano lekarzy. Sprowadził naszych wspólnych nauczycieli, wszyscy mieli brody. Jeden z nich pokazywał wszystkim naokoło kłamrę, którą podarował mu sam Jego Wysokość.

— Mój ojciec ma słabość do cesarza — powiedziała Chantal. Siedziała na wiadrze w rogu celi i miała na sobie sukienkę, którą lubiłem najbardziej ze wszystkich. Czerwone kropki zakrywały do kolan jej gołe nogi. Gładko naciągnęła materia! pomiędzy udami. Jaka wąska była w talii. Sukienka nie miała głębokiego dekoltu, ale napinała się na piersiach.

— Do którego cesarza? — próbowałem się podnieść.

— Do Napoleona. — Dwoma płynnymi krokami podeszła do pryczy i usiadła we wgłębieniu obok moich kolan. — Papa nie jest monarchistą. Ma tylko szacunek dla ceremo-

niału. — Przysunęła się jeszcze bliżej, teraz dotykała ciałem mojego biodra i oparła się na łokciu. — Przed wojną był przeciwny wszystkiemu, co oznaczało przewrót. Przeklinał Front Ludowy i mówił, że jego idee doprowadzą Francję do zguby. — Ostrożnie położyłem dłoń na udzie Chantai. — Wtedy miałam jeszcze krótkie włosy — uśmiechnęła się. — Papa i Bertrand często siedzieli razem w magazynie z książkami.

— To ten siwowłosy mężczyzna z gazetą? Przytaknęła.

— W tym czasie Gustave i ja byliśmy na zewnątrz w sklepie i czytaliśmy. Czasami ojciec wychodził, na pozór, żeby sprawdzić, czy nie wyprawiamy jakichś figli z książkami. A tak naprawdę przynosił następną butelkę czerwonego wina. Bertrand był zagorzałym zwolennikiem Frontu Ludowego. W pustej przestrzeni pomiędzy miednicami do mycia włosów miał schowany rewolwer małego kalibru i mauzera. W dniu, kiedy będzie trzeba wyjść na ulicę, nie spóźnię się, mówił do papy. Moje palce rejestrowały ciepło, które emanowało z Chantai, niezauważalne ruchy, które wykonywała udami podczas rozmowy. Chętnie włożyłbym dłoń pomiędzy jej uda.

— Papa mówił: ludzie, którzy demonstrują przed Bastylią, niech lepiej wykorzystają niedzielę, aby pójść na spacer z rodziną. — Chantai parsknęła śmiechem na to wspomnienie. — Kiedyś podsłuchałam kłótnię między Bertrandem a moim ojcem. Papa był tak wściekły, że w wyobraźni stanął na czele oddziału karabinów maszynowych i aresztował przywódcę rewolucji. Zdemaskował go jako obcokrajowca i Żyda. Bertrand był do głębi urażony, że został wrzucony do jednego garnka z Żydami, i wyszedł ze sklepu.

Stuknięcie. Przerwa, teraz trzy. Dwa stuknięcia, trzy.

Przerwa. Kiedy jeszcze myślałem o literach C i H, Chantal wstała. Henri pukał dalej. Straciłem połączenie. Usłyszałem L, a może P, litery nie miały ze sobą związku. Nie odpowiedziałem, miałem nadzieję, że Henri zacznie jeszcze raz. Chantal znikła w rogu pomiędzy oknem a rurą grzewczą. Z trudem położyłem się na boku, zdjąłem odznakę i próbowałem wystukać słowo POWOLI. Czy użyłem właściwych cyfr? Henri stukał teraz bardzo pośpiesznie, wydawało się, że sprawa jest ważna. Chociaż się wysilałem i przyciskałem ucho do ściany, nie rozumiałem go. Poddałem się, opadłem na łóżko, stukanie zamarło. Zasnąłem, obudziłem się. Kąt przy oknie był pogrążony w całkowitej ciemności.

Rano drzwi celi otworzyły się inaczej niż zwykle. Nie były to człapiące kroki strażnika, który stawiał przy pryczy zupe i wodę. Z korytarza usłyszałem hałas stukających obcasów stojących bez słowa na bacność mężczyzn.

Do celi wszedł wąski, jakby zniekształcony w lustrze, hauptsturmfuhrer Leibold. Minęły sekundy, zanim zrozumiałem, że to nie sen, że naprawdę stoi przede mną. Chociaż miał zabandażowane plecy, włożył na siebie czarny mundur.

Marynarkę zarzucił na ramiona; czapka zakrywała mu ranę na głowie. W czasie tych kilku sekund, kiedy mu się przyglądałem, nastąpiła we mnie przemiana. Leibold jest tym, który niesie ratunek. Tylko Leibold może mi pomóc. Przyszedł, żeby mnie oswobodzić.

Drzwi zamknęły się za nim. Stał z zaciśniętymi ustami.

— Mógł się pan zabezpieczyć — powiedział cicho. Zbliżył się o krok, miał smutną twarz. Przyszedł mi na myśl mój własny obraz. Obraz młodego człowieka, który tak chętnie stawał przy oknie z Leiboldem — a jego własni ludzie

rozbili mi twarz. Chciałem coś powiedzieć, ale zdołałem tylko zacharczeć.

— Dlaczego pan został? — Leibold pochylił się nade mną. — Mógł pan się wynieść na długo, zanim wybuchła bomba.

— Ja... nie... wiedziałem — wymamrotałem i spojrzałem na niego, nie będąc pewny, czy zrozumiał.

— Sekundę wcześniej, a rozerwałyby też pana. — Zamyślony potrząsał głową. — Na górze wszyscy są zgodni co do tego, że pan jest zdrajcą. Wie pan o tym?

Skinięcie spowodowało ból.

— Nie jestem zdrajcą — wykrztusiłem. Poczułem nowy ból w miejscu, które dawniej było nosem, oraz wilgoć na policzkach.

— Nie rozumiem, dlaczego pan tak postępuje — powiedział Leibold. — Przecież zna pan procedurę.

Przełknąłem i milczałem.

— Na nic się to panu nie zda. Niech pan nam powie to, co musimy wiedzieć. Wyjdzie to panu na dobre. Ma pan na to moje słowo. — Nigdy nie widziałem jego oczu tak przepięknych ciepłem.

— I tak mnie rozstrzelacie, w każdym wypadku — wyszeptałem.

— Tak — uśmiechnął się. — Rozstrzelamy pana. Ale to pójdzie szybko.

— Dlaczego nie wysłał mnie pan na front?

— Nikt nie decyduje o tym, co się z nim stanie. — Jakby niechcący sięgnął do tyłu, do swoich opatrunków. — Tutaj jest pan bardziej potrzebny. Musimy się dowiedzieć, gdzie jest ta kobieta i jej ojciec — powiedział zmęczony.

— Kiedy mnie pan rozstrzela? — drżałem, opierając się na łokciu.

— Wtedy, kiedy nie będzie się pan tego spodziewał. — Leibold popatrzył na mnie smutno. — Niech się pan za wcześnie nie cieszy. — Podeszedł do drzwi i zastukał. — A tak na marginesie, dzisiaj są Święta — powiedział. — Zebranie koleżeńskie. Szkoda, że pana nie będzie.

Sturmmann stanął na baczność, kiedy Leibold przechodził obok niego. Usłyszałem tępy odgłos zamykanych drzwi. Próbowałem sobie wyobrazić, jak na zewnątrz świętują Wigilię.

Następnego dnia zaprowadzono mnie do lekarza. Z odrazą oglądał złamaną żuchwę. Gwałtownie otworzył mi szczękę, zamontował kawałek drutu w miejscu złamania. Starszy mężczyzna manipulował w moich ustach z obojętnością mechanika. Tylko koniec jego brody poruszał się w górę i w dół. Sturmmani trzymali mnie mocno. Zadawałem sobie pytanie, czy to Leibold nakazał tę operację. Był człowiekiem, który miał wycucie proporcji; może przeszkadzała mu moja zdeformowana twarz. Lekarz odliczył dziesięć pigułek w blaszanym pudełeczku. — Od bólu — burknął, jak gdyby trudno było zrozumieć, dlaczego należało, by mi oszczędzić bólu.

Kiedy wstałem z krzesła, uginały się pode mną kolana. Sturmmani wywlekli mnie na zewnątrz. Zaprowadzono mnie dwoje drzwi dalej do postrzygacza włosów. Francuz był jeszcze bardziej mrukliwy przy pracy niż lekarz. Jego broda robiła silne wrażenie, wyrastała z podbródka w dół na szyję i łączyła się z owłosieniem na piersi. Szorstko posadzono mnie na krześle, mężczyzna wziął potworną maszynę,

kabel kołysał się przede mną w górę i w dół. Silnik pracował nierówno i klekotał, brodacz przyłożył maszynę do mojej skroni i przejechał do góry. Małe rany na czaszce, które właśnie zaczęły się goić, znowu się otworzyły. Francuz po prostu ciął je jak szablą. Skuliłem się i odwróciłem.

— Robi przedstawienie — powiedział sturmmann do kolegi. Kosmyki włosów opadały na podłogę na prawo i lewo. Nie było lustro. Zaciekawiony, a jednocześnie z lękiem chętnie zobaczyłbym rozmiar spustoszenia. Przede mną wisiała gałązka jodły przystrojona lametą. Kiedy prymitywna robota została wykonana, sturmmann puścił mnie i zapalił papierosa na korytarzu. Postrzygacz nałożył krótsze ostrze i przystąpił do strzyżenia włosów na szyi i z tyłu głowy. W tym celu odciągnął mi kołnierz. Jednocześnie poczułem, że jego palce wsuwają mi za koszulę szeleszczący przedmiot, który zsunął się w dół i zawisł między łopatkami. Z sekundy na sekundę zapomniałem o bólu, całą uwagę skierowałem na tę rzecz na moich plecach. Ponieważ postrzygacz stał za mną, nie mogłem zobaczyć jego twarzy; nie próbował też mnie obrócić. Krótco po tym skończył swoją pracę i kiedy mnie wyprowadzano, zaczął czyścić noże od maszynki. Nasze spojrzenia nie spotkały się ani razu.

Po powrocie do celi odczekałem dziesięć minut. Potem rozpiąłem bluzę i koszulę, dotknąłem pleców, przedmiot spadł na podłogę. Był to zwinięty kawałek papieru. Rozwinałem go drżącymi palcami. Ujrzałem tylko trzy wiersze.

Wiemy, gdzie jesteś.

Odpowiedz Henriemu.

On może ci pomóc.

Podpis składał się z dwóch liter. C.J.

Opadłem na pryczę. Kartka leżała na moich kolanach,

przeczytałem napisane na niej słowa jeszcze raz i jeszcze raz. Po minutach zdumienia podniosłem wzrok na kąt obok okna, gdzie ostatnio znikła Chantal. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że inicjały C.J. oznaczają Chantal Joffo.

W tym momencie runął mur nędznej wegetacji, który budowałem wokół siebie od wielu dni. Siedziałem na sienniku i płakałem. Drut w szczęce sprawiał mi ból, kiedy, wyjąc, otwierałem usta. I chociaż aż się paliłem, żeby nawiązać kontakt z Henrim, nie udało mi się to, mimo że straciłem wiele godzin. Zastanawiałem się nad pytaniami na później, formułowałem je tak precyzyjnie, jak to tylko możliwe. W końcu urządziłem na pryczy moje biuro telegraficzne. Ponieważ nie miałem ani ołówka, ani papieru, wyciągnąłem zardzewiały gwóźdź ze ściany, żeby w razie potrzeby wskrobać coś na murze. Próbowałem użyć obcasa jako narzędzia do stukania. Wziąłem kubek i blaszaną miskę, ale one również mnie nie zadowolily. W końcu ponownie sięgnąłem po odznakę; była mała i kanciasta.

Zacząłem. Dwa, trzy. Raz, pięć. Trzy, cztery. Powoli posuwałem się do przodu. Stopniowo szło mi coraz lepiej. Litery same układały się w wystukiwane znaki, przestałem liczyć, układałem całe słowa bez przerwy.

Bez odzewu. Może Henriego nie było w celi, niektórzy aresztanci pracowali w kantynie oraz w kolumnie sanitarnej. Być może spał. Pierwszy raz próbowałem go sobie wyobrazić. Niski i muskularny, w grubych spodniach i koszuli, która przed uwięzieniem była biała. Widziałem go w czapce z daszkiem, palącego czarny francuski tytoń. Uśmiechnąłem się, namalowałem sobie obraz typowego Francuza.

W tym czasie stukałem dalej. Próbowałem tego przez całe popołudnie, w tym czasie wstawałem i wyglądałem przez wizjer. Czy wiadomość od Chantal przyszła za późno? Może go

przenieśli albo zabili? Na krótko przed wydawaniem posiłków wstałem. Zawiesiłem odznakę na szyi i położyłem się na pryczy. Postanowiłem kontynuować zajęcia także nocą, kiedy było to bardziej niebezpieczne, ponieważ łatwiej było usłyszeć stukanie w cichym bloku, w którym mieściły się cele. Wcześniej odgłos przetaczanego wózka był najważniejszą odmianą każdego dnia. Kiedy tym razem zatrzymał się przed moją celą, przyjąłem napełnioną miskę, nawet nie patrząc na nią. Jadłem, siedząc, poczułem ciepło w okolicy żołądka, ale moje myśli były zaprzątnięte czymś innym. Czy to nie niedorzeczne, żeby liczyć na pomoc innego więźnia? Skoro tylko Leibold nabierze pewności, że nie znam miejsca pobytu Chantal, muszę w każdej chwili liczyć się z egzekucją. I nagle wszystko, co się zdarzyło, wydało mi się głęboko przemyślane. Uwikłałem się w tysiące spekulacji i pragnień! W stanie półsnu wyobrażałem sobie awanturę, która wyratuje mnie z rue des Saussaies. Francuskich bojowników Resistance, którzy uwalniają niemieckiego żołnierza! W starym budynku musiały być tajemne przejścia i piwnice, których nie znało SS. Ucieczkę podziemnymi korytarzami, nocą i we mgle, daleko od Paryża, spotkanie z Chantal. Spotykamy się na wsi, wokół kwitnące drzewa, z komina domu unosi się biały dym, na łące pasą się konie. Odstawiłem na bok pusty kubek, oparłem się o ścianę i uśmiechnąłem się. Ból w szczęce przypomniiał mi, że drut w ustach nie pozwala na śmiech. Zostałem obudzony gwałtownym szarpaniem; musiał to być środek nocy. W celi nie było światła, tylko promień

z latarki na mojej twarzy. Wyciągnąłem ręce do góry. Nie miałem sposobności, żeby włożyć buty. Zostałem porwany, szedłem niepewnym krokiem w samych skarpetach wszystkimi korytarzami i schodami na obludzone podwórze. Kamienie wbijały mi się w podeszwy, ale popychano mnie do przodu. Rzuciłem krótkie spojrzenie na okno, przy którym często stałem z Leiboldem. On mi pomoże, Leibold jest jedyną osobą, która może to zrobić.

W pokoju znajdowali się rottenfuhreerzy, pisarz, wszystko jak zazwyczaj. Przez połowę drogi byłem nieprzytomny, zasnąłem tak głęboko, jak nie udało mi się od dawna. Zatoczyłem się do krzesła. Uderzenie w pierś uświadomiło mi, że nie otrzymałem zgody, żeby usiąść. Przez wewnętrzne drzwi do pokoju przesłuchań wszedł Leibold. Odetchnąłem. Marynarkę miał narzuconą na opatrunki, usiadł przesadnie wyprostowany.

— Chantal Joffo znajduje się w pobliżu Metz, nieprawdaż? — Leibold mówił spokojnie, jego głos był jakby nieobecny.

— Metz? — Chantal nigdy nie wspominała o Metz.

— Czy Chantal Joffo znajduje się w pobliżu Metz? — powtórzył Leibold.

Czy Henri został przeniesiony? Czy zdradziłem go moim stukaniem?

— Nie wiem — odpowiedziałem oszołomiony. Leibold powtórzył pytanie kilka razy. Zastanawiałem się, czy chciał mnie o czymś powiadomić. Jego oczy nic nie zdradzały.

— Nic nie wiem o Metz — powiedziałem. Przytaknął, jakby liczył się z taką odpowiedzią. Rottenfuhreerzy nie interweniowali. Na koniec Leibold sięgnął po słuchawkę telefonu i zaczął rozmowę. Dał znak, żeby mnie wyprowadzono. W pustym pomieszczeniu przed pokojem

przesłuchań nie mieli ze mną nic więcej do roboty. Chciałem usiąść, ale kazano mi stanąć na baczność, twarzą do ściany. Obaj zostali ze mną. Usiedli po prawej i lewej stronie, zapalili papierosy. Stałem, ręce wzdłuż szwów. Upłynęła chyba godzina, kiedy wreszcie zrozumiałem, że przesłuchanie nie będzie dalej prowadzone. Pozostało mi tylko czekać. Aż do momentu, kiedy postanowią coś innego.

Z rozmowy z Leiboldem dowiedziałem się, że wpadli na tę metodę przypadkowo. Untersturmführer wezwał kiedyś na przesłuchanie starszego więźnia, ale szybko o nim zapomniał. Ponieważ przełożony nie wydał innego rozkazu, kazano delikwentowi stać przed biurkiem untersturmführera, który tymczasem poszedł do domu. Więzień stał całe popołudnie i noc, a rano, wyczerpany, załamał się. Nie było to nic innego jak niedbalstwo, ale przyniosło skuteczny pomysł. Po dniach bez snu pytani plątali się w zeznaniach, zdradzali informacje, które i tak nie oszczędzały im bicia. W ostrym świetle pokoju przesłuchań głowy opadały im na piersi. Budzono ich biciem i polewaniem wodą. Załamywali się i w końcu przyznawali — żeby tylko móc spać.

Stałem w jasnym pomieszczeniu. Rottenführerzy zmieniali się w regularnych odstępach czasu. Nie było minuty, żeby mnie nie obserwowali. Sytuacja stała się męcząca wcześniej, niż myślałem. Długie stanie w bezruchu znałem z placu ćwiczeń, ale tam można było przewidzieć, kiedy nastąpi jego koniec. To nieskończoność sprawiała, że procedura stawała się tak perfidna. Zastanawiałem się, czy nie upaść i symulować omdlenie. Ale strach przed biciem, którym przywracano do przytomności, był silniejszy. Próbowałem

różnych rzeczy, żeby oszukać czas. Liczyłem od jednego do stu i przesuwałem ciężar ciała na prawą nogę. Po następnej setce przechodziłem na lewą. Kiedy powtórzyłem cały proces dziesięć razy, zauważyłem, że krew w nodze przestała krążyć i lepiej stać jednocześnie na dwóch nogach.

Liczyłem dalej bez określonego powodu. Zaczął mnie boleć krzyż i ramiona. Chciałem oprzeć ręce na biodrach. Na krzyk rottenfuhrera znowu je opuściłem. Pojaśniało mi w głowie, potem robiło się coraz ciemniej. Później wydało mi się, że widzę coś czerwonego. Ściana przed moimi oczami rozplynęła się i nagle stała się nierealnie wyraźna. Zacząłem malować sobie mapę na odstającym płatach tynku. Wymyślałem lądy, cieśniny morskie, góry, które opatrywałem kolorami. Nie mogłem utrzymać koncentracji dłużej niż kilka minut. Ciało odmówiło posłuszeństwa, dawało o sobie znać z wielką siłą. Zasypiałem, podrywałem głowę do góry, ale znowu opadła w dół. Krzyk. Stałem z szeroko otwartymi oczami, drżała mi szczeka. Drut z zuchwie. Ściana rozplynęła się, sądziłem, że ciągle się w nią wpatruję, jednak był to sen. Opadły mi powieki, osunąłem się do przodu.

Uniosły mnie dwa ramiona, pięści biły w nerki i żebra. Ciężko dyszałem, puszczono mnie. Najpierw pomyślałem, że obudziło mnie bicie. Ale ten stan nie trwał długo. Chwiałem się, wziąłem się w garść, stanąłem prosto.

Procedura powtarzała się wielokrotnie, towarzyszyło mi coraz większe zwątpienie, które ledwie sobie uświadamiałem. Oczy zamykały mi się instynktownie, ale resztką świadomości zmuszała mnie, żeby nie zasnąć. Wydawało mi się, że ubranie robi się za ciasne i pęka na ciele. Miałem wrażenie, jakby napęczniały mi stopy. Ciężar całego ciała

spłynął do stóp, które nie chciały dłużej mnie nosić. Światło nade mną zaczęło wirować. Pokój rozszerzał się i kurczył, aż poczułem, że się w nim nie mieszczę. Uderzenia uświadomiły mi, że znowu zasnąłem. Kiedy następny raz uniosłem głowę, obok mnie stała Chantai.

— Gustave był wśród pierwszych, którzy wyruszyli na Linie Maginota — powiedziała.

— Chantai — wyszeptałem.

— Stul pysk — krzyknął rottenfuhrer.

Dałem jej znak oczami, że nie wolno mi mówić.

— Gustave pisał mi, że starsi żołnierze wyobrażali sobie wojnę gorzej niż poprzednią, a teraz zostali skazani na nużącą monotonię. Niemcy nie atakowali całymi miesiącami.

Chantai podniosła nogę i oparła obcas o ścianę. Spódnica zsunęła się jej z kolana. Zazdrościłem jej, że mogła się oprzeć.

— Aby zabić nudę, tancerki z zespołu występują, tak samo aktorzy. Kiedyś robił tak nawet Maurice Chevalier.

Coś przyszło mi na myśl. Uniosłem ostrożnie głowę, tak, żeby nie zauważył tego rottenfuhrer.

— Chevalier? — Tylko poruszyłem wargami. Chantai przytaknęła.

— Śpiewał dla nich. Czy wiesz, jak długo Niemcy czekali z napaścią?

— Do kwietnia — szepnąłem. — Ofensywę nakazano w kwietniu. — Kiedy się śmiałem, bolał mnie drut.

— Ten łotr jeszcze się z tego wszystkiego śmieje! — krzyknął rottenfuhrer.

Usłyszałem, jak wstają. Napiąłem ramiona.

— Maurice Chevalier — zachichotałem. Otworzyły się drzwi.

Wszedł zmiennik. W czasie kilku

sekund przekazywania zmiany odwróciłem się do Chantai.

— Czy znasz piosenkę... tę o dziewczynie w kwietniu? —
spytałem.

Poczułem kopnięcie pod kolanem. Upadłem pod ich ciosami.

Kiedy uniosłem głowę, okno za mężczyznami było wypełnione
światłem. Poruszyłem językiem w ustach, zacharczałem.

Poruszałem ustami, jakbym coś mówił. Wyciągnęli mnie z
pokoju przesłuchań. Leibold siedział za biurkiem i mieszał kawę
w filiżance.

Byłem rozbudzony. Czy spałem? Leżałem na pryczy jak po wypiciu dużej ilości alkoholu, moja głowa była osowiałym robakiem. Jak długo już? Czy to ten sam dzień, czy następny? Dlaczego pozwolili mi spać? Musiałem przyznać się do czegoś. Dręczyło mnie pytanie, czy wiedziałem o czymś, czego sobie nie przypominam. Dlaczego pozwolili mi spać?!

Z trudem usiadłem. Słońce znajdowało się za budynkiem, minęło już południe. Starłem się jasno myśleć. Jeśli powiedziałem coś istotnego, byłem dla nich bezużyteczny i wkrótce mnie rozstrzelają. Jeśli natomiast mają nadzieję uzyskać dalsze informacje, to było niejasne, dlaczego pozwolili mi spać. Zostało mi mało czasu. Przypomniałem sobie o kartce i Henrim. Wziąłem do ręki odznakę i zacząłem stukać. Trzy, przerwa, potem znowu trzy. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Henri nasłuchiwał.

ZEZNANIE, sygnalizowałem. CO WIEM? — CHANTAL?
Czy potrafi z tych pytań wytłumaczyć sobie mój stan?

Czy Henri osobiście zna Chantal, czy też dowiedział się o niej od kogoś z innej celi? W mojej wyobraźni nagle nie widziałem go już jako Francuza z książki z obrazkami. Teraz Henri był sprytnym kompanem, który miał kontakty, dobrze się ubierał i kierował się tylko własnym interesem. Jednak ten obraz szybko uleciał, a kiedy czekałem na odpowiedź, Henri zmieniał się dalej. Widziałem go, jak siedzi przy rurze grzewczej, ma na sobie czarny mundur i notuje uzyskane ode mnie informacje. On i Leibold planowali sposób dalszego postępowania. Przestraszony odsunąłem się od ściany. Ale uspokoiła mnie myśl, że nie byłem na tyle ważny, żeby podejmowano w związku ze mną taki wysiłek: sfingowane znaki przekazywane stukaniem, wiadomości przekazywane przez więziennego fryzjera; to było zbyt skomplikowane dla SS. Stosując swoje zwykłe metody, mogli dowiedzieć się wszystkiego, co chcieli.

Z drugiej strony nadchodziły pośpieszne sygnały. JUTRO. PRZESŁUCHANIE WIECZOREM. PAWILON W OGRODZIE. Potem już nic więcej.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Chantal należała do ruchu oporu. Organizacja Resistance została ostatnio oczyszczona. Na rue des Saussaies byli francuscy pracownicy cywilni, którzy obsługiwali kotłownię i sprzątaali umywalnie. Któryś z nich powinien wiedzieć, jak przesmuglować aresztanta z więzienia. Ale dlaczego mnie? Dlaczego miałem być tak niezwykły? Czyż codziennie do więzienia nie trafiały setki ludzi? Wielu było rozstrzeliwanych bez zbędnych korowodów. Nadzieja, że potraktują mnie inaczej, niż wskazywało na to moje położenie, zakrawała na zarozumialstwo. Chociaż aż się paliłem, żeby zadawać dalsze pytania, odłożyłem odznakę na bok. Jutro. Przesłuchanie wieczorem. Pawilon w ogrodzie.

Niecierpliwie oczekiwałem hałasów, które poprzedzały kolację, dźwięku wózka zatrzymującego się przed sąsiednią celą. Kiedy uniosła się kłapa, wysunąłem miskę i poprosiłem o dużą porcję. W dniu jutrzejszym chciałem mieć więcej sił. Kalifaktor zmarszczył czoło, ale nalał mi drugą chochlę. Ostrożnie wziąłem wypełnione po brzegi naczynie. Jadłem powoli, smakowałem poszczególne składniki. Groszek, miękkie ziarna zbóż, kilka skwarek. Przeżuwałem jak ktoś, kto nie ma zębów.

Następnie zająłem się moim okiem. Podczas bicia starałem się chronić je za wszelką cenę. Ostrożnie zdjąłem opatrunek, obmacałem miejsce, wyczułem strup i wilgotne zgrubienie, w którym mogła się zbierać ropa. Poruszałem oczami we wszystkie strony, widok z lewej był jeszcze zamazany. Postanowiłem, że od tej pory nie będę zakładać opatrunku. Wcześniej położyłem się na pryczy i próbowałem zasnąć.

Obudziłem się; usłyszałem hałas na korytarzu. Przedsmak radości i strach, że właśnie teraz mnie wezmą. Jednak ktoś tylko przeszedł obok celi. Usłyszałem jęczenie, are-sztant pociągał nosem. Na końcu korytarza krzyczał człowiek, którego słów nie dało się zrozumieć. Nie mogłem już zasnąć, koło z pytaniami kręciło się bez przerwy. Kiedy w celi pojawiło się światło dzienne, głowa opadła mi na pierś.

Przegapiłem śniadanie i zezłościłem się na moje niedbalstwo. Dzisiaj wieczorem muszę mieć dużo sił. Próbowałem robić pompki na kamiennej podłodze. Ale już przy trzeciej opadłem na pierś, byłem słaby i zabrakło mi oddechu. Ponieważ nie mogłem robić nic innego, rozpocząłem mój pochód. Maszerowałem do pory posiłku, po jedzeniu znowu usnąłem. Leżałem na pryczy, nie zdejmując butów i kurtki, chciałem być gotowy na wszystko. Kiedy się ściemniło,

wyjąłem z siennika małą kartkę z wiadomością od Chantal, przeczytałem ją z czułą ufnością, zawinałem w nią mój gwóźdź i wrzuciłem do wiadra z fekaliami. Byłem gotowy opuścić celę. Godzinę po kolacji jeszcze nic się nie działo. W biurach z pewnością już dawno skończono urzędowanie. Nocne zmiany wprowadzano tylko w pilnych przypadkach. Podciągnąłem się na kracie, próbowałem zobaczyć, co dzieje się za rogiem, ale nie potrafiłem odszukać okna mojego wydziału. Rozczarowany opuściłem się i oparty plecami o ścianę osunąłem się na podłogę. Gdzie był Henri? Zasnąłem na siedząco.

Minęły dwa dni, które przebiegły rutynowo, nie zostały przerwane niczym niezwykłym. Nikt nie przychodził i nie przesłuchiwał mnie; Henri też nie dawał znaku życia, mimo że często stukałem odznaką w ścianę. Rzucałem pytające spojrzenia kalifaktorowi, podchodziłem do wizjera, kiedy zbliżały się kroki. Popadłem w stan nieustannego oczekiwania, który nakazywał mi robić nedorzeczne rzeczy. Zdjąłem buty, ponieważ czułem, że zmarszczyły mi się skarpety i musiałem je wygładzić.

Wdrapywałem się do okna i wypatrywałem wiadomości na przeciwległym murze. Potem zastanawiałem się, czy złapali Chantal. Dlaczego każe mi czekać?

Trzeciego wieczoru położyłem się przed czasem. Wpatrywałem się w koc jak ktoś, kto czeka na kata i nie wie, o której godzinie przyjdzie. A potem, upłynęła może godzina, wydałem się sam sobie żaloszny w moim patosie więźnia. Mój stan, zszarpane nerwy, nie oznaczał nic innego, jak tylko żaloszne załamanie. Chciałem być kimś innym, space-

rować między ludźmi —jako Francuz, jako Niemiec, wedle upodobania. Zwodzić Leibolda, wprowadzać w błąd Francuzów, jakie to wydawało się proste. Podczas tych godzin na pryczy uświadomiłem sobie bardzo wyraźnie moją postawę: uważałem, że nie muszę zajmować stanowiska. Pragnąłem zrzucić z siebie skórę Niemca i przyodziewać się w szaty Francuza, kiedy tylko chciałem.

W mojej miłosnej euforii nigdy nie zadawałem sobie pytania o motywy Chantal, o powody, które dla niej miały znaczenie. Teraz stało się dla mnie jasne, że od początku postępowała taktycznie. Włączyła mnie w działania swoich ludzi, a potem, choć dobrze wiedziała, że darzę ją uczuciem, nie zawahała się wprowadzić swego planu w czyn. Chantal zawsze była bojowniczką, podczas gdy ja, zaplątany w idyllę własnych wyobrażeń, tylko uciekałem od rzeczywistości. Ona miała przed oczami wroga, podczas gdy ja próbowałem poruszać się między frontami. Ona poszła do burdelu, aby zabić znienawidzonych okupantów. Ona coś zmieniła. Jedyne, co ja zmieniałem, to był rodzaj przyjemności. Chciałem się oderwać od Rzeszy i jej Fuhrera i uciekałem do Francuzów. Kiedy Francuzi mnie przejrzeni, stałem się dla nich niemieckim Michelem, który pragnie się lepiej poczuć nad Sekwaną. Chantal mnie lubiła; w to, że mnie szanowała, już nie wierzyłem. W jej oczach byłem kameleonem, któremu udaje się wyjść cało z każdego niebezpieczeństwa, który prowadzi egzystencję „może być tak, może być tak”. Moja przemiana w Monsieur Antoine'a nie była bohaterskim czynem, nie byłem zimnym kuglarzem, który wywiódł w pole własnych ludzi. Byłem tchórzem, który nie miał odwagi, aby się temu przeciwstawić. Bijący przesłuchiwanymi rottenfuhrerzy byli w ich sposobie myślenia bardziej przejrzysti niż ja. W swojej pewności siebie miałem nawet

nadzieję, że zostanę uwolniony, wierzyłem, że potrafię wymknąć się tym ludziom; zmarnowałiby tylko na mnie niepotrzebnie kulę, która roztrzaskałaby mi kark.

Taki byłem; nadszedł właściwy czas, aby to dostrzec. Nigdy nie było żadnego planu ucieczki. Henri nigdy go nie podawał. To, co niewątpliwie mnie czekało, to było przesłuchanie i stracenie, postanowiłem nie zdawać się na żadne obietnice. Kiedy teraz zasypiałem, w swojej świadomości przestałem sam siebie otumaniać.

Zabrali mnie w środku nocy. Dano mi czas, żebym się ubrał zgodnie z przepisami. Zanim wyszliśmy, rozejrzałem się po celi, jakbym nie chciał niczego zapomnieć. Szliśmy w dół cichym korytarzem. Za wizjerami siedzieli ludzie, którzy słyszeli nasze kroki i cieszyli się, że to nie oni byli prowadzeni. Minęliśmy pokój postrzygacza włosów, izbę chorych i po schodach prowadzących w dół i w górę wyszliśmy na oblodzony dziedziniec. W pierwszej chwili sądziłem, że to księżyc oświetla teren tak biało, jednak była to lampa na szczycie dachu. Przed nami ukazała się uprzątnięta ze śniegu ścieżka. Ruszyliśmy, jeden sturmmann przede mną, drugi za mną; obaj ponurzy i zmęczeni.

Usłyszałem przenikliwy świst, który przerwał ciszę nocną. Napiąłem mięśnie i rozejrzałem się w ułamku sekundy. Byliśmy na końcu podwórza, niedaleko schodów, które prowadziły do pokoju Leibolda. Z tyłu, w oślepiającym świetle prezentował się wyraźnie widoczny pawilon. Drzwi do niego były lekko uchylone. Kłódka wisiała z boku, rygiel był odsunięty.

Świst zakończył się głośnym hukiem. Reflektor na dachu eksplodował. W ciemności słyhać było głosy i krzyki. Nieoczekiwana ciemność ugodziła wszystkie oczy, wokół zapanował mrok. Zacząłem biec. Prowokacyjnie potrąciłem sturmmanna, przebiegłem przez głęboki śnieg, zapadałem się w nim, skakałem, wysoko unosząc nogi, w kierunku pawilonu. Pojawiły się pierwsze kontury. Słyszałem zaskoczone głosy sturmmannów, szczęk odbezpieczanej broni. Wpadłem na mur, który wydawał mi się bardziej oddalony. Rozejrzałem się uważnie, żeby sprawdzić, gdzie jest szpara, otworzyłem drzwi z surowych desek i wślizgnąłem się do środka. Pojedyncze strzały uderzyły w drzwi, poleciały drzazgi.

Przywarłem do ściany, znalazłem przejście, które musiało prowadzić do tylnej części budowli. Badając teren dookoła rękami, stwierdziłem, że znajduję się w mieszkaniu. Miękki fotel, zarys kominka. W następnym pomieszczeniu była kuchnia, do której wpadało światło z dziedzińca. Przestraszyłem się, ktoś stał w drzwiach.

— Vite, par ici — powiedział jakiś człowiek.

Od strony, gdzie wszedłem do środka, zbliżały się kroki. Nie było czasu na pytania. Podążyłem za nim przez drzwi, które pośpiesznie zamknął. Szliśmy schodami w dół, wzdłuż wilgotnych ścian, w świetle jego latarki wyłaniały się z ciemności występy muru, przewody elektryczne. Mężczyzna szedł bardzo szybko, znaleźliśmy się w rozgałęzionym systemie piwnic. Na końcu jednego z korytarzy zatrzymał się. Przed nami ujrzałem trzy stopnie i drzwi z desek.

Poświecił na mnie.

— To powinno pasować. — Rzucił mi ubranie i zawiniętą w nie parę butów.

— Kim pan jest? — dyszałem podczas ściągania butów i rozpinania guzików.

— Szybko, szybko!

Nie był paryżaninem. Mówił dialektem, jaki słyszało się na wybrzeżu, może Normandczyk. Uderzył mnie sposób, w jaki rzucił mi ubranie. Kiedy zmieniałem koszulę, odkryłem, że mężczyzna miał tylko jedną rękę.

— Jest pan ogrodnikiem? Spojrzał na mnie nieufnie.

— Ja nic nie wiem o panu, a pan o mnie.

— Czy to Henri porozumiał się z panem?

— Niech się pan pośpieszy! — krzyknął mężczyzna, kiedy za długo wiązałem buty. — Gdzie mam teraz iść? — Kurtka była za ciasna pod pachami, a spodnie za szerokie w pasie.

— Przeprowadzę pana przez te drzwi.

— Gdzie mam się ukryć?

Włożył klucz do zamka, popchnął mnie na schody. Poczułem zimne nocne powietrze. — Powodzenia. — Ma pan pieniądze? Drzwi już się zamknęły. Przekrecono klucz. Wszystko trwało niecałe dwie minuty. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że nigdzie nie było słychać moich prześladowców. Szybko rozeznałem się w położeniu: znajdowałem się w bocznej uliczce niedaleko Sainte Marie Madeleine. Musiałbym skręcić za rogiem, żeby dotrzeć do mojego dawnego miejsca pracy. Momentami rozkoszowałem się zimnem styczniowej nocy, jak powietrzem wolności. Jednak gdzie mogłem się udać bez dokumentów i bez jednego centima w kieszeni? Wyszedłem z wnętrza na ulicę. Buty były miękkie, opuściłem rue des Saussaies lekkim krokiem.

Przeszedłem kilka ulic, uważnie nasłuchiwałem, ale nic nie wskazywało, że prowadzono akcję poszukiwawczą.

Nienagabywany przez nikogo uciekłem z tego kwartału.

Zauważyłem, że zmierzam w kierunku mojego starego hotelu. Śmieszne przyzwyczajenie. Stałem w cieniu filaru.

Przychodziło mi do głowy tylko jedno miejsce, którego byłem pewny: rozpadający się przechodni dom niedaleko jatki końskiej, gdzie się przebierałem.

Słyszałem własne kroki na ośnieżonych ulicach. Byłem przygotowany na strzał w tył głowy, na nagły błysk i huk, szedłem niepewnym krokiem przez cichy Paryż. Nikomu nie udało się ucieczka z rue des Saussaies. Kto powiadomił jednorękiego, gdzie teraz zniknął? Kto oddał strzał, który spowodował nastanie ratującej mnie ciemności?

Szedłem już pół godziny. Znalazłem dom, wszedłem na podwórze i wślizgnąłem się pod schody, gdzie dawniej czekała na mój powrót torba na pranie. Odsunąłem na bok kamienie, kawałki cegieł i skuliłem się w kącie. Nie było aż tak zimno, żeby należało obawiać się zamarznięcia we śnie. Byłem jeszcze rozgrzany biegiem, na dodatek ciasno owinałem się kurtką. Myślałem z zamkniętymi oczami. Czy powinienem opuścić Paryż? Na wsi jeszcze bardziej rzucałbym się w oczy. Szukali mnie Niemcy, Francuzi by mi nie wierzyli. Nie wiedziałem, gdzie znaleźć Chantal. Zdecydowałem się więc na Paryż. Szybko odrzuciłem pomysł, żeby przebić się przez linię frontu do domu. Od tej chwili byłem poszukiwanym dezertorem, który może zostać rozstrzelany bez procesu. Przyszła mi na myśl inwazja. Uśmiechnąłem się. Nadzieja, że losy wojny odwrócą się w stronę, która byłaby dla mnie sprzyjająca, przekraczała wszelkie szczyty fantazji.

Zasnąłem, obudziłem się zamarznięty, uniosłem sztywne powieki i rozgrzewałem się, biegając dookoła wewnętrznego podwórza. Chciało mi się pić i jeść. Musisz myśleć o prostych, łatwych do zrozumienia sprawach. W zimną noc, która

nie chciała ustąpić porankowi, jeszcze silniej czułem moje rany. Drut w szczęce, oko, w którym pojawiła się ropa, razy i okaleczenia. Stwierdziłem, że jestem wrakiem. Na rue des Saussaies ten stan wydawał się oczywisty. Ale teraz, na wolności, byłem uszkodzonym egzemplarzem. W tym stanie długo nie wytrzymam w złych warunkach. Kiedy tak biegałem w koło, przyszedł mi do głowy pomysł: Hirschbiegel. Nie miałem pojęcia, co się z nim działo od czasu tej nocy w Turachevskim. Należał do Wehrmachtu, a jego pułkownik był wpływowym człowiekiem. Chyba nie podejrzewano go poważnie, że miał coś wspólnego z zamachem. Czy jeszcze był w Paryżu? Czy jego jednostka dostała już rozkaz wymarszu? Im bardziej ciepło mi się robiło, tym moja głowa stawała się coraz cięższa. Przykucnąłem pod schodami i znowu zasnąłem.

Oficerowie i żołnierze bez ustanku wchodzili i wychodzili z hotelu. Poszedłem tam wczesnym rankiem, drżąc na całym ciele. Od inwazji pytaniem na czasie było, czy teren przed wejściem patrolowali dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi. Ukryłem się sto metrów dalej, za pnem dębu, i miałem nadzieję, że mimo odległości rozpoznam Hirschbiegla.

Zegar na wieży kościelnej wybił dziewiątą. Jego służba zaczynała się o wpół do ósmej; nie pojawił się. O dziesiątej ruszyłem w kierunku rzeki. Czy był sens, żeby czekać przed miejscem jego służby? W zasadzie znałem prawdę. Jeśli Hirschbiegel nie mieszkał w hotelu, na pewno opuścił już Paryż. Mój przyjaciel pełnił teraz służbę gdzieś na niekończącym się Froncie Atlantyckim.

W południe dotarłem do hal i zdobyłem kilka warzywnych odpadków. Kiedy w kolejce do piekarni doszło do zamieszania, wykorzystałem to, żeby ukraść chleb, który upadł na ziemię. Wieczorem spróbowałem drugi raz przed hotelem. Wkrótce doszedłem do przekonania, że to nie ma sensu.

Tak długo, jak to było możliwe, odsuwałem od siebie myśl, że spędzę kolejną noc pod schodami. Strach przed zimnem był silniejszy niż obawa, że mnie złapią. Kiedy bez celu włóczyłem się po drugiej, później trzeciej dzielnicy, zauważyłem, że nieświadomie, wcale tego nie chcąc, zbliżam się do rue Faillard. Przemknęła mi przez głowę obłędna nadzieja, że Hirschbiegel mógł gdzieś schować klucz. Może liczył się nawet z tym, że któregoś dnia zjawię się tutaj. Tęsknota za spędzeniem tej nocy na wygodnym materacu, w przytulnych pokojach, była tak urzekająca, że byłem gotów narazić się na każde niebezpieczeństwo. Ostrożnie wszedłem w wymarłą uliczkę i dotarłem do bramy. Kiedy zadzwoniłem, rozległo się swojskie chrapanie. Z głośno bijącym sercem wślizgnąłem się do budynku i minąłem pomieszczenie konsjerżki. Na czwartym piętrze ugięły się pod mną kolana. Dały o sobie znać głód i zmęczenie — usiadłem na stopniu. Obserwowałem drzwi z podestu schodów i zastanawiałem się, gdzie Hirschbiegel mógł schować klucz. Zbadałem każdy centymetr framugi drzwi, sięgałem do zagłębień, sprawdziłem pod wycieraczką. Szukałem koło okna, pod występami schodów. Nie chciałem przyznać się do porażki i zacząłem od nowa. Czołgałem się, macałem, zszedłem piętro niżej, pokonywałem stopnie w górę na kolanach, niczego nie opuściłem, ale nic nie znalazłem. Kiedy rozczarowany oparłem się o drzwi, nie ustąpiły ani o milimetr. Teraz zrozumiałem, że moja nadzieja nie miała żadnych podstaw. Tylko niepoprawny marzyciel mógłby przypuszczać, że Hirschbiegel w okupowanym mieście, gdzie każdy starał się chronić swój dobytek, zostawił tu klucz do mieszkania! Jednak próba odnalezienia go przyniosła coś

dobrego. Wszedłem po schodach do drzwi prowadzących na poddasze, zwinąłem się na podeście i dzięki temu nie spędziłem nocy pod gołym niebem.

To dziwne, ale nie bałem się, że w ciągu nadchodzących dni zostanę rozpoznany. Miasto było więzieniem, w którym starałem się schodzić z drogi mieszkańcom oraz patrolom. To więzienie zaczynało stopniowo wrzeć. Paryżanie gdzie tylko mogli, nawet jeśli nie pasowało to do pory roku, nosili garderobę lub różne przedmioty w barwach flagi państwowej. Czerwony szalik, niebieskie rękawiczki, białą koszulę. Czerwony płaszcz, niebieską czapkę, biały pakunek pod pachą. Kontrole były w tym czasie tak ostre, a mimo to namalowane V jak Victory pojawiały się na coraz liczniejszych ścianach domów. Wehrmacht już nie nadążał z ich zamalowywaniem.

Podczas włóczenia się po szarym Paryżu obserwowałem dziesiątki aresztowanych. Najmniej było wśród nich Żydów. Denuncjacje przybrały na sile; wiele osób chciało, jeszcze zanim skończy się niemieckie panowanie, szybko pozbyć się nielubianego sąsiada lub właściciela konkurencyjnego sklepu. Pomimo uporczywej zimy Paryż był bardziej nerwowy, niecierpliwy, agresywny niż przed kilkoma miesiącami. Były godziny, w czasie których nie wydawałem się obu stronom wygnańcem, lecz normalną osobą w tłumie. Spotykałem ludzi, których los był zapewne podobny do mojego. Wydawało się niemożliwe, żeby zdobyć coś ciepłego do jedzenia. Kiedyś wy-
żebrałem u szarytek trochę zupy. Innym razem kierowca ciężarówki z mlekiem dał mi grogu. Po wypiciu go stałem odurzony na Pont Royal, patrząc w dół na wodę, i myślałem o czasach, kiedy na rozgrzanych kamieniach siedzieli tu wędkarze.

Wszyscy marzyli o tym, żeby zobaczyć, jak wynoszą się stąd niemieckie mundury. Jednak były one bardziej widoczne niż kiedykolwiek. W każdej dzielnicy, na każdym większym skrzyżowaniu okupanci postępowali z niezłomną surowością. Ale bunt został wymyślony; istniał, zanim stworzono dla niego realne warunki. Cieszyłem się, że w tych dniach byłem bezimienny. Byłem obserwatorem i więźniem w jednej osobie.

Przez śnieg prowadziła wąska wydeptana ścieżka. Rue de Gaspard była całkowicie opuszczona. Jak okiem sięgnąć, nie widziałem ani jednego człowieka. W sklepie handlarza starzyzną z całą pewnością był pożar. Nad otworami okiennymi widniały czarne ślady języków dymu. Sklep pere Joffo był zabity deskami. Schyliłem się i chwyciłem za brzeg najniższej. Wykonano solidną robotę z użyciem długich gwoździ.

Cofnąłem się, przed wejściem do sklepu ze starzyzną znalazłem zwęglony na jednym końcu dyszel, który posłużył mi za dźwignię. Nieprzyjemnie skrzypiąc, ustąpił pierwszy gwóźdź i deska odskoczyła. Pracowałem dalej, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie przypadkiem nie widzi. Zerwałem dalsze dwie deski i znalazłem klamkę. Szkło było zbite, wsunąłem rękę i otworzyłem drzwi od środka. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na ulicę, schyliłem się i wszedłem do sklepu.

— Chantal! — krzyknąłem, kiedy tylko znalazłem się w środku.

Wszystko wyglądało tak samo, odkąd pożegnałem się tu z Joffo. Rozglądałem się między regałami i porozrzucanymi książkami. Na podłodze leżały setki, tysiące książek poukładanych w stosy, przewracane, rozbite stelaże.

— Chantal, to ja!

Drżałem z przedwczesnej radości, ale jednocześnie obawiałem się, że wyjdzie mi naprzeciw. Wyglądałem teraz jak obszarpaniec, spodnie brudne od spania na podłodze, z kurtki w wielu miejscach wyłaziły nitki. Byłem nieogolony i swędziała mnie skóra na brodzie. Kiedy niedawno przechodziłem obok Lubińskiego, kelner mnie nie rozpoznał.

Przekopałem się do tyłu i wsunąłem za kontuar. Zamyślony podniosłem książkę rachunkową, wzrok ślizgał się po małych cyfrach, przyłapałem się na ich sumowaniu. Odłożyłem książkę i poszedłem do pieca, gdzie zwykle stał oparty o ścianę pogrzebacz. Moje palce szukały pogrzebacza ze spłaszczonym końcem; kilka tygodni wcześniej z jego pomocą uniosłem klapę w podłodze. Użyłem dźwigni i otworzyłem wejście do piwnicy tak samo jak poprzednio. Zapaliłem zapałkę i zszedłem na dół.

— Chantal! — kilka razy powtórzyłem jej imię. — Nie chowaj się, Chantal, to ja!

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętałem.

Pomieszczenie było brudne i opuszczone. Oświetliłem każdy róg. Na podłodze stało wiadro ze starymi ziemniakami, z których wyrastały wijące się jak węże pędy. Kiedy zapałka zaczęła parzyć mnie w palce, upuściłem ją na ziemię. Stałem zmęczony rozczarowaniem.

Wcześniej, pod kamiennymi filarami Pont Royal przyszedł mi do głowy pomysł: Chantal nie wyjechała z Paryża!

Ukrywa się — tak samo jak ja! Wydawało mi się to jedynym możliwym rozwiązaniem. Wróciłem do magazynka i usiadłem na stosie książek. Głowa opadła mi na dłonie.

— W dniu, w którym wkroczyli Niemcy, papa towarzyszył staremu Bertrandowi na Champs-Elysees.

Chantal miała na sobie tę samą ciężką kurtkę, w której widziałem ją ostatni raz u Turachevskiego. Po męsku postawiła nogę na książkach i oparła łokieć na kolanie.

— Obaj staruszkowie stali na skraju ulicy, milcząc — mówiła Chantal. — Papa powiedział, że aby się nie rozplakać, śpiewał po cichu *Marsylianę*. Nikt tego nie słyszał w łoskocie, jaki wydawały gąsienice czołgów.

— I co dalej?

— Bertrand zaintonował *Międzynarodówkę*. Wyobraź sobie — dwaj śpiewający starzy mężczyźni, a przed nimi jadące czołgi. Poczulem swędzenie z boku. Chociaż było to niegrzeczne wobec Chantal, zacząłem się drapać. Złapałem pchłę, która w ciepłe pod pachą dobrze się czuła.

— Rok później, na rue de Seine, znalazłam ulotkę — powiedziała. — Zaniiosłam ją do domu. Papa czytał odezwę z takim przejęciem, jak dawniej dzieła Rabelais'go.

Kiedy raz zacząłem, nie mogłem przestać się drapać.

Wyprostowałem kark, skrobałem się i tarłem, wykonywałem konwulsyjny taniec. Chantal to nie przeszkadzało.

— Wkrótce potem Bertrand wrócił z frontu. Przyprowadził ze sobą jakiegoś Gaskończyka. Ten miał potrzebne kontakty.

Jeszcze w tym samym tygodniu zaczęliśmy sprowadzać w elementach maszynę drukarską i montować ją część po części w piwnicy pod salonem fryzjerskim.

Swędzenie stało się bardziej dokuczliwe. Zerwałem się na równe nogi i drapałem jeszcze gwałtowniej. Coś mi się przykleiło do buta, kolorowa kartka papieru. Drapiąc się, uniosłem nogę, był to rysunek. Oderwałem go od podeszwy. Proste kreski, powierzchnia pomalowana kolorową kredką. Szybko zorientowałem się, co przedstawia: *Lis i winogrona*.

— Czy ty to narysowałaś? — spytałem. Chantal udała się na front sklepu. Oglądałem kartkę; lis, który wspina się po pniu drzewa. W górze widnieje nieosiągalna dla niego gałąź z winogronami.

— Czy nigdy nie zadawałaś sobie pytania — zawołałem — dlaczego rysownik powiesił winogrona na drzewie, skoro w rzeczywistości rosną one na krzewie winorośli? Wyobraziłem sobie, jak Chantal jako dziecko siedzi tutaj i kredkami przerysowuje ilustrację. — Wszystkie drogi można znaleźć w bajkach — mruknąłem. Uniosłem głowę i nasłuchiwałem. — Co miałaś na myśli, mówiąc, że wszystkie drogi można znaleźć w bajkach? — Śledziłem ją wzrokiem. — Chantal?

Ostrożnie złożyłem kartkę i wsadziłem ją do kieszeni. Zacząłem chodzić dookoła jak zabłąkany mól książkowy, tu coś podniosłem, tam wygładziłem załamana kartkę. Próbowałem zrozumieć porządek panujący wcześniej w sklepie. Znalazłem regał z literami R i S. Podszedłem do przeciwległej ściany, gdzie na podłodze leżał porwany Baudelaire, a także inni autorzy na B. Podnosiłem stelaże i szukałem w stosach. Odrzucałem książki autorów, których nazwiska nie zaczynały się na literę F. Kilka razy przerywałem i uważnie nasłuchiwałem. W końcu natknąłem się na Flauberta. Coraz bardziej nerwowo szukałem tego jednego tomu, który był mi tak bliski: Spieniona zielona woda, w niej

ponury potwór morski. Ostrożnie wziąłem do ręki książkę z bajkami. — Tak — skinąłem głową w głąb mrocznego pomieszczenia. — Ależ tak! — Usiadłem na przewróconym regale i zacząłem przewracać kartki.

Gołąb i mrówka.

Astrolog, który wpadł do studni.

Zając i żaba.

Czytałem podniecony z palcem na rycinach. Zatrzymałem się na historii *Kogut i lis*. Ilustracja Dorego została skopiowana na marginesie książki, dziecięca ręka ołówkiem przerysowała lisa. — Masz talent, Chantal — uśmiechnąłem się i od tej chwili szukałem jeszcze bardziej uważnie. Po krótkiej chwili znalazłem obrazki opatrzone komentarzami. Obok okrutnego wilka odczytałem słowa: „Wujek Bebert”. Lub: „Kiedy byliśmy w Trouville” nabazgrane na brzegu widoku morza.

Dotarłem do bajki *Szczęście i małe dziecko*. Fortuna, jędrna naga kobieta, stała na kole Fortuny z ręką położoną na piersi małego chłopca. On siedział na brzegu studni, oboje na tle liściastego lasu. Przypomniałem sobie tę rycinę, to był pierwszy rysunek nagiej kobiety mojego dzieciństwa. Na dolnym brzegu strony widniał napis ołówkiem: „Las dziadka w Balleroy”.

Siedziałem nieruchomo nad notatką. Przypomniały mi się słowa Chantal. Podczas naszego pierwszego spotkania nazwała sumem rybę na okładce książki.

— Gdzie łapie się sumy? — zapytałem wtedy.

— Mój dziadek łowi je czasem na wsi.

Powoli wstałem, położyłem otwartą książkę na kontuarze. Las w Balleroy. Znowu zacząłem szukać. Niedługo później

trzymałem w rękach szkolny atlas. Pochodził sprzed poprzedniej wojny, ale od tego czasu nazwy miejscowości niewiele się zmieniły.

— Balleroy — powiedziałem. — Gdzie leży Balleroy, Chantal? Najpierw szukałem w okolicy Paryża, później w prowincjach północnych — île de France, Seine-et-Marne, potem Pikardia, Val d'Oise, Haute-Normandie. Od czytania nazw napisanych małym drukiem zaczęły mnie szczypać oczy. Im dalej posuwałem się na zachód, tym gorzej oceniałem szansę znalezienia Balleroy. Członkowie rodziny Joffo nie byli Normandczykami; wydawało się mało prawdopodobne, że są właścicielami posiadłości na wybrzeżu. Zacząłem od początku, tym razem na południe od Paryża. Nie znalazłem miejscowości o nazwie Balleroy.

Na dworze zrobiło się ciemno. Przebywałem tu o wiele za długo. Przeraziła mnie moja lekkomyślność. Pośpiesznie wsadziłem pod pachę tom bajek oraz atlas i wyślizgnąłem się ze sklepu pod osłoną zmroku. Kiedy umieszczałem deski na swoim miejscu, rozglądałem się dookoła. Chantal nigdzie na mnie nie czekała. Doszedłem do rue Jacob. Rolety u fryzjera były opuszczone. Również żydowski sprzedawca drobnej galanterii opuścił swój interes. Na ile mogłem, schodziłem z drogi niemieckim patrolom i podążałem z powrotem do mojej noclegowni. Dotarłem do rue Faillard, kiedy było już ciemno, mocniej przycisnąłem książki do ciała, minąłem dwa samochody i znalazłem się przed wejściem. Usłyszałem chrapanie odźwiernego, chwiejnym krokiem przeszedłem przez gładkie od lodu podwórze i prawie dotarłem do pomieszczenia konsjerżki.

Kiedy nagle do mojej świadomości dotarła marka obu

zaparkowanych samochodów, było już za późno. Usłyszałem kroki biegnących w moim kierunku mężczyzn. Drzwi od pomieszczenia konsjerżki otworzyły się powoli. Chciałem pozostać na miejscu, ale poślizgnąłem się i upadłem. Przede mną stał Leibold. Zauważyłem prawidłowo włożoną czapkę i płaszcz zapięty na dwa guziki. Uderzał o udo rękawiczkami. W ciszy, która wydawała mi się nieskończona, zapytałem:

— Jak mnie pan znalazł?

— Nigdy pana nie zgubiłem. — Jego uśmiech był niezwykle przyjazny. — Ani na moment.

Dzieliły mnie od niego tylko dwa kroki. Nagle poczułem gorąco. Przed oczami pojawiły mi się obrazy; jednoręki z rue des Saussaies, który ani przez moment nie obawiał się pościgu. Sturmmani, którzy deptali nam po piętach i nagle znikli. Dlaczego nie podejrzewałem, że ktoś pilnuje księgarni Joffo? Spędziłem tam ponad godzinę. Czy mogłem wątpić, że po zamachu u Turachevskiego przesłuchano również Hirschbiegla? Że na pewno wyjawiał tajemnicę rue Faillard? Zrozumiałem, że w ostatnich tygodniach nie zdarzył się żaden cud, lecz był to plan Leibolda. Pozwolił mi pływać jak złotej rybce w szklanej kuli i nieustannie obserwował. Cierpliwie czekał, aż odwiedzę księgarnię i odkryję to, czego on nie potrafił znaleźć: miejsce pobytu Chantal.

Za plecami Leibolda pojawił się rottenfuhrer z odbezpieczoną bronią.

Nie miałem nadziei ani najmniejszej szansy. Jednak skoczyłem do przodu, uderzyłem Leibolda w ramię i popchnąłem go na rottenfuhrera. Przez moment poczułem bandaże na jego plecach. Rottenfuhrer nie mógł strzelać, żeby nie trafić w Leibolda. Obaj zatoczyli się do tyłu; z twarzy Leibolda zniknął uśmiech.

— Nie — powiedział rozgniewany.

Biegłem. Kroki mężczyzn były tak blisko, że w każdej chwili liczyłem się z ostatecznym strzałem. W obu rękach trzymałem książki — dlaczego nie strzelają? — pędziłem na pierwsze, potem drugie piętro. Rozległy się krzyki Sturm-mannów. Zrozumiałem, że chcą mnie żywego. Nie było stąd drogi ucieczki. Głośno dyszałem. Susami pokonywałem po trzy stopnie; z dołu dochodził stukot podbitych gwoździami obcasów, nie śpieszyli się.

Odkryłem to przed trzema nocami. Drzwi w ścianie, przez wszystkich omijane. Prowadziły na strych. Były zamknięte na solidną i masywną kłódkę. Ale skobel tkwił w kruchym murze. Miałem nadzieję, że niewielkim wysiłkiem wyważę go ze ściany i dostanę się na strych. Posługiwałem się kawałkiem żelaza z ostrym kantem. Przez kilka ostatnich nocy pracowałem nad tym długie godziny. Wydający rozkazy głos Leibolda mieszał się z hałasem wywoływany przez wojskowe buty. Przebiegłem obok mieszkania Wasserlofa. Z pewnością wszystko tam dokładnie przeszukali. Ostatnimi skokami dotarłem do żelaznych drzwi. Dysząc, z otwartymi ustami podważyłem zamknięcie. Metalowy skobel nie ustąpił. W panicznym wysiłku szarpałem za niego, naciskałem palcami. Skobel poruszył się o milimetr i wrócił na swoje miejsce. Cały czas szarpałem się z zamkiem, słyszałem mężczyzn już na trzecim piętrze. Kiedy się pochyliłem, książki wypadły mi na podłogę. Poszukałem kawałka żelaza i wbiłem go między mur i skobel. Ostry brzeg metalu rozciął mi dłoń. Zachowywałem się jak wariat, krzyczałem z rozpacz — i nagle skobel znalazł się w moich rękach. Krew. Nie miałem czasu, żeby podnieść obie książki, chwyciłem pierwszą lepszą i potknąłem się w ciemności. Usłyszałem wrzawę na dole, odkryli moją drogę ucieczki. W całkowitej ciemności zamknąłem oczy. Kiedy je znów

otworzyłem, zobaczyłem czworokąt świetlika. Wsunąłem książkę w spodnie, zapiąłem kurtkę i pośpieszyłem do okna. Zamknięcie okna umieszczono wysoko i było mocno zardzewiałe. Nie zostało mi nic innego, jak uderzyć w szybę głową. Szkło najpierw zabrzęczało, a dopiero potem pękło, odłamki posypały mi się na ramiona. Odchyliłem ramę do tyłu. Sturmmanni dotarli do strychu, widziałem światła ich latarek. Wsunąłem rękę przez otwór, odbiłem się stopami od podłogi i podskoczyłem. Byłem zziębnięty, miałem pusty żołądek, ale mimo to znalazłem dość siły, żeby się podciągnąć. Z ramionami za oknem, unosząc się, zawisłem pomiędzy niebem a ziemią. Szybko podciągnąłem nogi i potoczyłem się po stromo opadającym dachu. Mocno przytrzymałem się brzegu okna i rozejrzałem dookoła. Dachówka była pokryta cienką warstwą śniegu, pod spodem wyczułem lód. Wdrapałem się wyżej. W tym momencie padły strzały, które przebiły dach. Ktoś oświetlił otwór i strzelił w noc. Zobaczyłem błysk z lufy i poczułem świst kul. Podciągałem się wyżej, mocno wpijałem paznokciami, ześlizgiwałem się, rozpaczliwie szukałem oparcia dla nóg, wreszcie uchwyciłem się szczytu dachu. Westchnąłem z ulgą, zabrzmiało to jak krzyk. Na siedząco przesuwaliśmy się dalej. Głowa prześladowcy obróciła się w moim kierunku, strzelił. Dwie kule przeleciały obok, trzecia trafiła. Wdarła się między żebra. Osunąłem się i opadłem na drugą stronę dachu. Był tam mały daszek, występ, może gzyms. Kiedy zaczęło mnie piec całe ciało, zwolniłem uchwyt. Zjeżdżałem w dół na plecach. Przeciwległy kąt dachu wyhamował impet, jednak nie miałem czego się złapać. Zobaczyłem wybrzuszenia na zasypanych śniegiem dachówkach, jak szalony chwytalem je rękami, stopy

próbowały znaleźć oparcie. Wszędzie lód. Na krótko złapałem jakiś hak, poczułem gorące ukłucie w dłoni. Coś się rozdarło. Przeleciałem przez rynnę, w ostatniej chwili chwyciłem się cienkiej blachy. Rynna trzasnęła i pękła. Uczepiłem się jej tak mocno, jakby była latającym dywanem. Ten ostatni chwyt uratował mnie. Przez moment byłem całkowicie wolny, w całkowitych ciemnościach. Szczęśliwy, że im uciekłem, poleciałem w noc.

Wzrok Marii Dziewicy. Słaby czerwonawy blask. Obudziłem się w nierzeczywistym świecie. Słyszałem tylko własne jęczenie. Ponownie straciłem przytomność.

Później, kiedy leżałem na boku, poczułem ciepło na plecach, letnia woda. Ktoś mnie mył. Silne ramię, masywna, pochylona nade mną postać, kręcone włosy. W pewnym momencie przerwała i popatrzyła na mnie.

— Wróciłeś naprawdę z dalekiej podróży — powiedział kobiecie głos.

Nie mogłem się poruszyć. Byłem jednym wielkim westchnieniem. Usłyszałem cichy śmiech. Woda spływała mi po plecach. Czas.

Znajdowałem się w stanie zamroczenia, z którego nie chciałem się obudzić. Patrzyłem, ale nie wiedziałem, co widzę. Pokój, hałasy wydawały się bardzo blisko. Ktoś chodził w tę i z powrotem. Na ścianie nade mną wisiał obraz Marii Dziewicy. Ubrana na niebiesko postać w słonecznym ogrodzie. Pierwszy świat, który dostrzegłem. Matka Boska

z poważną twarzą wskazuje na niebo, tylko brzeg obrazu pozostawał w cieniu. Próbowałem wyobrazić sobie gołębia. Czy się poruszyłem? W pokoju przebywała jakaś osoba. Wytarła ręce i podeszła bliżej.

— Nie śpisz? Obudziłeś się?

Odwrociłem wzrok od Marii Panny. Chwycił mnie ból, wstrząsnął całym ciałem.

— Leż, nie ruszaj się. Jeszcze długo nie będziesz mógł — powiedziała kobieta.

Pochyliła się niżej, była już starsza, jednak nie stara. Jej oczy nie były wesołe, miała płaski nos, tylko usta się uśmiechały. Jej włosy były ciemne, przetykane siwymi nitkami. Nosila niebieski zawiązywany fartuch z miękkiego materiału.

— Nie mam nic, co mogłoby uśmierzyć twój ból — powiedziała.

— Nic, zupełnie nic. — Pokazała na mnie.

Nie miałem siły, żeby unieść głowę i się obejrzeć. Czułem, że moje ciało jest całkiem rozbite. Dwa kawałki drewna, które poczynając od barku, biegły wzdłuż ramienia. Deski użyte jako szyny ortopedyczne. Cicho uderzały o siebie. Na lewej dłoni gruby opatrunek.

— Nie jestem lekarzem. — Kobieta zmieniła położenie ręki usztywnionej deskami. — Nie ma tu lekarza. Musisz coś zjeść. — Ból stępsiał i oddalił się.

— Czy masz jeszcze jedną całą kość? — Jej ręka zbliżyła się do moich włosów. — Musisz jeść — powiedziała z naciskiem w głosie. — Rozumiesz mnie?

Nie miałem na sobie niczego, co mogłoby zdradzić moje pochodzenie. Skąd wiedziała, że nie jestem Francuzem?

— Jesteś szalonym boche. — Podniosła się. — Widzisz, znam cię. — Rzuciłem pytające spojrzenie. — Jestem konsjerżką.

Nazywam się Valie.

Przestraszyłem się. Leibold wyszedł z pomieszczenia konsjerżki. Tam na mnie czatował.

Kobieta zauważyła strach w moich oczach.

— To ja cię ukryłam, najpierw w piwnicy. Dom ma czterysta lat. Pod piwnicą są jeszcze starsze podziemia. Szukali całą noc i cały następny dzień. Zapewne przyjdą znowu. — Podążyła za moim wzrokiem do obrazu Marii Dziewicy. — Teraz jesteśmy w innym miejscu. — Nagle się uśmiechnęła. — Widziałam cię, jak wchodziłeś na górę z Demoiselle. Wchodziliście dwa razy. — Powiedziała to w taki sposób, jakby to była wielka tajemnica. — Znam mieszkanie Wasserlofa. — Wstała. — Dlaczego Demoiselle już nie przychodzi? — Kiedy nie odpowiedziałem, wyszła z pokoju. — Kiedyś mi opowiesz.

Wysłuchiwałem się we własny oddech. Nazwała mnie boche. Schowała mnie. Udało się jej ukryć mnie przed całym oddziałem, który mnie szukał. Czy to dalsza część planu Leibolda? Gdzie się znajduje ten pokój, to mieszkanie? Mój pobyt tutaj wydawał się tak nierealny jak czas, który spędziłem bez świadomości. Gdzie rzucił mnie los?

Wydałem z siebie dźwięk. Wrócił do mnie. Potrzebowałem dużo czasu, żeby sklecić słowo.

— Dzisiaj.

Pochyliła się do przodu.

— Mamy początek lutego. Szósty.

Na mój zduszony jęk uśmiechnęła się ukradkiem.

— Tak, długo leżałeś. Myślałam już, że nie żyjesz. Była w tobie jeszcze tylko jedna mała iskierka. Jesteś twardy, boche. Ale teraz pozwól mi odejść, muszę podgrzać zupę. — Znikła z pola widzenia.

Konsjerżka nakarmiła mnie. Wsadziła mi do ust mały blaszany lejek. Chciałem gryźć, ale nie udawało mi się.

Myślałem, że pękł drut w szczęce, ale zauważyłem, że z lewej strony brakowało mi kilku zębów. Valie ostrożnie wlewała zupę do lejka, ale wypływała kącikiem ust. Poszło lepiej, kiedy przesunęła go do prawej strony ust. Łykałem i piłem.

Rozkoszowałem się ciepłem.

— Nie możesz jeszcze gryźć — powiedziała. — Ale wydaje się, że radzisz sobie z połykaniem. — Uśmiechnęła się. — Nie wszystko jest połamane.

Wsluchiwałem się w siebie, próbowałem podążać drogą zupy.

Stopniowo zacząłem wierzyć, że umknąłem śmierci. Mijały dni i tygodnie, w czasie których zmieniały się tylko drobnostki.

Pewnego razu ktoś zabrał sztuczne kwiaty z komody Valie. W któreś południe słońce było tak silne, że oświetliło cały obraz Madonny. Faktycznie unosił się nad nią gołąb, symbol Trójcy Świętej. Obserwowałem opromieniony słońcem obraz, aż centymetr po centymetrze światło znikło.

W tym czasie Chantal nie odwiedziła mnie ani razu. W snach na jawie wyobrażałem ją sobie jako bojowniczkę, w ciemnych spodniach, z włosami związanymi pod czapką. Potrafiła obchodzić się z bronią. Nic nie mówiła, tylko siedziała lub przechodziła obok mojego łóżka. Stawało się dla mnie coraz bardziej jasne, że Chantal nie mogła nic wiedzieć. Nie miała pojęcia, że będę u Turachevskiego wieczorem w dniu zamachu. Tym samym nie przesłała mi też wiadomości. Ostatecznie zaakceptowałem fakt, że Henri był stukającym duchem, którego Leibold umieścił w mojej głowie. Na jego polecenie tułałem się po ośnieżonym Paryżu.

Któregoś ranka poprosiłem konsjerżkę, bardziej pokazując niż mówiąc, żeby przyniosła mi moje książki. Dała mi jedną, tę, którą przed upadkiem wsadziłem do kieszeni spodni. Nie były to bajki. Te bezpowrotnie straciłem, zapewne wpadły w ręce Leibolda. Na moim brzuchu leżał otwarty atlas. Valie siedziała obok mnie, przewracała kartki, oglądała mapę biegunów, kontury oceanów oraz wschodniej Azji. Ponieważ nie mogłem poruszać rękami, poprosiłem ją, żeby otworzyła na Francji. Francja w granicach po 1918 roku. Miasta, rzeki, krainy.

Była tam prosta, krótka nazwa, której szukałem. Kryło się w niej coś królewskiego. Słowo zaczynało się na F lub B. Byłem pewny, że sobie przypomnę. Wieś, przysiółek, dobra dziadka Chantal — miejsce, którego nazwę nabazgrała na marginesie *Bajek*.

Codziennie o tym myślałem, godzinami. Moje oczy ślizgały się po miejscowościach. Długo nie chciałem tego przyznać — ale z niewyjaśnionych przyczyn zapomniałem nazwę tego miejsca.

Valie przyniosła mi zupę, która głównie składała się z warzyw. Kiedyś moczyła chleb w mleku i wkładała mi małe kawałki do ust. Żułem na podniebieniu i pieńkach zębów. Jak wspaniale smakował! Od tej chwili przyrządzała mi tę potrawę codziennie. Często myślałem o tym, jak powinienem podziękować Valie za jej opiekę. Ale podejrzenie, że mogła pracować dla Leibolda, nie przestawało mnie dręczyć. Kiedy moja twarz wydobrzała na tyle, że mogłem mówić, zapytałem:

_ Dlaczego pani robi to dla mnie? — Valie siedziała na stołku obok mojego łóżka; był wieczór.

— Znałam Wasserlofa. — Jej ręce leżały nieruchomo na fartuchu. — Któregoś dnia przyprowadził niemieckie małżeństwo i pokazał im swoje mieszkanie. Pan i pani Hirsch

biegel byli eleganckimi ludźmi. Monsieur dał mi coś za fatygę. — Wstała i zaczęła szukać czegoś w pokoju. — Później przyjeżdżał czasem sam do Paryża, również po śmierci Wasserlofa. Kiedy Niemcy zajęli miasto, zapytałam go: co się stanie z mieszkaniem? Powiedział: cóż, teraz nie będę przyjeżdżać, żeby malować. — Policzki Valie błyszczały. — Któregoś dnia, w środku wojny, pojawił się syn Hirschbiegla i wypróbował klucz. Nie był wcale podobny do ojca. Potem przyszedłeś ty i Demoiselle. W końcu zjawili się Niemcy. — Valie wzruszyła ramionami. — To wszystko Nie rozumiałem jej dobrego humoru, przecież rozmawiała o wrogu. Hirschbiegel był porucznikiem Wehrmachtu. Ja sam byłem wrogiem, który w okupowanym mieście zabawiał się z jakąś paryżanką. Zapytałem o to Valie. Tylko się uśmiechnęła i znikła bez odpowiedzi. Nie miała jeszcze czterdziestu lat i była na swój dojrzały ocieężały sposób dość ładna. Nawet w fartuchu była swoiście pociągająca. Chciałem zapytać ją o wiele innych rzeczy Gdzie jest jej mąż? Zginął, przebywa w niewoli? Dowiedziałem się jedynie, że przed wojną pracowała jako pielęgniarka. Znała się trochę na kościach. Nie przejmowała się moją prawą nogą. Proste złamanie kości udowej, które zrastało się bez problemów. Martwiła ją lewa łydka, ponieważ obie kości były roztrzaskane. Valie oczyściła otwarte rany i złożyła kości. Do tej pory nie wdało się zapalenie. Nie potrafiła powiedzieć, czy noga zrośnie się prawidłowo. Drewno i opatrunki zaczęły cuchnąć. Zmieniła szyny Prawie me nie czułem. Oprócz kilku śladów po uderzeniach, lewe ramię było prawie wyleczone. Mogłem nim jako tako jesc i przewracać kartki atlasu. Przeszkadzał mi tylko opatrunek. Dopiero teraz zobaczyłem ukrytą pod nim ranę. Valie

przygotowała mnie na to: mały palec został urwany powyżej stawu. Musiało się to zdarzyć, kiedy zsuwałem się z dachu. Skóra nad kością zaczęła już się zrastać. Miejsce swędziało, jednak nie gorzej niż użądlenie osy.

Na początku marca pojawiła się gorączka. Najpierw plama pod kolanem napęczniała jak guz. Potem zaczęła ropieć. Skóra nabrzmiała, pękła, wyciekła biaława ciecz. Valie codziennie przemywała ranę wyciągiem z rumianku. Bolało mnie i drżałem na całym ciele. Krew we mnie wrzała, myślałem, że oszaleję. Za każdym razem, kiedy otwierałem oczy, czas posuwał się dalej.

Nie miałem żadnych majaków, z wyjątkiem jednego snu.

Zaczynał się na zboczu góry, gdzie toczyłem w dół koło.

Dziwiłem się, że koło nie może samo znaleźć drogi w dół. Było ciężkie. Przyjrzałem mu się dokładnie — było wykonane z czystego złota. Zaraz potem koło przemieniło się w koronę, okrągłą, z dużymi kolcami. Z wysiłkiem posuwałem ją przed sobą, coraz dalej w dół. Dokąd? — myślałem. Co jest na dole? W końcu dotarłem do najniższego miejsca, to było morze.

Zrozumiałem, że korona musi znaleźć się w wodzie; i wtoczyłem ją tam.

Kiedy się obudziłem, towarzyszyło mi słowo. Słowo, które wiązało się z koroną. Balleroy. Uniosłem głowę.

— Balleroy — powiedziałem do Marii Dziewicy. Wskazywała ręką do góry.

Kiedy przyszła Valie, zapytałem, czy zna miasto o nazwie Balleroy, miejscowość nad morzem. Chciała obetrzeć mi czoło, ochłodzić nadgarstki. Broniłem się, prosiłem, żeby podała mi atlas. Ociągając się, otworzyła mapę Francji. Nie miałem dość siły, żeby skoncentrować się przez dłuższą chwilę. Wszystko rozplywało mi się przed oczami, szybko zasnąłem.

Następnego ranka Valie włożyła ostry nóż do gotującej wody. Wyjęła go i położyła na ręczniku. Pochyliła się nad moją nogą i zrobiła nacięcie pod kolanem. Krzyknąłem. Wylało się dużo płynu. Valie oczyściła ranę alkoholem. Straciłem przytomność. Kiedy znowu się obudziłem, poprosiłem ją, żeby poszukała razem ze mną. Przysunęła taboret. Zaczęliśmy na północy, przy granicy belgijskiej, i poruszaliśmy się wzdłuż wybrzeża.' Często powtarzałem nazwę Balleroy. Przez Pas-de-Calais do Sommy, potem Seine-Maritime, w końcu Eure aż po Calvados. Nasze palce przeszukiwały okolice wokół Caen i Bayeux, posuwały się wzdłuż kąpielisk St. Laurent i Ar-romanches-les-Bains. I nagle, kiedy chcieliśmy przesunąć się do Cherbourga, ukazała się nam nazwa. Valie zatrzymała na niej palec, wymówiłem słowo. Krótkie, ale wyraźnie czytelne. — Balleroy.

Leżało w Basse-Normandie, dużo dalej od Paryża, niż przypuszczałem. Prowadziła do niego droga zaznaczona cienką linią. Gdzieś, w którymś punkcie tej drogi, znajdowała się posiadłość dziadka Chantai. Może jeszcze nie umarłaś pomyślałem. Od tej chwili powstało we mnie przekonanie.' Pora roku dodała mi większej wiary. Kiedy zapalenie stopniowo ustępowało, nadeszła wiosna. Nawet w ciemnym pokoju, do którego tylko na krótko zaglądało słońce, czułem, że przyroda budzi się do życia. Nie chciałem dłużej chorować, coś musiało się zmienić!

Kiedy leżałem w łóżku i przy każdym ruchu usztywnionej szynami nogi słyszałem grzechotanie, przed moim wewnętrznym okiem nabierała kształtu podróż do Normandii. Tak wyraźnie, jakby rue Faillard kończyła się na ulicach Balleroy. Valie czuła mój niepokój i wybaczała częste narzekanie. Byłem nieznośnym i niecierpliwym pacjentem, który za

wszelką cenę chciał już stąd wyjść. Nienawidziłem mojego stanu i zmuszałem ją, żeby pomogła mi wstać. Tak długo pytałem, gdzie są moje rzeczy, aż Valie powiesiła na krześle spodnie i koszulę. Od tej pory leżały tu gotowe, były moją nadzieją na lepsze jutro.

Valie przyniosła nożyczki, broda zwisała mi aż do piersi. Obciąłem kręcone kosmyki. Kiedy później przyszła z pędzlem do golenia i brzytwą i zaczęła mnie golić, byłem pewny, że robiła to również swojemu mężowi. W połowie ścinania zarostu usiadłem i zapytałem ją o to.

— Tak, był taki jeden — powiedziała. — Ale on nie wróci.

— Dlaczego nie?

— Jest daleko. — Brzytwa skrobała mój policzek.

— Na wojnie? — Lekko nadałem policzek.

— Nie jest zdrowy.

— Ranny?

Valie mówiła, zacinając się, a jednak pełna tęsknoty.

— Wiem tylko, że pan Hirschbiegel musiał pójść do szpitala w Monachium. Pisała mi o tym jego żona. To było przed wojną. Zamyślona, bez pośpiechu opowiedziała mi o miłości do Niemca, która trwała wiele lat. Od czasu, kiedy otrzymała ten list, nie miała żadnej wiadomości. Valie nie wiedziała, czy Monsieur jeszcze żyje.

Domyślałem się różnych motywów jej postępowania, jednak nie tego. Podczas gdy brzytwa ślizgała się po brodzie i szyi, znikło ostatecznie widmo Leibolda, które do tej pory czaiło się za plecami Valie.

Przywróciła mi dawną twarz. Na moje żądanie przyniosła lustro. To był upiorny widok. Zabiegi rottenfiihrerów sprawiły, że moja szczeka zwisała przekrzywiona na bok. Dolne

zęby były rozluźnione, przerwy między nimi wyraźnie widoczne. Złamali mi nos, jego grzbiet był teraz wąski i garbaty. Podczas upadku musiałem uszkodzić sobie szyję; od ucha do obojczyka ciągnęła się blizna. W niektórych miejscach na skroniach strupy wyparły włosy, które odrastały teraz rzadkimi kępkami. Dużo straciłem na wadze; na czole pojawiły się głębokie zmarszczki, pod oczami wisiały fioletowe worki. Zbliżały się moje dwudzieste trzecie urodziny. Ale ten, który spoglądał na mnie z lustra, wydawał się o wiele starszy.

Zdjeliśmy prawą szyję, złamanie chyba się już zrosło. Zsunąłem nogi z łóżka, położyłem rękę na ramieniu Valie, postawiłem stopę na podłodze i wstałem. Liczyłem się z tym, że nie mam siły, a jednak przestraszyłem się. Noga opadła bez życia jak kawałek mięsa. Czuję posadzkę pod stopą, wiedziałem, że kolano się zgina, jednak noga była bezwładna. Omal się nie przewróciłem. Valie utrzymała mnie w pionie. Zaczęła ciągnąć po pokoju. Usztywniona noga służyła mi za podporę, drugą wlokłem za sobą. Chodziliśmy w koło. Byłem o wiele za ciężki, szybko zacząłem gwałtownie dyszeć. Po kilku minutach Valie zaprowadziła mnie do łóżka. Byłem przygnębiony.

Prawdopodobnie będę musiał spędzić tu jeszcze kilka tygodni. Zapytałem Valie o drugą książkę, obiecała, że postara się o nią. Tego wieczoru przyniosła niemiecką powieść. Wydała mi się znajoma. Po kilku wymówkach przyznała, że wzięła tę książkę z mieszkania Hirschbiegla. Miała klucz.

— Czy mogę tam pójść? — zawołałem radośnie.

— Już ci się u mnie nie podoba, boche? — Po raz pierwszy posłużyła się tym słowem jako obelgą.

Minęło dwanaście tygodni od czasu, kiedy spadłem z dachu pod opiekuńcze skrzydła Valie. Pielęgnowała ciężko rannego i ukrywała poszukiwanego. Jak mogłem się jej odwdzięczyć? Kiedy któregoś wieczoru znowu przewracałem kartki w atlasie, zauważyłem stronę, której szew był rozerwany. Znalazłem oderwany od reszty świata Pacyfik i Oceanię. Kilka minut studiowałem wyspy i ich nazwy jak Onotoa lub Nanunmanga, przesuwałem palcem po archipelagu Fidzi. Podążałem wzdłuż linii zmiany strefy czasowej, na wschód od tej linii było zawsze o dzień później niż na zachód. W końcu wziąłem luźną stronę, wygładziłem ją i zacząłem składać. Dwa razy musiałem niszczyć moje dzieło, za trzecim wyszedł mi ptak. Każde skrzydło było niebieskie. Głowę tworzyło wybrzeże Nowej Zelandii, ogon zdobiły Wyspy Gilberta. „Dla Valie” napisałem na spodzie i czekałem do wieczora. — Na pożegnanie? — zapytała. Jadłem potrawę z fasoli. Usiadła na taborecie obok łóżka i przyglądała się papierowemu stworzeniu na swoich kolanach.

— Jak chcesz się tam dostać? — W jej ręku żeglował w powietrzu niezdolny do lotu łabędź.

— Jak do tej pory — odpowiedziałem i w duchu przemierzałem trasę. Krajobrazy w pierwszym blasku wiosny. Kwitnące drzewa, zielony welon nad polami. Był koniec marca. Wiedziałem, że do obrony Wału Atlantyckiego przeznaczono ćwierć miliona ludzi. Na każdy kilometr plaży przypadało dziesięć bunkrów.

Dunkierka, Hawr, Cherbourg, Saint-Malo, Brest i wyspy na kanale zostały ogłoszone twierdzami. Jednostki czołgów, dział samobieżnych, grenadierów pancernych. Większość żołnierzy stacjonowała na terenie, przez który chciałem się przedostać. O kulach, bez pieniędzy i dokumentów. W poszukiwaniu Chantal. Valie podziękowała i wyszła. Nie spałem całą noc. Układałem przyszłość w słowa i wyobrażałem sobie, co będzie. Miałem nadzieję, że Chantal to usłyszy.

Szyna była przywiązana do nogawki spodni. Objęliśmy się, pogłaskałem ciepłe plecy, poczułem głęboki oddech kobiety, bez jej pomocy na pewno bym nie żył. Było nieprawdopodobne, żebyśmy znowu się zobaczyli. A jednak rozmawialiśmy o tym, co będzie potem, planowaliśmy, gdzie się spotkamy, kiedy wszystko minie. Wcisnąłem kule pod pachy, otworzyłem drzwi. Nie pocałowaliśmy się. Kiedy kuśtykałem po rue Faillard, na bruku rozlegało się głośnie stuk, stuk wydawane przez drewniane kołki.

Wmieszałem się w grupę około setki mężczyzn, którzy zmierzali do pracy, i pod osłoną porannej szarówki wymknąłem się z miasta. Za lasem zabrała mnie ciężarówka wioząca warzywa. Kierowca nie zadawał pytań. Miałem na sobie brązowy garnitur, a na nogach buty z podszwami

podbitymi gwoździami, ponieważ Valie uważała, że większą część drogi będę musiał pokonać pieszo. Zdobyła dla mnie również płaszcz.

Szczyście opuściło mnie za Poissy. Oberwanie chmury sprawiło, że droga, która została zamieniona przez niemieckie czołgi w żwirową pustynię, stała się nieprzejezdna. Ciężarówka utknęła. Za pomocą desek próbowaliśmy obaj z handlarzem warzywami wyprowadzić samochód na nadający się do jazdy teren. W ten sposób już pierwszego dnia zniszczyłem garnitur. Kiedy deszcz przestał padać, kierowca udał się do wsi, żeby sprowadzić zaprzęg wołów. Pożegnaliśmy się; tak więc już kilka kilometrów za Paryżem kontynuowałem moją podróż pieszo.

Drewniana kula zapadała się w grząskim gruncie. Ukryty pod grupą wierzb, przespałem pierwszą noc nad strumieniem. Piłem wodę i zjadłem część zapasów, które dała mi na drogę Valie. Chociaż zmarzłem, to leżenie pod burzowym niebem po tygodniach spędzonych w pokoju na tyłach domu było niewiarygodnym przeżyciem. Odurzony zamknąłem oczy. Przypominałem sobie jadalne zioła, grzyby, jagody, dopóki nie zrozumiałem, że w kwietniu nic z tego nie znajdę. Wszystko jedno, jak długo to potrwa, w końcu dojdę do Balleroy.

Wyobraziłem sobie zaskoczenie Chantal, jej radość. Chciałem z nią doczekać końca wojny, pracowałbym w polu, pomagał przy żniwach, aż moglibyśmy wspólnie zacząć nowe życie.

Rano drogą, którą szedłem, przetaczały się bez końca kolumny wojska. Żaden z mężczyzn na ciężarówkach nie zainteresował się kaleką na skraju szosy. Mimo to, na wszelki wypadek, postanowiłem, że dalej będę poruszać się polnymi drogami.

Wyrwałem z atlasu mapę północnej Francji.

Drugiego wieczoru, we wsi Thiere, ustaliłem, że posuną-

łem się do przodu tylko o kilka kilometrów. Zboczyłem za daleko na południe. Wyczerpany, pełen zwątpienia wczołgałem się do stogu siana, ułożyłem na płaszczu i przysypałem sianem.

Obudziłem się zmarznięty w ciemności, włożyłem płaszcz i wwierciłem się głębiej w stóg.

Pogoda zmieniła się nagle. Zrobiło się zimno i wietrznie, noce stały się mroźne. Kiedy spałem pod gołym niebem, rano mój garnitur był pokryty szronem. Po trzech dniach skończyły mi się zapasy. Nie chciałem kraść.

W tym czasie na drogach spotykało się pełno podejrzanego motłochu, ludzi podobnych do mnie. Gdziekolwiek przyszedłem, spotykałem się z nieufnością. Nikt nie zaproponował mi czegoś do zjedzenia lub noclegu. Kiedy po raz trzeci zawarłem znajomość z psem podwórzowym, który mógł się zbliżyć do mnie tylko na długość łańcucha, wziąłem sobie to, czego potrzebowałem. Podbierałem koniom resztki chleba ze żłobu.

Wyrywałem z ziemi pierwsze wiosenne cebule i zjadałem na surowo. Czasem piekłem chleb i cebulę na patyku nad ogniem. Kiedyś chłop poczuł dym z ogniska i przepędził mnie strzałami z dubeltówki. Tymczasem kuśtykałem na usztywnionej nodze tak żwawo, że nawet mężczyźni na zdrowych nogach nie nadążali za mną. Nigdy w życiu nie dołem krowy. Po kilku próbach opanowałem tę umiejętność nawet po ciemku. Wiedziałem, jak uspokoić krowę, jak unikać kopnięcia kopytem. Kiedy wszyscy spali, zakradałem się do kurników i podbierałem jajka. Którejś nocy odważyłem się nawet wejść przez otwarte okno do domu na wsi. Otworzyłem wędzarnię i zabrałem kawał słoniny. Pies podwórzowy zaszczekał tak blisko mnie, że upuściłem polec i uciekłem. Potem byłem o to bardzo zły na siebie. Czym było ugryzienie w nogę wobec przyjemności zjedzenia aromatycznego boczku?

Po wyjątkowo mroźnej nocy — byłem w drodze już prawie trzy tygodnie — gorączkowe dreszcze sprawiły, że rano musiałem zostać w stogu i spędzić w nim trzy dni bez jedzenia. Czwartego dnia obudziłem się zdrowy; czułem wiosnę we wszystkich kościach, wypełzłem z siana i wygrzewałem się na słońcu. Od kiedy było już wiadomo, że nastąpi inwazja, Niemcy przestali polować na wroga wewnątrz kraju. Większość spraw między Francuzami a okupantem uregulowała się samoistnie. Obustronne zawieszenie broni było przerywane jedynie atakami partyzantów i następującymi po nich represjami. Sam nie widziałem rozstrzeliwań, ale żona piekarza opowiedziała mi, że zrównali z ziemią całą wieś i wymordowali wszystkich mieszkańców, ponieważ dwóch niemieckich żołnierzy na motocyklu wyleciało w powietrze na minie. Nadal omijałem umocnione drogi. Przypuszczałem, że pierwsze oddziały spotkam blisko morza, i byłem zaskoczony potężnym ruchem wojsk. Obserwowałem pociągi z czołgami przeznaczonymi dla dywizji pancernych, transporty wojska, połączone ze sobą w szereg pojazdy opancerzone, na których przewożono konstrukcje stalowe kilkumetrowej długości. Szedłem poboczami świeżo wyrównanych dróg. Widziałem wysadzone w powietrze mosty, co miało utrudnić wrogowi posuwanie się w głąb kraju. Na drewnianej kuli kuśtykałem po polach, zaminowanych przez niemieckich saperów. Omijałem kontrole drogowe, jeśli w porę je dostrzegłem. Przez jedną z nich przemknąłem się szczęśliwie, wziąłem kulę na ramię jak łopatę i dołączyłem do grupy robotników. W pobliżu miejsca zwanego Heudebouville szukałem ustronnego folwarku. Przez krótką chwilę widziałem rodzinę gospodarzy; byli to starsi ludzie, pięcioro lub sześcioro dzieci i dwóch parobków. Dawniej na wsi chodziło się spać

z kurami, ale tutaj było inaczej, światła paliły się, mimo że już dawno zapadła noc. Stojąc za drzewem na posterunku szpiegowskim, marzyłem, aby w końcu wczołgać się w stóg siana. Pies był starym szczekaczem, który ujadał bez powodu. Mieszkańcy prawie nie zwracali na niego uwagi.

Wreszcie w ostatnim oknie zgasło światło. Podkradłem się do okratowanej bramy i uchyliłem ją tylko na tyle, żeby wślizgnąć się do środka. Pies zaskowyczał. Po drabinie wdrapałem się na sąsiad, rozpiąłem płaszcz i przykryłem zagarniętym sianem. Natychmiast zamknęły mi się oczy.

Niebo było pochmurne. Obudziło mnie wołanie, niezupełnie zrozumiałem, w jakim języku. Chciałem podpełznąć do ściany z desek, ponieważ zaczęła się wrzawa. Usłyszałem brzęk zbitej szyby, kroki, krzyki w domu. Gdzieś wyłamano drzwi, płacz dzieci, wrzaski. Przez szparę zobaczyłem pochodnię, światła latarek. Padł strzał, żałosne krzyki. Wiązki światła padały na słomę, w powietrzu unosiły się migoczące drobiny kurzu.

Wołanie. — Tam jeszcze ktoś jest!

Skórzany płaszcz, szara czapka. Byłem całkowicie przytomny i jednocześnie oszołomiony. Nie mogłem się poruszyć. Gestapo, pomyślałem przez chwilę.

— Na dół z nim. — Mężczyzna nie mówił po niemiecku, tylko regionalną gwara. Ujrzałem wylot lufy pistoletu starego typu. Kiedy sięgnąłem po kulę, wystrzelił. Pocisk poleciał w siano. Krzyczałem śmiertelnie przerażony, pokazywałem na usztywnioną nogę. Mężczyzna zobaczył kulę i zrzucił ją na dół. Ostrożnie zszedłem po drabinie. Zapomniałem płaszcz.

Stojąc w bramie, zobaczyłem dziesięciu mężczyzn. Byli to Francuzi; spędzili całą rodzinę. Za oknem, wewnątrz domu, paliło się. Babka i gospodyni były przy małych dzieciach, wystraszeni chłopcy tłoczyli się wokół zaspanego

ojca. Jeden parobek sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się dzieje, siedział w kucki, drugiego właśnie przyprowadzono. Nie byłem w stanie otrząsnąć się ze snu, opanował mnie chory, paraliżujący strach. Kiedy założyłem ręce na karku, popchnięto mnie do przodu. Nie rozumiałem, co się dzieje. Uzbrojeni ludzie byli Francuzami, sądząc z mowy, pochodzili z tego samego regionu co chłopci.

Stary, w kałesonach i futrzanej kurtce, został zaprowadzony do kupy gnoju. Głośny rozkaz, dwaj przyłożyli broń do ramion i strzelili. Kobiety krzyczały przeraźliwie. W chwili, kiedy ciężkie ciało mężczyzny padało na ziemię, przyprowadzono jego ojca. Na sztywnych nogach przeszedł nad ciałem syna. Kobiety przestały krzyczeć; dzieci stały z szeroko otwartymi oczami. Stary mężczyzna umarł, wydając jedno westchnienie. Następny w kolejności był starszy parobek. Bronił się, wrzeszczał. Kula trafiła go w skroń. Teraz mężczyzna w czapce popchnął mnie do sterty gnoju. Wciąż miałem uniesione ręce, straciłem równowagę i upadłem. Poczulem odurzający zapach gnoju. Podniesiono mnie, musiałem przejść przed kobietami. Zauważyłem ich zdziwione spojrzenia, nikt mnie tu nie znał. Pomiedzy ciałami zabitych prawie nie było miejsca do stania. Panowała całkowita cisza. Odwróciłem się, chciałem coś powiedzieć, ale z krtani wydobył się jedynie jęk. W świetle płonącego ognia trzech przyłożyło do ramion karabiny. Zobaczyłem wyciągniętą rękę wskazującą na mojego sąsiada. Napiął mięśnie. Usłyszałem strzał dopiero wówczas, kiedy parobek padał na ziemię z ręką uniesioną jakby w obronie. Słyszałem szept, to był mój oddech. Wszystko ucichło. Przeładowali broń, unieśli lufy.

— Nie — powiedział ktoś.

Był młody, jego koszula była rozdarta przy kołnierzu. Podszedł kilka kroków do mnie, nie depcząc po zwłokach.

Był niewiele starszy ode mnie, okulary nadawały mu ujmujący wygląd. Zmierzył mnie wzrokiem.

— Nie należysz do nich — powiedział.

— Nie. — Spojrzałem na niego.

— Kim jesteś?

— Spalili moją wieś — powiedziałem cicho.

— Gdzie?

Wszyscy czekali. Odpowiedź decydowała o życiu i śmierci. Ktoś powiedział mi kiedyś nazwę, zniszczonej osady. Ale nie przychodziła mi teraz do głowy. Opuściłem ręce, zataczałem się na chorej nodze.

— Nazwa tej miejscowości? — zapytał ten niecierpliwy. Opadła mi głowa, po prostu nie potrafiłem powiedzieć jednego słowa. Zacząłem płakać. Dwaj mężczyźni przyprowadzili najstarszego syna gospodarza.

— To są zdrajcy — powiedział ten w okularach, jakbym przed egzekucją miał prawo do wyjaśnienia. — Kolaboracja. Zostali skazani na śmierć za donosicielstwo.

Upewnił się, że zrozumiałem.

— Dowodzę brygadą Liberation Normandie — powiedział na zakończenie i wrócił do swoich ludzi. Wycelowali. Jeden z mężczyzn, którzy przyprowadzili chłopca, stał blisko mnie. Zobaczyłem cień kolby karabinu. Trafił mnie za uchem.

Pochodnia. Było cicho. Poruszyłem nogami. Myślałem, że za chwilę pęknie mi głowa. Uniosłem ramiona. Dzień zaczął szarzeć. Zbadałem palcami kark, była na nim zastygła krew.

Leżałem niedaleko kupy gnoju.

Mężczyźni odeszli, ciała znikły. Ciemne plamy na otynkowanej ścianie, kałuże na ziemi. Strzępy ubrania obok słomy.

Obserwowałem domostwo ponad ogrodzeniem gnojownika.

Zagroda była wymarła, ogień zgasł. Kosztowało

mnie wiele wysiłku, aby stanąć na nogi. Począpiałem do domu. Nie myślałem o kuli. Nie znalazłem żywej duszy, opadłem na próg. Było mi zimno, nie wiedziałem, gdzie został mój płaszcz. Po kilku minutach znowu wstałem. Musiałem jak najszybciej się stąd wynieść. Każdemu krokowi towarzyszyło zagrożenie. Próbowałem trzeźwo myśleć.

Egzekucja, myślałem. Nie byli to Niemcy. Klótnia rodzinna? Brygada Libération, przypomniało mi się. Mężczyzna w okularach należał do Résistance. Jak Chantai. Dotarłem do spaczony bramy, zrobiłem pierwszy krok na ścieżce. Usłyszałem skowyt. Pies szarpał się łańcuchu, robiąc dużo kurzu. Biegał w tę i z powrotem, na ile pozwalał mu łańcuch. Cały czas czekał, nie przestawał biegać. Węszył i ujadał. Zatrzymałem się przy słupie. Pies był stary, jednak nie ufałem mu. Utykając, zbliżyłem się do przegrody, gdzie kończyła się smycz. Przez metalową płytę przechodziły cztery bolce. Nie mogłem odzepić łańcucha. Obok zobaczyłem pagórek. Świeżo usypana ziemia, w prostokąt. Niedaleko leżała w trawie kobieca kurtka. Ukazały mi się twarze tych, którzy spoczywali pod ziemią, twarze chłopów w świetle pochodni. Silny ojciec, parobcy. Najmłodszy syn miał najwyżej dziesięć lat. Odwróciłem się.

Podszedłem do psa. Zaczął czekać i cofnął się. Pochyliłem się, waliło mi w głowie. Chwyciłem za obrożę, rozpiąłem rzemień. Łańcuch upadł na ziemię. Pies nie ruszył się z miejsca. Powoli wstałem, nie spojrzałem więcej na świeży pagórek. Liberation. Drugi raz dotarłem do bramy. Na horyzoncie jaśniały różowe pasy, droga prowadziła prosto w ich kierunku. Szedłem bez kuli, wiosłowałem ręką, żeby utrzymać równowagę. Pies stał pod bramą. Miałem nadzieję, że pójdzie za mną. Jednak został tam, gdzie pogrzebano jego właścicieli. Jeszcze długo słyszałem jego żalosne szczekanie.

Gospodarstwo znajdowało się na południu. Na wzgórzu pod jesionem stała zmurszała ławka, z której niewątpliwie rozciągał się piękny widok. Opisano mi tę posiadłość Zbliżałem się, zataczając łuk sztywną nogą; nauczyłem się tego, od kiedy straciłem kulę.

Była niedziela, na polach nie widziałem żywej duszy. Tylko kilkoro ludzi w odświętnych ubraniach na zakurzonej drodze. Kościół wydawał się leżeć za pagórką. Chociaż wiedziałem, że morze jest oddalone o kilometr, spodziewałem się za następnym wzniesieniem zobaczyć fale przyboju Zaśmiałem się. Poczulem strach. Wyobraziłem sobie, że idę z Chantal w stronę morza, widziałem jej gołe stopy na piasku. Nie za szybko, powiedziałem sobie, ostrożnie Przewróć się. Powoli! Poszukam kija, postanowiłem, ponieważ nie udawało mi się opanować. Przyśpieszyłem, zacząłem biec, wymachując rękoma, na szczyt wzniesienia. Starsze małżeństwo odwróciło się do mnie, oboje ubrani odświętnie na czarno. Byłem obszarpany, nieogolony, z dwiema deskami zamiast szyny na nodze. Usta miałem zawsze trochę otwarte

ponieważ szczęka źle się zrosła. Ale nie przejmowałem się tym. Zaśmiałem się głośnie. Biegłem tak szybko, że wszystko latało mi przed oczami. Gdzieś były dzwony, ludzie ciągnęli przez górę, zapewne skończyła się msza.

Na sto sposobów wyobrażałem sobie, jak przywita mnie Chantal. Od czasów Paryża upłynęły już miesiące. Byłem pewny, że zaskoczy mnie jak zawsze.

Dotarłem do domostwa. Drzwi od strony drogi były zamknięte. Spodziewałem się, że Chantal i jej rodzina niedługo wrócą z mszy, i postanowiłem zaczekać. Drogą przechodziły dziesiątki ludzi i przypatrywali mi się z ciekawością. Straciłem cierpliwość i okrążyłem kamienny dom, którego zachodnia ściana była pokryta łupkiem. Wszedłem na środek wydeptanego podwórza. Nie było porośnięte trawą, zamiast niej grząskie kałuże, za ogrodzeniem śmierdziała gnojówka. W zbitym krzywo kojcu leżały leniwie na słońcu cztery świnie. Nagle wyobraziłem sobie siebie jako włóczęgę, którym byłem. Przepędzą mnie? Nie było psa, to mnie uspokoiło. Tylko pochrząkiwanie świń w błocie. Otworzyły się tylne drzwi, wyjrzała z nich stara kobieta i zaraz znikła z powrotem. Zobaczyłem twarz chłopca na piętrze powyżej; kiedy go zauważyłem, cofnął się. Stara rozmawiała w środku z kimś, kto siedział w głębi pokoju. Zrobiłem kilka ostrożnych kroków, ręce trzymałem uniesione na boki, chciałem pokazać, że nie jestem uzbrojony. Kiedy drzwi znów się otworzyły, usłyszałem płacz dziecka. W drugim końcu korytarza pojawiło się światło, zbliżał się cień.

Na podwórze wyszedł pere Joffo. Był całkiem siwy, wiatr rozwiewał mu kosmyki włosów. Silna postać dzika zmieniła się w wypłowiałe, pochylone zwierzę. Mimo oszpecenia poznał mnie. Staliśmy naprzeciw siebie na wietrznym podwórzu jak obcy ludzie.

— Skąd? — zapytał bezdźwięcznie.

— Z Paryża.

— Kto wie, że tu jesteś? — Głos zanikał na wietrze.

— Nikt. — Joffo podszedł bliżej. Jego wzrok padł na szynę na nodze.

— Nikt mnie nie śledził — powtórzyłem.

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno. Młoda kobieta w jasnym fartuchu zdradzała dalekie podobieństwo do Chantal. Joffo zauważył ją.

— To Roth — powiedział po krótkim wahaniu. Kobieta na moment się przestraszyła, usłyszałem ruch wewnątrz domu. W korytarzu pojawił się stary. Moje nazwisko coś zmieniło; nie było uprzejmości, tylko ciekawość. Znowu rozległ się krzyk dziecka. Młoda kobieta znikła z okna. Niezdecydowanym gestem Joffo wskazał na wyblakły od deszczu stół, który stał na jedynej zielonej płamie przed domem. Usiadłem, z trudem wyciągając nogę; wyczerpał mnie marsz na wzniesienie. Joffo zajął miejsce naprzeciw na stołku. Gospodyni została w pobliżu drzwi. Chciało mi się pić, ale nic nie powiedziałem. Na parterze pojawiła się młoda kobieta, miała na rękę zawiniątko. Dziecko owinięte w płótno. Widać było tylko jego ciemne włosy.

— A Chantal? — Nie mogłem już dłużej czekać. Joffo spojrzał na dziecko. Podążyłem za jego wzrokiem. — Czy jest tutaj?

— Nie — powiedział. — Już jej tu nie ma.

Z rozczarowania o mało nie opadłem głową naprzód.

— Kiedy wróci?

Joffo siedział, milcząc, tylko jego włosy poruszały się na wietrze. Zrozumiałem, że nie spodziewa się jej szybkiego powrotu, że nie poszła tylko do kościoła lub do lasu; czułem, że Chantal była daleko. Może z inną grupą, na wybrzeżu,

walcząc w podziemiu! Szedłem z dziecięcą wiarą że na końcu wędrówki znajdę swoje szczęście. Dotarłem do Balleroy, ale nie do celu. Położyłem ręce na stole, jedną na drugiej.

Chce pan coś zjeść, wypić? - zapytał miękki głos. Młoda kobieta położyła dziecko w cieniu. Miała większe oczy niż Chantal i ciemne włosy. Podobny chod. - Czy pani jest jej siostrą? — spytałem.

— Kuzynką. — Odparła poważnie.

— To pani dziecko? — Teraz mogłem lepiej zobaczyć małą istotkę. Miała czarne włosy, pofałdowaną twarzyczkę, oczy jak dwie śpiące szparki.

Kobieta nie odpowiedziała.

— Ile ma? — zapytałem.

— Trzy tygodnie.

— Zostanie pan na obiad? — spytał Joffo.

— Tak, chętnie.

Kobieta weszła do środka. _ Babka usiadła na ławce przy domu i obserwowała jak młoda mi służy. Zjadłem chleb ze śmietaną i kilka marchewek. Napilem się starego moszczu. Był kwaśny i rozjaśniał w głowie. Nie byłem gościem w tym domu, tolerowano mnie jak przejezdnego. Zauważyli, z jakim trudem gryzę. Lewa połowa żuchwy mieliła bezużytecznie. Gryzłem marchewkę jak stary pies.

— Dokąd pan chce iść? — stary potwierdził moją obawę.

— Do Chantal — padła jedyna odpowiedź. — Gdzie ona jest? Znajdę ją.

Kuzynka zrobiła krok w moją stronę, jakby chciała coś powiedzieć. Joffo poprosił ją gestem o milczenie. Wstał, przeszedł wzdłuż ściany domu. W cieniu gruszy znajdowały się drzwi do piwnicy. Uniósł klapę i znikł wewnątrz. Ja,

stara, dziecko i młoda milczeliśmy. Odgryzłem kawałek chleba. Kuzynka Chantai podsunęła mi talerz.

Przyszedł Joffo z butelką alkoholu. Stara weszła do domu i przyniosła dwa kieliszki. Joffo nalał. Młoda usiadła na ziemi obok dziecka, dłońmi zasłaniała mu twarz od słońca. Joffo spojrział na słońce. W tej chwili był znowu dzikiem z wąskimi oczami. Wypiliśmy do dna.

Niemcy wkroczyli do Balleroy całkiem niespodziewanie. Zdziesiątkowana kompania z południa w drodze do Pas-de-Calais. Zażądali dachu nad głową i prowiantu. Zajęli kwatery w trzech domostwach.

— Kapitan był bez zarzutu — mówił Joffo. — Człowiek, z którym można było się dogadać. Żołnierze udali się do stodoły, on i oficerowie weszli do domu.

Napełnił kieliszki i wypił. Czekałem.

— Chantai i Jeanne wyprowadziły się ze swoich pokoi. — Uniósł głowę i spojrział na kuzynkę, która całą uwagę poświęcała dziecku.

— Obie spały w pokoiku, który graniczył ze stodołą. Wydaliśmy zapasy, kobiety gotowały. Żołnierze byli małomówni; szli na front. Myśleliśmy — każdy w wiosce myślał — że dwa dni się wytrzyma. Marchewka sturlała się ze stołu. Joffo poniósł ją i położył obok mojego talerza. Wypił trzeci kieliszek. Przestałem jeść. Za nami krzyczała kawka.

— W nocy przed wymarszem jeden z poruczników znalazł piwnicę pod kurnikiem. — Joffo, wskazał na południową stronę, gdzie pochylały się od wiatru młode drzewa orzechowe. — Tam ukryliśmy to, czego nie wolno im było znaleźć. — Wzruszył ramionami. — Zapasy na rok, broń. Kapitan skonfiskował broń, ale zakazał plądrowania. Wszyscy używali sobie przy winie. Oficerowie upili się z żołnierzami.

Stara kobieta usiadła przy Joffo. Patrzyła obok mnie na wzgórze. On milczał przez chwilę.

_ W nocy porucznik poszedł do pokoju kobiet. Nie zwracając uwagi na Jeanne, rzucił się na Chantal Jeanne wybiegła i obudziła mnie. Złapałem szczapę i pobiegłem tam. Kiedy wszedłem do pokoju, było już za późno.

Joffo przejechał ręką po czole.

- Porucznik nie żył, krwawił z licznych ran. Chantal wyrwała sztylet, który miał przy pasie, i zadźgała go. Powiedziałem, żeby się ukryła. Chantal siedziała na zakrwawionym łóżku i patrzyła na sztylet. Chciała uciekać. Jednak krzyk Jeanne obudził Niemców. Joffo wstał i poszedł na środek kwadratu. — Tutaj kapitan kazał ją przyprowadzić. Tu. — Opuścił głowę. Wszyscy byliśmy na zewnątrz. Mój ojciec trzyma na ręku dziecko. Mój brat, kobiety, dwaj parobcy. Chantal stała przed kapitanem. Ta noc była bardzo zimna. Drżała. Bez sekundy wahania, bez jednego słowa, wyjął pistolet, popchnął Chantal na ziemię i strzelił jej w tył głowy.

Joffo palcem pokazał miejsce. Wrócił do stołu. - Strzał obudził dziecko, które zaczęło krzyczeć. - Stał przede mną i wpatrywał się w wyblakły od deszczu stół. Stara kobieta siedziała sztywno wyprostowana.

- Ustawili pod ścianą mojego brata i jednego robotnika, który tylko przypadkiem znalazł się w obejściu. W końcu żołnierze podeszli do mojego ojca. Ostrożnie podał Jeanne dziecko i poszedł do innych. Zostali rozstrzelani jednocześnie. . . Joffo usiadł i położył ręce jedna na drugiej. — Dziesięciu zabitych Francuzów za jednego martwego Niemca - powiedział. - Tak brzmiał wyrok. Jednak kapitan poprzestał na tym. Już zmierzchało, ale nakazał wymarsz.

Kiedy wzeszło słońce, kompania już opuściła Balleroy Ojciec skończyłby dziś osiemdziesiąt lat.

Złapałem się na liczeniu. Ile to dni, ile tygodni? Gdybym wyruszył wcześniej, gdybym szedł głównymi drogami gdybym codziennie pokonywał dłuższą trasę — a więc mniej niż tydzień, zrozumiałem, że przyszedłem tylko cztery dni za późno.

Joffo wszedł do domu i wrócił ze sztyletem Położył go na stole.

— Nikt nie pomyślał, żeby go zabrać

Wahałem się. W końcu wyjąłem ostrze z ciemnoszarej pochwy.

Krew została zmyta. Spojrzałem na stal.

— Czy została już pochowana? Zamiast Joffo odpowiedziała kuzynka.

— Chce pan zobaczyć?

Przejechałem palcem po ostrzu sztyletu. Nad drzewami orzechowymi przeciągały chmury. W jednej chwili wiatr ucichł.

Wszystkiego się dowiedziałem, ale niczego nie pojąłem.

— Co pan teraz zrobi? — zapytałem.

— Będę żył dalej — odpowiedział księgarz.

— Zostało nam dziecko. — Stara kobieta cały czas patrzyła na wzgórze.

Opróżniłem kieliszek. Alkohol był mocny. Spojrzałem na płótno, w które było zawinięte niemowlę.

— Jak się nazywa?

— Ma na imię Antoinette — odpowiedział Joffo Odwróciłem się.

Powoli wstałem; szyny obijały się o siebie. Pokuśtykałem pod drzewo i pochyliłem się. Dziecko spało zafrasowane, jakby sen sprawiał mu trudność. Chciałem dotknąć jego rączki, ale się nie odważyłem.

— Czy to dziecko Chantal?—spytałem. Drżały mi kolana

Nikt nie odpowiedział.

Patrzyłem na delikatną twarzyczkę.

— A poród?

— Łatwy — powiedziała stara kobieta.

Przed oczami stanęła mi Chantal w bladozielonej sukience, Chantal na rue Faillard. Patrzyłem prosto w słońce, które wpadało w biel. Pogłaskałem małą główkę. Dziewczynka wykrzywiła buzię.

— Antoinette — powiedziałem cicho.

Później Jeanne zrobiła mi legowisko w stodole. Siedziałem na kocu w sianie. Drobiny kurzu wirowały w promieniach słońca. Patrzyłem na swoje dłonie bez jednego palca, na usztywnioną nogę. Po raz drugi wyjąłem sztylet z pochwy. Przyłożyłem koniec ostrza do piersi. Ledwie go poczułem przez kurtkę. Rozpiąłem koszulę. Przycisnąłem nóż do skóry. Zobaczyłem, jak się napina, pęka, jak sączą się z niej krople krwi. Położyłem sztylet obok. Nagle siano zapachniało włosami Chantal. Wciągnąłem zapach w płuca, chwytąłem tańczące punkciki światła. Krzyknąłem i jednocześnie zasłoniłem sobie usta. Krzyczałem w dłonie. Ślina spływała mi w fałdy skóry na dłoniach. Zapadł zmierzch, a ja ciągle patrzyłem na dwór. Chantal i Antoine. Kiedy uciekaliśmy obławie. Całowaliśmy się na oczach Leibolda. Kiedy była nade mną na rue Faillard. Jej włosy, piersi. Nigdy. Nic. Wieczorem wszedłem do domu i zjadłem kolację z rodziną. Usiadłem jak inni i gryzłem. Nikt nie zapalił światła. Otaczała mnie wszechogarniająca ciemność. Później chciałem zobaczyć dziecko. Jeanne zaprowadziła mnie do pokoju. Wyjąłem dziewczynkę z kołyski i położyłem sobie na piersi. Antoinette się nie obudziła. Przytuliłem ją. Poczułem jej oddech na szyi. Zakwiliła. Jeanne chciała uspokoić dziecko. Nie oddałem jej. Kołysałem Antoinette, aż znowu zasnęła.

Tej nocy pragnąłem zostać. W Balleroy, blisko morza. Zostać tutaj, z dala od wojny. Antoine i Antoinette. Kiedy leżałem zagrzebany w słomie, przyszło mi na myśl słowo ojciec. Nie wiązało się z tym żadne uczucie.

Następnego dnia pozwolili mi zabrać ją na spacer. Kiedy jednak poszedłem z nią na łąkę, wysłali za nami Jeanne. Potem chciałem pomóc Joffo przy drewnie. Bez słowa odłożył siekiere i poszedł do domu.

Pozwalali mi uczestniczyć w posiłkach. Nie zadawali pytań, nie chcieli nic wiedzieć. Byli gościnni, ale pozostali obcy. Nie mówiłem o Paryżu ani o mojej podróży. Schodziliśmy ze wzgórza z Jeanne i dzieckiem, spytałem, gdzie jest morze. Za daleko, odpowiedziała, teraz nie można tam pójść. Budują bunkry i zasieki. Jeanne od dawna nie była nad morzem.

Zawróciliśmy, zabrano mi dziecko z rąk i zanesiono do domu.

— To moje dziecko — powiedziałem tej nocy w stodole. — Chcą obchodzić żałobę beze mnie, odmawiają mi prawa do dziecka. — Zakłopotany roześmiałem się do belek na suficie. — A przecież jestem z nimi spowinowacony!

Następnego dnia poprosiłem Jeanne, żeby pokazała mi grób.

Wzięliśmy ze sobą Antoinette. W drodze na cmentarz musieliśmy przejść przez wieś. Na ulicy nie było nikogo, a jednak wiedziałem, że jestem obserwowany. Byłem boche, słyszeli o mnie. W drugim rzędzie stał dom z otwartymi oknami. Grało radio. Wiatr rozwiewał melodię, która brzmiała raz ciszej, raz głośniej. Ktoś śpiewał, rozumiałem tylko nieliczne słowa, ale rozpoznałem melodię. Lekką i śmiałą. Chevalier śpiewał *Avril prochain, je reviens*. Chciałem podejść bliżej, zacząłem szybciej utykać, ale drogę zagroził mi płot. Zdziwiona Jeanne z dzieckiem na ręku poszła za mną. Kiedy mnie dogoniła, piosenka już się skończyła.

Pagórek ziemi był całkiem świeży, nie było tabliczki, tylko kamienny krzyż. Kilka kwiatów. Próbowałem ukłęknać, ale uniemożliwiła mi to szyna na nodze. Antoinette zaczęła płakać, słońce mocno grzało. Pagórek ziemi, obok inne groby. Wszystko to nie miało nic wspólnego z Chantal. Zawróciliśmy. Czerwiec był niezwykle gorący. W drodze powrotnej pomyślałem: Nie wolno ci tu zostać. Nie pozwolą na to.

Dni spędzałem w szopie. Wychodziłem tylko na posiłki oraz żeby zobaczyć dziecko. Któregoś wieczoru zostałem w izbie i opowiedziałem o rozstrzelaniu w Heudebonville. Joffo potrząsał głową.

— Nie ma oddziału, który nazywa się Liberation Normandie—powiedział. — To zwykłe bandy, które korzystają z tego, że Niemcy wycofują się z wnętrza kraju.

— To nie byli rabusie — odparłem. — To była zaplanowana akcja.

Stara kobieta wyszła z pokoju. Jeanne siedziała pochylona nad dzieckiem.

— W takim razie chłopci musieli być kolaborantami — powiedział Joffo. — Karne akcje są potrzebne.

— Komunisci? — spytałem. Nie odpowiedział.

Następnego dnia poprosił mnie na podwórze. Antoinette leżała w cieniu.

— Kiedy odejdziesz? — zapytał bez ogródek. Chciałem odpowiedzieć, ale tego nie zrobiłem. Zapytałem o dziecko.

— Skąd wiesz, że jesteś jego ojcem? — zadał pytanie z kamiennym wyrazem twarzy.

Tylko spojrzałem na niego.

— Może, kiedy wszystko się uspokoi...

Umilkłem.

— Antoinette jest Francuzką, jej rodzina jest tutaj — powiedział księgarz. — Nie możesz zabrać dziecka ze sobą. I sam też nie możesz zostać.

Patrzyłem na wzgórze.

— Jak daleko jest do morza?

— Dla ciebie za daleko. — Spojrzał na moją nogę.

— Chętnie bym je jeszcze zobaczył. Przejechał ręką po czole.

— No dobrze — powiedział przyjaźniej. — Jutro, może jutro.

Następnego dnia ostatni raz wziąłem Antoinette na łąkę.

Rozmawiałem z nią i opowiadałem o matce. Razem zasnęliśmy w trawie. Obudziła się niespokojna, usłyszałem bezgłośny,

zduszony płacz. Wziąłem ją na ręce, głaskałem po plecach i

zacząłem śpiewać. O dziewczynie, którą kochałem, w mieście, w kwietniu. Brakowało mi właściwych słów, szybko zamilkłem.

Antoinette przyglądała mi się uważnie. Powiedziałem, że muszę

teraz iść, i będzie lepiej, jeśli o mnie zapomni. Powiedziałem, że

tak będzie lepiej dla mnie. Później oddałem dziecko Jeanne, od

starej dostałem na drogę zawiniątko z prowiantem i buty od Joffo.

Nie mówiliśmy więcej o jeździe nad morze.

O świcie odszedłem tak samo obcy, jak przyszedłem. Sztylet,

którym broniła się Chantal, wziąłem ze sobą. Kilka kilometrów

za Balleroy z porannej mgły wyłoniły się statki, pierwsze

oddziały próbowały postawić stopę na plaży. Był szósty czerwca.

Nie wiedziałem tego. Byłem w drodze.

Wybrane stopnie wojskowe III Rzeszy

Sturmabteilung (SA) i Schutzstaffeln (SS)

sturmmann — starszy szeregowiec

rottenführer — kapral

scharführer — młodszy sierżant

Untersturmführer — podporucznik

hauptsturmführer — kapitan

Sturmbannführer — major

Standartenführer — pułkownik

Wehrmacht

gefreiter — kapral (nie miał statusu podoficera)

obergefreiter — starszy kapral

feldwebel — sierżant

Posłowie

Czytelnicy często pytają mnie o to, jak powstała powieść *Kwiecień w Paryżu* i w jaki sposób badałem tło historyczne epoki.

Historię powstania książki łatwo jest opowiedzieć. Przed paroma laty, będąc w Normandii, wybrałem się na spacer, przeceniłem swoje siły i zawędrowałem za daleko. W pewnej chwili nie mogłem już iść ani naprzód, ani się cofnąć. Zaczęło padać. Szukając schronienia przed burzą, odkryłem na leżącym naprzeciwko cyplu zrujnowany bunkier obronny Wehrmachtu. Tam właśnie wpadłem na pomysł napisania książki *Kwiecień w Paryżu*. Jest to historia młodego niemieckiego żołnierza, który, zdany na siebie w obcym otoczeniu, próbuje trzymać się z dala od konfliktów epoki, a jednak nie może uniknąć okrucieństwa reżimu okupacyjnego. W takim nieprzyjaznym klimacie rozwinęła się nieprawdopodobna historia miłosna.

Aby przedstawić tło historyczne i życie codzienne w okupowanym Paryżu, sięgnąłem do licznych źródeł — planów historycznych miasta jak również książek specjalistycznych i literackich dokumentów epoki. Jestem szczególnie wdzięczny dwóm autorom. Pierwszym z nich jest Artur Koestler, którego dzieło ogromnie cenię. Jego powieść *Sonnenfinsternis* (*Zaćmienie słońca*) ukazała się po raz pierwszy dopiero w roku 1940 i umożliwiła mi głębszy wgląd w istotę warunków panujących w więzieniu, a także metod przesłuchiwania. U tego autora przeczytałem także po raz pierwszy o „kwadratowym alfabecie telegraficznym”, którego używał Roth. Jako drugiego autora chciałbym wymienić Felix Hartlauba, który w czasie drugiej wojny światowej był odkomenderowany między innymi do Paryża. Zmarł w niejasnych okolicznościach prawdopodobnie w ostatnich dniach wojny. Z jego wydanej pośmiertnie książki pt.

Im Sperrgebiet. Aufzeichnungen aus dem zweiten Weltkrieg (W strefie zamkniętej. Zapiski z czasów drugiej wojny światowej) nauczyłem się wiele o żargonie żołnierskim epoki. Hartlaub był obiektywnym i przenikliwym obserwatorem swoich czasów, człowiekiem, jakich rzadko się spotyka. W liście z Paryża tak pisze o atmosferze panującej w okupowanym mieście:

„Charakterystyczny klimat, jaki tu panuje, jest wręcz arktyczny. Widzę tak wiele przykładów postępującego odczłowieczenia, egoizmu, od którego włos się jeży na głowie, bezczelnego zblazowania, sam muszę się stale bronić przed pograżeniem się w tych rejonach". Gefreiter Roth najprawdopodobniej odbierał to podobnie.